

The illustration is a stylized, minimalist scene. At the top, a solid purple band contains a large, textured orange circle representing the moon. Below this, a white background features a tree with thin, white, bare branches on the left. In the center, two orange kangaroos are depicted in a dancing pose, holding hands. They have small red bows on their heads. To their right, two grey silhouettes of girls in polka-dot dresses are also dancing. The kangaroos and girls are positioned on a grey, diagonal line that suggests a path or a shadow. The overall style is simple and graphic.

ERIC LINKLATER

WIATR z
KSIĘŻYCA

N A S Z A K S I Ę G A R N I A

ERIC LINKLATER

WIATR Z KSIĘŻYCA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gałąź posiwiałej ze starości jabłoni załomotała w okno pokoju, w którym major Palfrey pakował kufer. Było to nagle, gwałtowne stukanie, zupełnie jakby niecierpliwy listonosz dobijał się do drzwi w mroźny, zimowy ranek. Major nachmurzył się i spojrzał na okno. Dora tak się przelęknęła, że upuściła na podłogę srebrną tackę, którą trzymała w ręku, a Flora krzyknęła jak mała sówka. Major podszedł do okna i rozchylił zasłony.

— Spójrzcie na księżyc — powiedział.

Poprzez gałęzie jabłoni księżyc patrzył prosto w szyby. Był błydy i obcy, otoczony jasnym kołnierzem lśniącej mgiełki.

— Z księżyc wieje wiatr — rzekł major. — To mi się bardzo nie podoba. Trzeba uważać i być grzecznym, kiedy z księżyc wieje wiatr. Bo jeśli to jest zły wiatr, a ktoś akurat jest niegrzeczny — to może mu dmuchnąć prosto w serce i potem już przez długi, długi czas będzie niegrzeczny. Więc pamiętajcie, że obie musicie być dobre i grzeczne przez cały dzisiejszy wieczór, zwłaszcza że odjeżdżam w dalekie i obce kraje i nie będzie mnie w domu przynajmniej przez rok. Musicie mi obiecać, że nie będziecie robiły żadnych psikusów i w ogóle niczego, co mogłoby denerwować mamę. Czy mogłybyście być dobre i grzeczne, jeśli się tak naprawdę postaracie?

— To będzie bardzo trudne — rzekła Dora.

— Okropnie trudne — dodała Flora.

— Już zawsze tak jest — westchnęła Dora — że choćbyśmy się nie wiem jak starały, zawsze jesteśmy niegrzeczne.

— Bardzo często — podchwyciła Flora — kiedy wydaje nam się, że już na pewno jesteśmy zupełnie grzeczne, przychodzi ktoś dorosły i powiada, że jesteśmy nieznośne. Bardzo trudno odróżnić jedno od drugiego.

— Czyby to coś pomogło — zapytał ich ojciec — gdybym wam spuścił lanie na zapas, przed wyjazdem?

Major często o tym napomykał, bo sam, jak był małym chłopcem, dostawał bity regularnie raz na tydzień, na wszelki wypadek, i uważał, że mu to wyszło na dobre. Ale był zbyt łagodny i czuł, żeby wprowadzić w życie te wzniosłe teorie.

— Porządne bity na pewno by wam dobrze zrobiły — powiedział. — Lepiej byście mnie zapamiętały.

— Na pewno strasznie byśmy płakały — rzekła Dora.

— I krzyczały tak głośno, jak tylko mogły — dodała Flora.

— I mama by się bardzo smuciła, bo mama nie lubi, jak my płacemy — powiedziała Dora.

— Nie będzie mnie w domu cały okrągły rok — mówił dalej major — a księżyc założył dziś na szyję biały, lśniący kołnierz. Oznacza to, że zły wiatr będzie wiał z księżyc. To mnie bardzo niepokoi.

— A mnie nie — rzekła Dora.

— Ani mnie — dodała Flora.

— Kiedy wrócisz, tatusiu, będę już miała warkocze dłuższe o trzy cale — mówiła Dora.

— A ja nauczę się pływać — dodała Flora,

Lecz major był ciągle zaniepokojony. Wyszedł z pokoju po dwa pistolety, które miał ze sobą zabrać, bo kraj, do którego jechał, był bardzo niebezpieczny. Dziewczynki zostały same.

— Postarajmy się być grzeczne i dobre, żeby mu zrobić przyjemność. Tatuś lubi, jak mu się robi przyjemność — powiedziała Dora.

— Pomóżmy mu w pakowaniu — zaproponowała Flora.

— Spójrz tylko, jak on to wszystko ułożył w kufrze! A jeszcze tyle rzeczy musi się zmieścić — rzekła Dora.

— I nie ma już wiele miejsca — dodała Flora.

— Mogłoby być więcej, gdyby zwinąć w rurkę wszystkie spodnie, kurtki i marynarki, a nie układać je w kufrze rozłożone, jak on to zrobił.

Więc wyciągnęły zapakowane już trzy cywilne ubrania i dwa mundury, zwinęły wszystko w długie rurki i włożyły z powrotem do kufra, upychając rękami i przydeptując nogami, żeby się lepiej zmieściło. Na wierzchu położyły sześć białych, świeżo

wypranych koszul, a na nich postawiły dwie pary butów.

— Chyba teraz jest znacznie lepiej — powiedziała Dora. Ale Flora słuchała właśnie, jak stara jabłoń łomocze gałęzmi w okno. Wiatr wzmagął się, uderzenia były gwałtowne i gniewne — ratatam, ratatam — i towarzyszył im zgrzyt małych gałązek ocierających się o szyby.

— Gdyby na jabłoni rosły dzwoneczki zamiast jabłek — zauważyła Flora — to ślicznie by na wietrze dzwoniły.

— Mogłybyśmy pozawieszać na jabłoni różne dzwonki i dzwoneczki — zaproponowała Dora.

— Właśnie o tym sobie myślałam — rzekła Flora.

— W naszym szkolnym pokoju jest duży dzwonek, a siedem małych srebrnych dzwoneczków leży w salonie na kominku i są jeszcze te trzy z brązu, co tatuś przywiózł z Chin.

— A ja wiem, gdzie jest sznurek — powiedziała Flora.

— Tatusiowi będzie przyjemnie — rzekła Dora — kiedy sobie przypomni, jak stara jabłoń dzwoniła mu dzwoneczkami na pożegnanie.

Więc zebrały wszystkie dzwonki i dzwoneczki, jakie znalazły w domu, i poszły do ogrodu. Stara jabłoń kołysała i wymachiwała gałęzmi, zupełnie jakby była strasznie zła. Robiła przy tym hałas i szum niby rozszepcany tłum ludzi wypowiadających naraz swoje najskrytsze, niespokojne myśli. Ale naprawdę to ta jabłoń nie była wcale zła, tylko drażniła się tak i przekomarzała z wiatrem, co było jej ulubioną rozrywką. Gdy ujrzała, że dziewczynki przyszły do ogrodu, natychmiast stanęła cicho i nieruchomo, by łatwiej im było wspiąć się na najwyższe gałęzie. Dora i Flora znakomicie chodziły po drzewach i z łatwością poprzywiązywały wszystkie dzwonki i dzwoneczki do gałęzi. Na samym szczycie umocowały srebrne dzwoneczki zabrane z salonu, niżej chińskie z brązu, które znalazły w przedpokoju, a do najniższej gałęzi przywiązały duży dzwonek, który zwykle wzywał je do nauki.

Gdy tylko zeszyły na ziemię, stara jabłoń potrząsnęła gałęzmi i wszystkie dzwonki i dzwoneczki zaczęły dzwonić.

Dora i Flora szybko wrócili do pokoju, w którym stał kufer, i tam słuchali rozdzwonionego koncertu.

„Bim-bom-bam” — napominał duży szkolny dzwonek. — „Bim-bom-bam, ja się uczę, więc zdam. Dwa razy dwa jest bim-bom-bam!”

„Ding-deng-dong, jak daleko Hong-Kong?” — śpiewały chińskie dzwonki z brązu. — „Chin-chin-chińczyk pek-pek-pekińczyk!”

A srebrne dzwoneczki z salonu, zawieszane na najwyższych gałęziach, nuciły: „Dzyń-dzeń-dzoń, raz żył wielki słoń. Dzoń-dzeń-dzyń, zjadł naraz sto dyń. Dzyń-dzoń-dzeń, cho-r-rował cały dzień!”

— Jaki śliczny koncert! — powiedziała Dora.

— Przepiękny! — zachwyciła się Flora.

W tej samej chwili rodzice weszli do pokoju i od razu było widać, że są zagniewani. Mamusia dziewczynek była wysmukła i bardzo ładna, ale łatwo się denerwowała. Lubiła nosić na szyi długie sznury koralu; czasem były to białe koraliki, a czasem zielone albo czerwone — i kiedy szła, kołysały się to w tę, to w tamtą stronę. Często zdarzało się, że gdy szybko i gwałtownie odwracała głowę, zawadzała o coś koralami.

— Co tu się dzieje? — krzyknęła. — Cóż to za straszny hałas?

— To jest prześliczny hałas — rzekła Dora.

— Myślałam, że cały dom się pali i że przyjechała straż ogniowa — powiedziała pani Palfrey. — Och, jak okropnie mnie przestraszyłyście!

„Bim-bom-bom, jakby się palił dom!” — krzyczał duży szkolny dzwonek.

— Stara jabłoń urządziła koncert — rzekła Dora.

— Tatusiowi na pożegnanie — wyjaśniła Flora.

„Ding-deng-dong, jaki śliczny brzęk w krąg” — zachwyciły się chińskie dzwoneczki z brązu.

— Czyż nie zastanowiłyście się nad tym, że to mnie okropnie zdenerwuje? — powiedziała pani Palfrey. — Ach, czemu wam to nie przyszło do głowy!

— Zabroniłem wam wspinać się po ciemku na drzewa — rzekł ojciec. — To jest bardzo niebezpieczne!

„Dzyń-dzeń-dzoń, uśmiełby się koń! Dzoń-dzyń-dzeń, i rżałby cały dzień!” — zanuciły srebrne dzwoneczki ze szczytu jabłoni.

— To było zupełnie bezpieczne — powiedziała Dora. — Stara jabłoń stała spokojnie i ani się nie poruszyła, jak na nią wchodziłyśmy.

— Boże! — wykrzyknęła pani Palfrey. — Tylko spójrz, co one zrobiły!

— Nie do wiary! — zawołał ojciec i patrzył osłupiały na kufer, w którym wszystkie jego ubrania i mundury leżały zwinięte w długie wálki, a buty stały na białych koszulach.

— Tego już za dużo! — powiedziała pani Palfrey. — To już nie do wytrzymania!

— Nie do wiary! Nie do wiary! — powtarzał major. — Nie mogę znaleźć słów! Obu wam spuszczę porządne lanie!

— Myśmy tylko chciały pomóc w pakowaniu — odezwała się Dora.

— Bo już na nic nie było miejsca — dodała Flora.

— A tak zmieściło się wszystko — wyjaśniła Dora.

— Mój mundur galowy! — zawołał major Palfrey. Rozwinął jeden z wałków i uniósł w górę swój szkarłatny mundur, straszliwie wymiętoszony.

— Nieznośne dzieci! — zapłakała pani Palfrey.

Dora nachmurzyła się, a Flora naburmuszyła. „Rodzice — myślały obie dziewczynki — nie potrafią być wdzięczni. Nie rozumieją, że chciałyśmy pomóc w pakowaniu kufra, nie poznali się zupełnie na ślicznym koncercie rozdzwonionej jabłoni. Tatuś i mamusia — myślały — nie mają o niczym najmniejszego pojęcia”.

— Nie warto wysilać się, żeby być dobrą i grzeczną — odezwała się Dora — bo nikt tego nie umie ocenić.

— Mogłyśmy po prostu być niegrzeczne, i już — rzekła Flora.

— Rzeczywiście, jesteście obie bardzo, bardzo niegrzeczne — powiedziała pani Palfrey.

— Może one nic na to nie mogą poradzić? — zastanawiał się major. — Z księżycą wieje wiatr, a jeśli to jest zły wiatr i wieje prosto w serce...

— Połóżcie się natychmiast do łóżek; przynajmniej nie zrobicie więcej szkody — powiedziała pani Palfrey.

Ale Flora i Dora nie od razu zasnęły. Zanim położyły się spać, odsłoniły okno i księżyc zajrzał do ich pokoju. Wydawało się im, że ma roześmianą twarz. I zamiast się smucić i żałować tego, co zrobiły, też zaczęły się śmiać i chichotać.

Ale następnego ranka po śniadaniu było im smutno. Ojciec ucałował je na pożegnanie i odjechał i wiedziały, że nie zobaczą go przez długi, długi czas.

Cały dzień były ciche i spokojne i nie zrobiły ani niczego złego, ani niczego dobrego — a mama dziwiła się, że są takie grzeczne.

Dora i Flora mieszkały w małym miasteczku, które nazywało się Harmider. Dom ich rodziców stał na samym jego krańcu, tam gdzie niedaleko już rozpoczynał się wielki Bór Ciemnobór. Z drugiej strony miasteczka rozciągała się posiadłość wicehrabiego Lancelota Marmolady, który miał swój własny ogród zoologiczny, a w nim najrozmaitsze zwierzęta. W samym środku miasteczka znajdował się rynek. W rynku, w dużym, obszernym domu mieszkał doktor. Nazywał się doktor Fosfor i miał jedno oko szklane.

Również w rynku, naprzeciw domu doktora, znajdowały się sklepy piekarza, rzeźnika i kupca kolonialnego. Rzeźnik nazywał się pan Żeberko, piekarz — pan Okruszek, a kupiec kolonialny — pan Mieszanka. Pan Żeberko były mały i tłusty, miał czerwone policzki i ani jednego włosa na głowie. Pan

Mieszanka był wysoki i chudy, miał długą szyję i smutny wyraz twarzy. Pan Okruszek miał jedną nogę drewnianą.

Wszyscy ci panowie posiadali żony, które nieustannie paplały. Państwo Żeberkowie mieli czterech synów, państwo Okruszkowie — trzy córki, a państwo Mieszankowie nie mieli dzieci w ogóle.

Przez miasteczko płynęła mała rzeczka i tam gdzie tworzyła zakręt, stała plebania, a obok — duży dom, w którym mieszkał pan sędzia Grzmot. Był jednym z sędziów Jego Królewskiej Mości i tak bardzo lubił swój zawód, że białą, sędziowską perukę nosił nawet przy pierwszym śniadaniu.

Proboszczem w miasteczku był pastor Filar, który mieszkał na plebanii i wszystkie pieniądze rozdawał biednym. Jego żona była bardziej niż on oszczędna, więc niewiele mu dawała jeść. Ojciec pastora też był pastorem, a sam pastor miał siedem sióstr. Jedna z tych sióstr była domową nauczycielką Dory i Flory. Nazywała się panna Rozumek.

Panna Rozumek uważała, że wiedza jest najważniejszą rzeczą na świecie, i przez cały okrągły rok, dzień w dzień, wpajała w Dorę i Florę rozmaite wiadomości z różnych dziedzin nauki — nie bacząc na to, czy są to wiadomości potrzebne, czy nie. Nawet podczas śniadania czy obiadu mówiła do dziewczynek w ten mniej więcej sposób:

— Doro, czy możesz mi podać pieprz? Pieprz, jak zapewne wiecie, jest przyprawą do potraw. Rozróżniamy: czarny pieprz, czerwony pieprz i biały pieprz. Za dawnych czasów jedynie król Portugalii miał prawo handlować pieprzem. Obecnie wielkie hodowle pieprzu znajdują się na wyspie Penang w Archipelagu Malajskim. Słowo „archipelag” oznacza grupę wysp. Penang znaczy po malajsku „Wyspa Orzechów Areca”. Orzechy te rosną na palmach, które znajdujemy na wyspie Penang, należącej do Archipelagu Malajskiego. Kiedyś znajdowało się tam więzienie. Rzeczownik „więzienie” pochodzi od czasownika „więzić”. Dawniej nasze więzienia były złe, ale stopniowo zostały ulepszone i teraz już są dobre. SingSing jest najbardziej znanym, nowocześnie urządzonym więzieniem. Dziękuję ci, kochane dziecko. Postaw pieprz na miejscu.

Pewnego dnia, kiedy panna Rozumek mówiła przy stole coś mniej więcej takiego, Dora przerwała jej nagle.

— Znam coś, co jest znacznie ważniejsze niż cała wiedza i nauka — powiedziała.

— Cóż to takiego? — zapytała panna Rozumek.

— Jedzenie — powiedziała Dora. — Czy mogę zjeść jeszcze kawałek ciasta?

— Ja też jestem głodna — odezwała się Flora.

— Będę musiała chyba wezwać doktora Fosfora, żeby was zbadał — powiedziała matka dziewczynek. — Jadacie teraz znacznie więcej niż dawniej i stajecie się coraz grubsze.

— Lubimy dużo jeść — rzekła Dora.

— Bardzo lubimy — dodała Flora.

— Bo jedzenie jest najważniejszą rzeczą na świecie — mówiła dalej Dora. — Ja po prostu uwielbiam jedzenie.

Kiedy to mówiła, zdała sobie sprawę, że jeszcze chwileczka, a będzie bardzo niegrzeczna. Ostatnio Dora i Flora dużo rozmawiały ze sobą o wietrze, który wieje z księżycy, i przeczuwały, że zbliża się już chwila, kiedy staną się jeszcze bardziej niegrzeczne, niż kiedykolwiek były. Szalenie je to ciekawiło, jak to będzie, i spodziewały się, że zabawią się przy tym znakomicie. Dora odkryła nagle, że jednym z najlepszych sposobów na to, by być niegrzeczną, jest stać się bezgranicznie i bezwstydnie łakomą. A że właśnie poczuła wspaniały i rozkoszny głód, więc łatwo jej przyszło stać się łakomą.

— Uwielbiam jedzenie — powtórzyła.

— Pani Wiedźma też uwielbia jedzenie — rzekła Flora, a Dora roześmiała się tylko. Nie wolno im było nawet wspomnieć imienia Pani Wiedźmy i Dora domyśliła się, że Flora też postanowiła być niegrzeczną.

— Dzieci! — wybuchnęła pani Palfrey. — Mówiłam wam, że nie wolno wspominać imienia tej osoby, nawet gdyby ona naprawdę istniała. Ale ja w to nie wierzę!

— Istnieje na pewno — oświadczyła Dora.

— Nigdy nie należy przeczyć mamie — rzekła panna Rozumek. — Każda matka kocha swoje dzieci i wie, co jest dla nich dobre, a co złe. W starożytnej Grecji żyła pewna matka nazwiskiem Niobe, która miała nie mniej jak dwanaścioro dzieci i żadne z nich nigdy by nie ośmieliło się przeczyć swej mamie; pewna jestem tego.

— Pani Wiedźma mieszka w Borze Ciemnaborze. Właśnie wczoraj ją odwiedziłam — mówiła z uporem Dora. — Czy mogę jeszcze kawałek ciasta?

Mało kto widział Panią Wiedźmę na własne oczy, ale prawie każdy o niej słyszał. Dora powiedziała, że była to bardzo stara kobieta, że miała brodawkę na brodzie i że na tej brodawce rosły trzy włoski. I że jedno oko miała większe niż drugie. I że żyła samotnie w małym, zielonym domku z żółtymi okiennicami. I że domek ten stał w najdalszej i najciemniejszej stronie Boru Ciemnaboru.

— Pierwszy raz ujrzałam Panią Wiedźmę, kiedy jadła wspaniały obiad — opowiadała. — Na pierwsze zjadła omlet z dwunastu jaj kuropatwy, na drugie — samą kuropatwę na grzance z jałowcem i frytkami, a na deser — krem czekoladowy i tort migdałowy z lukrem.

— Jeśli Pani Wiedźma istnieje naprawdę, to czemu ani wasza mama, ani ja nigdy jej na oczy nie widziałyśmy? — zapytała panna Rozumek.

— Bo ona zna się doskonale na czarach i na magii — wyjaśniła Dora — i robi się niewidzialna, jak kogo nie lubi.

— Mówisz głupstwa — rzekła matka. — Robisz to umyślnie. Gdyby tatuś był, to sama bym go prosiła, żeby ci spuścił lanie.

— A on by nie chciał! — zawołała Flora. — Nigdy tego nie robił.

— Och, jakie wy jesteście nieznośne! — westchnęła mama dziewczynek. — Okropnie mnie denerwujecie.

Panna Rozumek zawsze starała się być mądrzejsza od dziewczynek.

— Bardzo bym chciała spotkać kiedy Panią Wiedźmę — rzekła do Dory. — Może zabierzecie mnie kiedy ze sobą, jak będziecie szły ją odwiedzić?

— To by się na nic nie zdało — powiedziała Dora — bo pani należy do tego rodzaju ludzi, których ona nie cierpi.

— Należę do tego rodzaju ludzi, którzy nie wierzą w istnienie Pani Wiedźmy — rzekła panna Rozumek obrażonym głosem. — Ani ty, ani Flora nie możecie mi dowieść, że ona naprawdę istnieje.

— A właśnie, że możemy! — powiedziała Dora.

— W jaki sposób?

— Jak zjem jeszcze kawałek ciasta, to powiem.

— Ja też chcę ciasta — dopominała się Flora.

— Już obie dosyć zjadłyście — rzekła mama — ale trudno, dam wam jeszcze po kawałku.

A kiedy skończyły jeść, panna Rozumek powiedziała:

— No, a teraz proszę: dowiedźcie mi, że Pani Wiedźma istnieje naprawdę.

— Niech pani cierpliwie poczeka do jutra, a sama się pani przekona — zapewniła ją Dora.

Następnego ranka Dora i Flora weszły na górę i zapukały do pokoju panny Rozumek. Był to bardzo przyjemny pokój z oknem wychodzącym na południe. Stało w nim czeczotowe łóżko, czeczotowa toaletka i czeczotowe biureczko, przy którym panna Rozumek pisywała listy do swoich sześciu sióstr i jednego brata. Ściany pokoju były wylepione nową tapetą, którą panna Rozumek sama wybrała w sklepie. Był na niej wzór z małych, różowych różyczek, między którymi siedziały gołąbki. Każdy gołąbek miał na szyi wstążeczkę zawiązaną na kokardkę.

— Proszę wejść! — zawołała panna Rozumek, gdy tylko usłyszała pukanie. — Zapewne przyszłyście, żeby spełnić waszą obietnicę i udowodnić mi, że Pani Wiedźma naprawdę istnieje?

— Tak — rzekła Dora.

— Bardzo jestem ciekawa, jak to zrobicie — powiedziała chłodno panna Rozumek.

Dora pokazała jej pudełeczko, które ze sobą przyniosła. Było w nim pełno żółtego grochu.

— To jest specjalny groch, za którym gołębie przepadają — wyjaśniła. — Dostałam go od Pani Wiedźmy. Rozsypię go po podłodze i wszystkie gołębie z tapety ożyją i wyfruną. Trzeba będzie otworzyć okno.

— W życiu nie słyszałam podobnych głupstw! — wykrzyknęła panna Rozumek. — Nie pozwolę wam zaśmiecać mojego pokoju!

Ale Dora wysypała już groch na dywan i natychmiast wszystkie gołębie z tapety zaczęły ruszać główkami i trzepotać skrzydełkami i cały pokój wypełniły ich głosy.

— Grochuuuu! grochuuu! — wołały.

Niezmiernie to zdziwiło pannę Rozumek. Zbladła nieco, kiedy najpierw jeden gołąb, potem drugi i trzeci, i jeden przez drugiego i przez trzeciego zaczęły rozwiązywać kokardki na szyjach i rzucać je z pogardą na podłogę.

— Grochuuuu! grochuuuu! — gderwały przy tym i od razu można było poznać, że nie lubią tych głupich kokardek, które zawiązano im na szyjach.

Potem wszystkie sfrunęły na podłogę i zaczęły zjadać rozsypany groch, a kiedy zjadły wszystko, co było, wzbły się w powietrze, trzepocząc skrzydłami, aż w pokoju zrobił się okropny wiatr, który rozczochrał fryzurę panny Rozumek, zadarł w górę spódniczkę Dory i omal nie przewrócił Flory.

Dora szybko otworzyła okna; wszystkie gołębie wyfrunęły i poleciały do Boru Ciemnoboru.

— Czy wierzy pani teraz w Panią Wiedźmę? — zapytała tryumfująco Dora.

Ale panna Rozumek była tak przerażona, że nic nie odpowiedziała. Nie poprawiając nawet rozwianych włosów, zbiegła na dół i opowiedziała pani Palfrey o wszystkim, co się zdarzyło. Pani Palfrey nie chciała jej wierzyć, póki sama nie obejrzała tapety panny Rozumek. Zostały teraz na niej same tylko różyczki, a na podłodze leżały wstążki, które zrzuciły gołębie. Pani Palfrey bardzo się tym zdenerwowała i zaraz położyła się i odpoczywała przez całą godzinę, zanim znowu przyszła do siebie.

Tego dnia kucharka przygotowała na obiad zupę pomidorową, ozór na zimno, sałatę i ciasto z agrestem. Dora zjadła dwa talerze zupy, trzy porcje ozora i trzy kawałki ciasta. Flora zjadła trzy talerze zupy, jedną porcję ozora i cztery kawałki ciasta. Ich mama wiedziała, że jedzą za dużo, ale wciąż była jeszcze pod wrażeniem tego, że gołębie z tapety panny Rozumek wyfrunęły przez okno, i po prostu bała się odmówić dziewczynkom czegokolwiek. Panna Rozumek była wciąż jeszcze blada z wrażenia i choć nie pochwaliała apetytu Dory i Flory, milczała przez cały czas. Powiedziała jedynie kilka słów na temat sałaty. — Słowo „sałata” — stwierdziła — pochodzi od łacińskiego „salare”, co znaczy solić. Ja osobiście nie lubię rzeczy przesolonych, ale filozof Platon był zdania, że sól jest ulubioną przyprawą bogów. W niektórych krajach Środkowej Afryki sól cieszy się powszechną czią, choć tylko bardzo bogaci Afrykanie mogą sobie na sól pozwolić. Mało kto zdaje sobie sprawę z istotnej wielkości kontynentu afrykańskiego. Obszar Afryki wynosi dwanaście milionów mil kwadratowych, a odległość z jej północnego krańca do przylądka Agulhas, na samym południu, równa się pięciu tysiącom mil. Najbliżej związanymi postaciami z historią Afryki są Kleopatra i doktor Livingstone...

Ale nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na jej słowa i po chwili panna Rozumek umilkła.

Dora i Flora jadły z każdym dniem więcej. Na pierwsze śniadanie zjadały płatki owsiane ze śmietaną, jajka na bekonie, parówki i pomidory oraz mnóstwo grzanek z dżemem pomarańczowym i bułeczek z masłem i miodem. Na obiad — rostbef i cielęcinę na zimno, gotowaną baraninę z sosem koperkowym, rosół z kluseczkami, zupę z zająca i zupę jarzynową, potem pieczone kurczęta z nadzieniem i kaczkę z jabłkami, a do tego ziemniaki, brukselkę, kalafiora i fasolkę. Na deser jadły szarlotkę, ciasto z wiśniami, ciasto z rodzynekami, ciasto ze śliwkami i na zakończenie po dwie bezy. Na podwieczorek zaś bułeczki maślane, naleśniki z konfiturami, ptysie z kremem, napoleonki z kremem i ciastka czekoladowe z kremem i popijały to wszystko herbatą z mlekiem. A na kolację jadły kompot z rozmaitych owoców, jabłka w cieście, pomarańcze i banany i wypijały po dwa litry mleka każda.

Grubiały i grubiały. Aż stały się bardzo grube i jeszcze bardziej grube i co trzy albo cztery dni pękały na nich sukienki w szwach i nie mogły w żaden sposób naciągnąć pończoch na swe ciągle grubiejące nogi. Co kilka dni matka musiała im kupować nowe sukienki. Ale jeśli kupiła je, powiedzmy, we wtorek, to z góry można było przewidzieć, że sukienki te popękają na nich w piątek lub, w najlepszym wypadku, w sobotę.

A one jadły, jadły i jadły. Dobrze wiedziały, że to niegrzecznie tak okropnie dużo jeść, ale jak kto raz zacznie być łakomy, to już nie może przestać.

— Jedzenie — mówiły — jest najważniejszą rzeczą na świecie. Kochamy jedzenie i będziemy jadły wciąż więcej i więcej.

Mama dziewczynek bardzo się tym niepokoiła i postanowiła pójść z nimi do doktora Fosfora, spodziewając się, że parę jego największych butelek z lekarstwami wyleczy Dorę i Florę z ich strasznego apetytu.

— Doktor Fosfor ma jedno oko szklane — powiedziała Dora, jak tylko usłyszała o postanowieniu mamy. — Przedtem nim do niego pójdziemy, pożyczę od Pani Wiedźmy jej srokę.

— Ona ma srokę — wtrąciła Flora.

— A sroki bardzo lubią wykradać ludziom szklane oczy — dodała Dora.

Pani Palfrey tak się przelękała tych grózb, że przez długi czas nie śmiała nawet wspomnieć o doktorze Fosforze.

Między śniadaniem a obiadem Dora i Flora zjadały jeszcze biszkopty i dżem truskawkowy ze śmietaną, i słodkie ciasto z kremem, a między obiadem i kolacją — pół funta czekolady, ćwierć funta owoców w cukrze i po dziesięć cukierków każda. Często budziły się w nocy, schodziły na dół do kuchni i jadły, co tylko mogły do jedzenia znaleźć, jak na przykład kurczęta na zimno, jajka na twardo, ciasto ze śliwkami lub po dwa lub trzy kawałki babki.

Z czasem stały się tak grube, że były prawie zupełnie okrągłe, niby dwa duże baloniki. Aż pewnego dnia przekonały się, że nie mogą już prawie chodzić, tylko muszą się toczyć — stoczyły się więc ze schodów i wtoczyły do jadalni, odbijając się przy tym od podłogi zupełnie jak dwa balony lub dwie piłki.

Ich mamę tak to zdenerwowało, a potem i rozgniewało, że przestała się nawet obawiać Pani Wiedźmy i jej sroki.

— Natychmiast idziemy do doktora Fosfora — powiedziała, gdy tylko je zobaczyła. — Obie wyglądacie wprost obrzydliwie.

Wstyd mi, że jestem matką dwóch dziewczynek, które wyglądają jak dwa okrągłe balony, a nie jak ludzie. Tak jeszcze niedawno myślałam, że jesteście najładniejszymi dziećmi na świecie! Ty, Doro, z twymi niebieskimi oczami i złotymi warkoczykami, byłaś naprawdę śliczną dziewczynką; a i ty, Floro, byłaś taka ładna z twymi ciemnymi oczami i czarnymi lokami! Ale teraz wprost nie mogę na was patrzeć. Jesteście paskudne! Jeśli mi nie wierzycie, przejrzyjcie się w lustrze, a

same się przekonacie!

Obie dziewczynki stoczyły się z krzeseł i pokulały do przedpokoju, gdzie nad kominkiem wisiało duże, owalne lustro. Było ono zrobione ze szkła, które wydawało się prawie czarne, ale wszystko w nim odbijało się jasno i wyraźnie. Gdy przejrzały się w nim, były przerażone. Ich mama miała rację; wyglądały zupełnie jak baloniki, a nie jak normalne dziewczynki. Bardzo się złączyły tego, co się z nimi w tak krótkim czasie stało.

— Szybko, szybko! — wołała pani Palfrey. — Wkładajcie bereciki i natychmiast idziemy do doktora Fosfora. Panno Rozumek, niech pani też z nami pójdzie!

Dora i Flora zdjęły z wieszaków swoje bereciki, ale okazało się, że nie zdadzą się one na nic. Obie stały się prawie zupełnie okrągłe i bereciki nie miały się po prostu na czym trzymać.

— Czy kto kiedy widział — powiedziała panna Rozumek — żeby nakładać bereciki na baloniki?

Ranek był chłodny, lecz słoneczny. Wzdłuż drogi wiodącej do miasteczka rosły wielkie buki, teraz bezlistne, bo właśnie była zima. Gałęzie drzew rzucały pogmatwany cień na drogę; do miasteczka nie było daleko, a droga była ładna i przyjemna. Ale dla Flory i Dory nie był to miły spacer. Odkąd zaczęły tak dużo jeść, nie starczało im czasu na przechadzki i dawno już nie były w samym miasteczku. Teraz, kiedy stały się grube i okrągłe jak balony, nie mogły po prostu utrzymać się na nogach; pani Palfrey i panna Rozumek musiały je ciągle popychać naprzód. To toczyły się jak piłki, to podskakiwały odbijając się od ziemi — wkrótce też zgrzały się i zmęczyły okropnie.

— Nie wiem, co sobie ludzie w miasteczku pomyślą — powiedziała pani Palfrey do panny Rozumek — gdy zobaczą nas, jak tak popychamy i toczymy przed sobą Dorę i Florę. To wygląda po prostu śmiesznie! Może nie powinniśmy się z nimi pokazywać w miasteczku. Może lepiej by było, gdybym wezwała doktora Fosfora do domu?

I popchnęła mocniej Florę, która potoczyła się po drodze.

— Miejmy nadzieję, że wszyscy są w domu i nikogo nie będzie na ulicach — rzekła panna Rozumek szturchając Dorę, która aż trzy razy odbiła się od ziemi i poturlała dalej.

Rzeczywiście, na ulicach miasteczka nie było nikogo widać, ale nie dlatego, że wszyscy siedzieli w domu. Pogoda była na to zbyt ładna. Cała ludność spacerowała właśnie po rynku, tam gdzie mieszkał doktor Fosfor.

Akurat tego dnia pastor Filar postanowił zakupić butelkę farby do włosów w aptecce pana Syropa. Pastor Filar bał się, że włosy zaczynają mu rudzić, a ponieważ uważał, że rudy kolor włosów nie przystoi pastorowi, postanowił je ufarbować na jakiś inny, stosowniejszy kolor. Właśnie szedł do apteki, chcąc nabyć butelkę farby, gdy spotkał po drodze osoby następujące: czterech synów rzeźnika pana Żeberki, trzy córki piekarza pana Okruszka, parę bliźniąt imieniem Plaster i Pumeks, które były dziećmi aptekarza pana Syropa, oraz żonę kupca kolonialnego, panią Mieszankę, która wszystkim wyżej wymienionym dzieciom rozdawała lizaki.

Pastorowi przypomniało się, że już przynajmniej od dwóch dni nie słyszał, by ktoś w miasteczku coś śpiewał, a że bardzo lubił ładny śpiew, zwłaszcza chóralny, zwołał do siebie wszystkie dzieci oraz panią Mieszankę i rzekł:

— Może byśmy tak wszyscy razem zaśpiewali „Pije Kuba”?

Pani Mieszanka, która miała bardzo ładny głos, zgodziła się od razu, jak również i wszystkie dzieci.

— Zaczynamy! Trzy, cztery! — wykrzyknął pastor. — „Pije Kuba do Jakuba, Jakub do Michała!”

Zanim pieśń dobiegła końca, na rynku zebrało się czterdzieści osiem osób i siedem psów. Wszyscy razem odśpiewali potem „Poszedł Marek na jarmarek” i piękna ta pieśń, którą wykonano bardzo głośno, sprowadziła na rynek jeszcze sześćdziesiąt trzy osoby i osiemnaście psów.

Wówczas pastor wdrapał się na stojący w samym środku rynku pomnik królowej Wiktorii i głosem pełnym entuzjazmu wykrzyknął:

— A teraz, mimo że pogoda jest piękna, zaśpiewajmy „Choć burza huczy wkoło nas!”

Pięknie i głośno brzmiała melodia śpiewana na całe gardło przez ogółem sto jedenaście osób, podczas gdy dwadzieścia pięć psów wyło i uderzało do taktu ogonami o ziemię. Nic więc dziwnego, że wszyscy inni mieszkańcy miasteczka pobiegli śpiesznie na rynek i przyłączyli się do chóru. A gdy już cała ludność znalazła się na rynku, pastor zaintonował „Maszerują chłopcy”.

Wtedy to właśnie pani Palfrey i panna Rozumek, tocząc przed sobą Dorę i Florę, przybyły do miasteczka i dlatego nie spotkały nikogo na ulicach wiodących do rynku. Doszły do nich jednak donośne dźwięki śpiewanych pieśni. Dora i Flora zaczęły się odbijać od ziemi — bum-bum-bum — w rytm melodii. Śpiew ustał i przez krótką chwilę nie dochodził z rynku żaden głos, bo część zgromadzonych chciała śpiewać „Tango Milonga”, a część „Burłaków znad Wołgi”, podczas gdy pastor był za „Pójdź, pójdź, kotku biały”.

Dora i Flora wtoczyły się wreszcie na rynek, a tuż za nimi ukazały się pani Palfrey i panna Rozumek.

Tomek Żeberko, najstarszy syn rzeźnika, stał z samego brzegu zebranego na rynku tłumu, obok Kasi Okruszek i bliźniąt Plastra i Pumeksa. Gdy tylko zobaczył Dorę i Florę, zaczął od razu krzyczeć:



— Baloniki! Baloniki! Patrzcie, jakie ogromne baloniki! I wszystkie dzieci, jakie tylko były na rynku, zbiegły się do nich, przepychając się i przeciskając przez tłum, i w jednej niemal chwili otoczyło Dorę i Florę mnóstwo chłopców i dziewczynek, krzyczących głośno:

— Baloniki! Baloniki! Jakie ogromne baloniki!

Potem przybiegli za dziećmi dorośli i wszyscy zebrali się dokoła Dory i Flory i strasznie dziwili się, że tak śmiesznie wyglądają.

Pastor pozostał niewzruszony na pomniku królowej Wiktorii, ale nikt już nie zwracał na niego uwagi z wyjątkiem pani Mieszanki, która też wdrapała się na pomnik i namawiała pastora na chóralne odśpiewanie marsza z „Aidy”. Tłum odepchnął panią Palfrey i pannę Rozumek od Dory i Flory aż na drugą stronę rynku.

Przypadek sprawił, że córka piekarza Kasia Okruszek kupiła właśnie paczkę szpilek w pasmanterii pana Tasiemki. Kasia miała kruczoczarne włosy, bladą twarzą i długie, chude nogi. Chociaż była ładną dziewczynką, pełno w niej było złości. Wyjęła z kieszeni paczkę ze szpilkami, dała część Tomkowi Żeberce, a część bliźniętom Plastrowi i Pumeksowi i powiedziała im, żeby wszystkie szpilki rozdali dzieciom znajdującym się na rynku. A gdy już każde dziecko dostało szpileczkę, powiedziała głośno:

— Jeżeli to rzeczywiście są baloniki, to powinny pęknąć, gdy się je przekłuje! — I ukuła Dorę.

Tomek Żeberko ukuł Florę i wszystkie inne dzieci zaczęły krzyczeć:

— Przekłuwajmy baloniki, niech pękają! Przekłuwajmy baloniki! — I te, które były bliżej Dory, kłuły Dorę, a te, które były bliżej Flory, kłuły Florę.

Dora i Flora zaczęły krzyczeć i płakać tak głośno, że aż wszyscy się zdumieli, a obecne na rynku psy starały się zagłuszyć ich krzyk i płacz donośnym szczekaniem.

Pani Żeberko, żona rzeźnika, szybko schwyciła Tomka i porządnie natarła mu uszu. Pani Tasiemka, która miała krótki wzrok,

złapała za kark Plastra i Pumeksa, myśląc, że to jej własne dzieci, i zaczęła stukać ich głowami o siebie.

Gdy tylko pani Syrop, matka Plastra i Pumeksa, to zobaczyła, natychmiast zaczęła ciągnąć panią Tasiemkę za włosy. Pan Tasiemka, pragnąc przyjść żonie z pomocą, szybko skoczył naprzód i natychmiast przewrócił się jak długi na ziemię, zawadziwszy o drewnianą nogę, którą mu podstawił piekarz, pan Okruszek. Ale inne dzieci nie przestały kłuć szpilkami Dory i Flory, które dalej darły się wniebogłose, jednocześnie zaś siedemnaście psów zaczęło walczyć ze sobą w ośmiu różnych punktach rynku, podczas gdy pozostałe szczekały i wyły tak głośno, jak tylko mogły, żeby zagrzać swych towarzyszy do boju.

W tym momencie pani Mieszanką spadła z pomnika królowej Wiktorii wprost na pana Haka, kupca towarów żelaznych, który był bardzo tłusty, i w ten tylko sposób uniknęła niechybnej śmierci. Samotnie stojący teraz na pomniku pastor krzyczał głośno:

— Spokój! Spokój! Milczenie jest złotem! — Ale nikt go nie słyszał i nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Nagle pan policjant Gwizdź gwizdnął w gwizdek. Gwizdnął raz — wszyscy dorośli przestali bić się i kłócić. Gwizdnął drugi raz — i wszystkie dzieci ucichły i przestały kłuć Dorę i Florę. Gwizdnął trzeci raz — i wszystkie psy przestały szczekać i wyć. Na rynku zapanował spokój i cisza.

— W imieniu Jego Królewskiej Mości wzywam was do zachowania spokoju! — krzyknął tubalnym głosem pan policjant Gwizdź. — A jak się nie uspokoiacie, zamknę was wszystkich w więzieniu! Niniejszym zabrania się krzyczeć, wrzeszczeć, hałasować, bić się, tłuc się, kłuć się, pchać się, gryźć się, szczekać i wyć! Zachowujcie się wszyscy grzecznie i natychmiast idźcie do domu. Ktokolwiek spóźni się na obiad, poczuje ciężar mej karzącej ręki sprawiedliwości! Boże chroń Króla!

I wszyscy rozeszli się do domów i bardzo byli zawstydzeni, a pani Palfrey i panna Rozumek robiły co mogły, żeby utulić płacz Dory i Flory. Lecz one nie przestały płakać nawet wtedy, kiedy pan Chmiel, który rozwoził piwo, odwiózł je do domu swoim wózkiem, co przecież jest znacznie przyjemniejsze od turlania się po pełnej kurzu drodze.

Dora i Flora nie mogły powstrzymać łez. Płakały i płakały po całych dniach. Całkiem straciły apetyt i nie chciały teraz nic jeść. Piły za to mnóstwo mleka, wody, lemoniady i kwasu i być może, że wszystkie te płyny zamieniały się w łzy. Czas mijał, a one płakały i płakały. Przeplakały całą Gwiazdkę i Nowy Rok, i Trzech Króli, aż zaczęły chudnąć od płaczu. Z początku zrobiły się cienkie jak uliczne latarnie, potem jeszcze bardziej schudły i stały się cienkie jak laski i wciąż dalej chudły i chudły. A twarze miały zupełnie czerwone od płaczu.

Pewnego dnia, kiedy siedziały w ogrodzie pod jabłonią, nie przestając płakać, matka spojrzała na nie i wykrzyknęła przerażona:

— O Boże! Toż wy jesteście cienkie jak zapałki! A wasze czerwone twarzyczki wyglądają zupełnie jak główki od zapałek, którymi ojciec zwykł zapalać fajkę.

— Najwcześniejsze próby fabrykacji zapałek siarkowych — odezwała się panna Rozumek — czynione były przez Roberta Boyle, którego ojciec był hrabią Korku; odkrył on prawo Boyle'a dowodzące, że objętość ciała w stanie gazowym zmienia się w stosunku odwrotnym do ciśnienia wywieranego na to ciało...

Ale pani Palfrey nie zwróciła uwagi na to, co mówiła panna Rozumek, a jedynie smutnie pokiwała głową i ciężko westchnęła:

— Ile ja mam przez was zmartwienia, moje dzieci! Będę was chyba musiała zabrać do doktora Fosfora! Ale czy obiecasz mi, Doro, że nie weźmiesz ze sobą tej okropnej sroki, która mogłaby wykraść jego szklane oko?

— Nie lubię doktora Fosfora — rzekła Dora.

— Ani ja — dodała Flora.

— Ale przecież wy się ludziom na oczy nie możecie pokazać, bo wyglądacie jak dwie zapałeczki! — powiedziała matka dziewczynek i w dalszym ciągu wzdychała i kiwała smutnie głową. Nosiła właśnie jeden ze swoich najdłuższych naszyjników z żółtych koralu i gdy kiwała smutnie głową — najpierw w kierunku Dory, a potem w kierunku Flory — naszyjnik zaplątał się w nisko rosnącą gałąź jabłoni.

— Och, co to będzie! — wykrzyknęła i nierozważnie uczyniła jeden krok do tyłu. Sznurek naszyjnika pękł i wszystkie koralce rozsypały się po trawie.

— Naszyjniki — rzekła panna Rozumek — są najstarszą znaną w dziejach ludzkości ozdobą ciała. Znajdywano je nie tylko w wykopaliskach czynionych w Babilonie, ale również i w przedhistorycznych osiedlach, pochodzących z epoki kamienia łupanego...

— Tam je może znajdywano, ale teraz tu je musimy znaleźć — powiedziała pani Palfrey zagniewanym głosem i panna Rozumek szybko uklękła na trawie i zaczęła szukać rozspanych koralu.

— Dora, Flora! — wołała pani Palfrey. — Chodźcie tu szukać koralu!

Ale obie dziewczynki zniknęły. Pobiegły za dom, gdzie nad trawnikiem wieszano upraną bieliznę, żeby wyschła. Trawnik był otoczony gęstym, bukszpanowym żywopłotem, błyszczącym zielonością w zimowym słońcu.

— Czy my naprawdę wyglądamy jak zapałki? — zapytała Dora.

— Ty tak — rzekła Flora przymrużając oczy, żeby się jej lepiej przyjrzeć. — Może niezupełnie jak zapałka, ale prawie, prawie. j

— Ty też wyglądasz jak zapałka — rzekła Dora. — Odejdź no trochę. Jeszcze troszkę. Tak, wyglądasz jak zapałka.

Flora znowu zaczęła płakać.

— Przestań — rzekła Dora. — Płacz jeszcze nam bardziej zaszkodzi.

— Zdawało mi się, że to przyjemnie być niegrzeczną — łkała Flora. — Ale, jak dotąd, nie miałyśmy z tego żadnej uciechy.

— Ale przyjemnie było wtedy, kiedy tyle jadłyśmy — przypomniła jej Dora.

— A kiedy nas dzieci kłuły tam na rynku — mówiła Flora — to wcale nie było przyjemnie! I nie było przyjemnie tak płakać po całych dniach.

— E, z początku to przyjemnie było płakać — rzekła Dora — nawet bardzo przyjemnie. Tak sobie postękiwać i pojękiwać. Po prostu rozkosz!

— Ale to trwało trochę za długo — rzekła Flora.

— Tak — trzeba przyznać, że trochę za długo. W tym cały kłopot, że najpierw powinnyśmy się nauczyć być niegrzecznymi.

Wiemy, jak trudno jest nauczyć się grzeczności. Widać tak samo trudno jest nauczyć się niegrzeczności. To znaczy nauczyć się, w jaki sposób mamy być niegrzeczne, żeby nam to sprawiało przyjemność.

W tej właśnie chwili usłyszały za sobą czyjś głos:

— O, tu są! Dwie zapalki!

— Dwie zapalki leżą sobie na trawniku! — rzekł inny głos. — Coś podobnego!

Dora i Flora szybko odwróciły się i ujrzały panią Tasiemkę, żonę właściciela pasmanterii, i Kasię Okruszek, które przyglądały się im uważnie. Pani Tasiemka miała bardzo krótki wzrok, a chcąc je lepiej zobaczyć, oparła się całym ciałem na żywopłocie, aż gałązki bukszpanu ugięły się pod jej ciężarem. Kasia podskakiwała obok niej to na jednej, to na drugiej nodze. Flora i Dora znieruchomiały z przerażenia.

— Dwie zapalki! — powtórzyła pani Tasiemka. — Coś podobnego!

— A nie mówiłam? — powiedziała Kasia.

Kasia już od kilku dni śledziła Dorę i Florę i kiedy niedawno płakały w ogrodzie pod jabłonią, ukryła się w rododendronach, które rosły przy murze, i wszystko widziała. Słyszała również, jak pani Palfrey powiedziała, że Dora i Flora wyglądają zupełnie jak zapalki. Wietrząc sposobność zrobienia jakiegoś psikusa, pędem pobiegła w stronę miasteczka i pierwszą osobą, jaką spotkała, była pani Tasiemka.

— Widziałam coś bardzo ciekawego! — powiedziała, gdy ją tylko zobaczyła.

— A co takiego? — zapytała pani Tasiemka.

— Dwie duże zapalki! — rzekła Kasia.

— Też jest się czym chwalić! — powiedziała pani Tasiemka.

— Ale to nie takie zwyczajne zapalki — ciągnęła dalej Kasia. — Każda ma dwie nogi!

— Niepodobna — rzekła pani Tasiemka.

— Chciałaby pani je zobaczyć? — zapytała Kasia.

— Pewnie, żebyśmy chciała! — powiedziała pani Tasiemka.

— Są tam na trawniku, za domem! — wykrzyknęła Kasia i obie pośpieszyły uliczką idącą wzdłuż ogrodu i bez tchu prawie dobiegły do bukszpanowego żywopłotu.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła pani Tasiemka, gdy tylko całym ciałem oparła się o żywopłot i przechyliła do przodu. — Nigdy w życiu nie widziałam niczego takiego! Zapalki na dwóch nogach! Ach, jak ciekawy jest ten nasz świat! Człowiek uczy się przez całe życie!

— A co się robi z zapalkami? — zapytała Kasia. Dora i Flora czekały na odpowiedź, wstrzymując z przerażenia oddech.

Pani Tasiemka zamyśliła się głęboko i wreszcie oznajmiła z tryumfem:

— Po to są zapalki, żeby je zapalać.

— Tak sobie właśnie myślałam — rzekła Kasia.

— Zapalki są po to, żeby je zapalać! — powtórzyła pani Tasiemka i zaczęła się śmiać.

Śmiech pani Tasiemki przypominał hałas, jaki powstaje, kiedy do pustej, blaszanej puszki po biszkoptach wrzucą się parę kamyków, a potem mocno nią potrząsą.

Dora i Flora usłyszały ten straszliwy śmiech i przeraziły się okropnie. Zaczęły uciekać tak szybko, jak tylko mogły; biegly i biegly, aż znalazły się wreszcie w domu. Wpadły do swojego pokoju i zamknęły drzwi na klucz.

Kasia Okruszek też zaraz pobiegła do miasteczka. A pani Tasiemka, która miała bardzo krótki wzrok, nie widziała, kiedy i gdzie wszyscy zniknęli, i zdumiała się bardzo, gdy nagle zobaczyła, że jest zupełnie sama. A jeszcze bardziej się zdumiała, gdy stwierdziła, że nie może się wydobyć z żywopłotu, w który się zapadła, i że gałązki bukszpanu trzymają ją na uwięzi. Było to zupełnie tak, jakby bukszpanowy żywopłot wziął panią Tasiemkę do niewoli.

— Ratunku! Ratunku! — zaczęła wołać, aż usłyszała za sobą czyjeś kroki. — Kto idzie? — zapytała.

— To ja, proszę pani — odpowiedział tubalny głos, po którym pani Tasiemka rozpoznała pana policjanta Gwiżdżę.

— Niech pan mi pomoże! — krzyknęła.

— Nie tak szybko — rzekł policjant. — Przede wszystkim zechce mi pani powiedzieć, w jaki to sposób znalazła się pani w tej sytuacji? Czy przypadkiem nie zamierzała pani dokonać jakiegoś przestępstwa? Widzę tu przed sobą dwie pary jedwabnych pończoch, suszących się na sznurze. Być może, że pani, pani Tasiemko, chciała ukraść te jedwabne pończochy!

— Jak pan śmie! — zawołała oburzona pani Tasiemka. — Jak podobna myśl mogłaby mi przyjść do głowy! Każdy w miasteczku wie, że jestem niesłychanie uczciwa; że jestem wprost chodzącą uczciwością!

— Może być — rzekł policjant Gwiżdż — ale Prawo nie zwraca najmniejszej uwagi na to, co każdy wie. Prawo zwraca jedynie uwagę na dowody i okoliczności, a dowody i okoliczności, droga pani Tasiemko, świadczą wyraźnie przeciw pani. Mój obowiązek jest jasny, jaśniejszy nawet niż słońce: zakuję panią w kajdany. W imieniu Prawa aresztuję panią, droga pani Tasiemko. Niech żyje Król!

Mówiąc te słowa, policjant Gwiżdż wyciągnął panią Tasiemkę z żywopłotu, po czym założył jej na ręce kajdany i mimo jej głośnych i licznych protestów zaprowadził ją wprost do więzienia.

Tymczasem Dora i Flora przeprowadziły za zamkniętymi drzwiami pokoju bardzo poważną rozmowę.

— Myślę — rzekła Dora — że musimy się zdecydować na jedno albo na drugie. Albo będziemy grzeczne, albo będziemy niegrzeczne. Jeśli mamy dalej być niegrzeczne, to musimy się namyślić, jak to robić. Czy chcesz może przestać być niegrzeczną?

— Nie! — rzekła stanowczo Flora.

— Zatem musimy robić to rozsądnie. Nie ma sensu być niegrzeczną, jeśli się z tego nie ma żadnej przyjemności.

— Pragnę zemsty! — wykrzyknęła Flora.

— Chcesz się zemścić na pani Tasiemce i na Kasi Okruszek?

— Tak! I na wszystkich, co kłuli nas szpilkami.

— Masz najzupełniejszą rację. Ale jak to zrobić, żeby się nie narazić na coś równie nieprzyjemnego?

— Nie mam pojęcia. Ale może ty, Doro, coś wymyślisz. Zawsze masz doskonałe pomysły.

— Coś mi właśnie przyszło do głowy — rzekła Dora. — Czy przypominasz sobie, jak się wszyscy w miasteczku okropnie przełękli, kiedy niedźwiedź wszedł do sklepu pana Haka?

— Pamiętam — rzekła Flora. — Wszyscy uciekali, gdzie mogli, chociaż on po prostu wszedł do sklepu, wręczył panu Hakowi list i poprosił o przesłanie go pod adresem wicehrabiego Lancelota Marmolady.

— Chciał się po prostu dostać do prywatnego Zoo wicehrabiego i przyniósł podanie w tej sprawie — powiedziała Dora. — A wszyscy się tak okropnie przełękli, że aż powłazili na drzewa.

— To jest bardzo ładny bury niedźwiedź. Widziałam go niedawno w Zoo.

— Musimy wszystkich w miasteczku tak samo przestraszyć.

— Ale jak to zrobić? — zapytała Flora.

— Jutro ci powiem — odparła Dora. — Jak tylko wymyślę to wszystko, co chcę wymyślić.

— Zemsta jest rozkoszą bogów! — rzekła Flora.

Dora podeszła do stołu, na którym stał duży, biały w niebieskie kropki dzban mleka, i naląła z niego dwa kubki. Jeden z nich podała Florze.

— Czy pamiętasz, jak tatuś zawsze lubił wznosić toasty „Za króla, za nieobecnych przyjaciół, za nasz okręt i za pamięć admirała Nelsona”? My też wzniesiemy toast. Niech żyje Zemsta!

— Niech żyje Zemsta! — powtórzyła Flora i tak szybko wypła mleko, że się omal nie udławiła. A kiedy przestała się krtusić, zwróciła się do Dory: — Co chcesz mi jutro powiedzieć?

Dora podeszła na palcach do drzwi i otworzyła je nagle i cicho, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje lub nie podgląda przez dziurkę od klucza. Potem podeszła do Flory i szepnęła jej do ucha:

— Przede wszystkim musimy choć troszkę utyc i odzyskać siły. Potem pójdę do Pani Wiedźmy, opowiem jej wszystko i ona na pewno pomoże nam dokonać Straszliwej Zemsty.

Minęło kilka tygodni. Na ziemi, wśród korzeni starego dębu rosnącego na skraju Boru Ciemnoboru, leżała Flora, cierpliwie czekając na swoją siostrę. Dora poszła właśnie z wizytą do Pani Wiedźmy. Flora chciała też z nią tam pójść, ale Dora stanowczo się sprzeciwiła, tłumacząc jej, że Pani Wiedźma nie lubi niespodziewanych gości; gdyby ujrzała kogoś, kogo nie zna, mogłaby się rozgniewać i stałaby się na złość niewidzialna. Straciłyby wówczas cały ranek, na próżno szukając jej po lesie. Pani Wiedźma nienawidziła ludzi, którzy przychodzili do niej jedynie z ciekawości. Była dla nich bardzo niegrzeczna i opryskliwa, krzyczała i wymyślała im głośno. Wszyscy wiedzieli, że straszliwy był gniew niewidzialnej Pani Wiedźmy. Flora czekała długo i cierpliwie, aż wreszcie ujrzała wracającą Dorę, która szła leśną ścieżką, pod wysokim sklepieniem drzew. Zerwała się i podbiegła do niej.

Obie dziewczynki wyglądały już normalnie i zdrowo, czuły się znakomicie i w pełni odzyskały siły. Dawno już przestały płakać po całych dniach. Wczoraj wieczór zjadły dobrą kolację, a dziś rano porządne śniadanie.

— Co ci Pani Wiedźma powiedziała? — zapytała Flora. — Czy chce nam dopomóc? A jak ona wygląda? I kiedy wreszcie dokonamy naszej Zemsty? Opowiedz mi wszystko.

— Weź przede wszystkim to — rzekła Dora wręczając jej mały koszyczek w kształcie pudełeczka, upleciony z trawy. — Tam w środku jest coś niesłychanie ważnego i cennego — dodała.

— Czy dała ci to Pani Wiedźma? Czy to coś potrzebnego do robienia czarów? — zapytała Flora.

— Tak — skinęła poważnie głową Dora i obie rozsiadły się wygodnie wśród korzeni starego dębu. — Słuchaj uważnie — mówiła dalej — opowiem ci wszystko dokładnie. A więc — zastałam Panią Wiedźmę w domu. Piła akurat herbatę i rozmawiała ze swoją kozą, Wilusiem, i ze swoją sroką, Mojżeszem. Niezupełnie dokładnie słyszałam, ale zdaje mi się, że mówili o złotej pumie, która mieszka w Zoo.

— Znam ją — rzekła Flora. — To najpiękniejsza puma, jaką w życiu widziałam.

— Nie widziałaś znowu tak wielu pum w życiu — zauważyła Dora.

— Ty też nie! — rzekła Flora.

— To prawda — przyznała Dora — ale mamy mówić o Pani Wiedźmie, a nie o pumach. Jak tylko Pani Wiedźma zobaczyła mnie, kazała Wilusowi i Mojżeszowi wyjść z pokoju i dała mi filiżankę herbaty z pysznym sokiem poziomkowym. Potem opowiedziałam jej wszystkie nasze przygody i mówiłam, że chcemy się zemścić na całym miasteczku. Pani Wiedźma powiedziała, że mamy rację i że ty wykazałaś prawdziwą odwagę i siłę ducha, i że będę cię mogła następnym razem do niej zaprowadzić.

— Och, to świetnie! — zawołała Flora. — Kiedy do niej pójdziemy? Może jutro?

— Nie. Musisz się przedtem zestarzeć — rzekła stanowczo Dora. — Kiedy byłam w twoim wieku, nawet nie marzyłam o chodzeniu do Pani Wiedźmy.

— To bardzo nieładnie i niesprawiedliwie — rzekła z wyrzutem Flora — że niektórzy ludzie wykorzystują to, że są o dwa lata starsi od innych.

— Takie jest prawo natury — oświadczyła Dora.

— Bardzo niesprawiedliwe prawo — powiedziała Flora.

— Zmienisz zdanie za dwa lata, jak będziesz w moim wieku — rzekła Dora.

— Nie, nie zmienię — odparła Flora — bo ty też będziesz wtedy o dwa lata starsza ode mnie i będziesz z tego korzystała tak samo jak teraz.

Dora zastanowiła się chwilę nad tym problemem, po czym rzekła: — Ale kiedy obie już będziemy staruszkami, ty będziesz miała na przykład tylko dziewięćdziesiąt lat, a ja — aż dziewięćdziesiąt dwa. A jak się ma dziewięćdziesiąt dwa lata, to często się zdarza, że leży się już na śmiertelnym łożu. I gdy ja będę leżeć na śmiertelnym łożu — ty wciąż jeszcze będziesz mogła chodzić na zabawy, tańce i na spacer. I będziesz opowiadać swoim prawnukom o przygodach i o wszystkim, co zdarzyło się, jak byłaś małą dziewczynką. Wciąż jeszcze będziesz mogła robić mnóstwo różnych rzeczy, podczas gdy ja już nic w ogóle nie będę mogła robić. I wtedy to będzie dla mnie okropnie niesprawiedliwe. Ale w ten sposób wszystko się wyrówna. Takie jest prawo natury.

— Może masz rację — rzekła Flora — ale strasznie długo muszę na to czekać! Lecz powiedz coś więcej o Pani Wiedźmie.

— Mówiła, że kiedyś, gdy wyszła z domu, jacyś chłopcy z miasteczka obrzucili kamieniami jej domek i zbili szybę w oknie. Więc bardzo się ucieszyła, gdy jej powiedziałam, że chcemy się zemścić na całym miasteczku, i obiecała dopomóc nam w tym. Potem mówiłam jej o burym niedźwiedziu, który poszedł do sklepu żelaznego pana Haka, i jak się wtedy wszyscy przerazili. I poprosiłam ją, żeby nam dała czarodziejski płyn, który by zamienił nas w bure niedźwiedzie.

— Ale nie na zawsze — złękła się Flora.

— Nie, tylko na kilka dni.

— Za nic w świecie nie chciałabym być burym niedźwiedziem do końca życia.

— W ogóle wcale nie będziemy żadnymi burymi niedźwiedziami — oświadczyła Dora — bo Pani Wiedźma uważa, że to nie jest dobry pomysł. Niedźwiedź musi nosić grube futro i byłoby nam gorąco i niewygodnie i dostałybyśmy wysypki. Poradziła nam, że najlepiej będzie, jak się zamienimy w krokodyle. Krokodylom — mówiła — jest znacznie chłodniej i w ogóle przyjemniej być krokodylem niż niedźwiedziem, a nic by tak nie przeraziło ludzi w miasteczku, jak para ogromnych krokodyli spacerujących po ulicach.

— Ja nie chcę być krokodylem — rzekła Flora.

— I ja nie chcę — zgodziła się Dora. — Od razu jej to powiedziałam. Pani Wiedźma uważa, że jak nie chcemy być krokodylami, to możemy sobie same wymyślić coś innego. Niestety nie miała akurat pod ręką ani kropelki czarodziejskiego płynu, więc musiałam czekać, aż go przyrządzi, i dlatego tak późno wróciłam. A jak przyrządzała czarodziejski płyn, cały czas śpiewała czarodziejską piosenkę.

— Czy ona ładnie śpiewa? — zapytała Flora.

— Niezbyt ładnie, ale za to bardzo wyraźnie.

— Pamiętasz tę piosenkę?

— Mniej więcej. Postaram się ją zaśpiewać — rzekła Dora.

Zmarszczyła z natężeniem brwi, poszeptała coś cicho pod nosem, przypominając sobie słowa piosenki, a potem cichutko, ale wyraźnie zaczęła nucić:

Łapę małpy, mózg robaka,
Rybią skrzelę, ryj prosiaka,
Szczyptę soli, olej z moli,
Cień śródnocny, róży cierń,
Wąs tygrysi, ogon mysy
I do tego Biel i Czerń —

Wszystko razem wrzucić w gar,
Dmuchać w ogień, by był żar,
Często mieszać w krąg i wspak,
Aż właściwy będzie smak!

Pióro ptaka, co nie fruwa,
Szcypce raka, oko żółwia,
Język węża, żądło żmii,
Dwie brodawki z krecich szyj,
Z nozdrzy byka włoski trzy
I dwie krokodyle łzy —

Wszystko razem wrzucić w gar,
Dmuchać w ogień, by był żar,
Często mieszać w krąg i wspak,
Aż właściwy będzie smak!

Sowie jajo, kolec jeża,
Krew wyssaną z nietoperza,
Blask księżycy, wodę z kałuż,
I garść proszku, czyli miału,

Z zachłyśniętej krtani ośc,
Białe coś i czarne coś —

Wszystko razem wrzucić w gar,
Dmuchać w ogień, by był żar,
Często mieszać w krąg i wspak,
Aż właściwy będzie smak!

— Bardzo ładna piosenka — rzekła Flora — ale boję się, że ten płyn nie będzie bardzo smaczny.

— Na pewno będzie okropny! — powiedziała Dora.

— Możemy zatkać nosy i połknąć go od razu, jednym haustem — rzekła Flora. — A potem staniemy się... A prawda, czym się staniemy? Nie chcę być, na przykład, hipopotamem ani niczym takim w tym rodzaju. Najbardziej bym chciała zamienić się w antylopę, ale antylopy nikt się nie boi. Więc w co się zamienimy?

— Długo się nad tym zastanawiałam — rzekła Dora — i przyszło mi do głowy, że jest jeden bardzo poważny szkopał. Zwierzęta nie mają kieszeni i nie noszą przy sobie ani portmonetek, ani torebek, ani niczego. A my musimy wziąć ze sobą przynajmniej szczoteczki do zębów i chustki do nosa, bo nie będzie nas kilka dni w domu.

— Ja chcę zabrać tabliczkę czekolady! — zawołała Flora.

— I trzeba by wziąć zeszyt — powiedziała Dora.

— A mój nowy zegarek? Nigdzie nie ruszę się bez niego! — rzekła Flora.

— Przede wszystkim musimy zabrać ze sobą buteleczkę z czarodziejskim płynem. Bo jak się bez niego z powrotem zamienimy w dziewczynki?

— A może — zaproponowała Flora — mogłybyśmy przywiązać sobie na szyi małe torebki i włożyć w nie wszystko, co nam potrzeba?

— Przyszło mi do głowy coś znacznie lepszego! — krzyknęła Dora. — Są przecież zwierzęta, które mają kieszenie!

— Wiem! — zawołała Flora. — Kangury!

— Tak — rzekła Dora — kangury. Mają one kieszenie po to, żeby nosić w nich dzieci, ale my możemy w nich nosić szczoteczki do zębów, chusteczki do nosa, zeszyty, czekoladę i wszystko to, co byśmy chcieli.

— Byłoby nam znacznie wygodniej niż innym zwierzętom, gdybyśmy to wszystko miały ze sobą — cieszyła się Flora. — A jak ludzie zobaczą w miasteczku dwa skaczące kangury, przerażą się okropnie!

— Znów powłazą na drzewa ze strachu — powiedziała Dora.

— To będzie świetna zabawa — rzekła Flora. — Ale czuję się trochę nieswojo, gdy pomyślę, że jutro o tej porze będę już kangurem.

— Mnie też jest trochę głupio — przyznała Dora.

— Kiedy wypijemy czarodziejski płyn? Zaraz?

— Nie. Jutro po śniadaniu. Teraz chodźmy do domu, musimy się zapakować. A właściwie niezupełnie zapakować, bo jeszcze nie mamy do czego włożyć tych wszystkich rzeczy, które chcemy zabrać ze sobą.

— Strasznie jestem ciekawa, jak to będzie — westchnęła Flora. — Często zastanawiałam się, czym zostanę, jak dorosnę: nauczycielką tańca, wołyżerką w cyrku czy matką dziesięciorga dzieci — ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę kangurem!

W sali Sądu Okręgowego miasteczka Harmider — Główny Sędzia Grzmot przewodniczył rozprawie przeciwko pani Tasiemce, żonie właściciela pasmanterii, oskarżonej o usiłowanie popełnienia przestępstwa, o podstępne działanie i chęć złamania prawa — to znaczy o to, że chciała ukraść dwie pary jedwabnych pończoch. Sędzia Grzmot siedział na czymś w rodzaju tronu, nad nim wisiało angielskie godło państwowe, portret księcia Wellingtona oraz łacińskie motto wypisane na wstędze: *Fiat Justitia Ruat Coelum*. Te straszliwe słowa znaczą mniej więcej, że:

Wśród burz, piorunów i ziemi trzęsienia
Siedzę tu, by cię posłać do więzienia.

Główny Sędzia ubrany był w szkarłatną togę, na głowie miał nową perukę, całą ufryzowaną w śliczne, białe loczki, i w ogóle wyglądał wspaniale.

Pani Tasiemka siedziała na ławie oskarżonych i gorzko płakała. Obok niej stał strażnik, który nie spuszczał jej z oka. Pan Tasiemka przyniósł swej żonie tuzin chusteczek do nosa, prosto ze sklepu. Pani Tasiemka zmoczyła już swymi łzami trzy chusteczki.

Oskarżycielem w procesie pani Tasiemki był Królewski Radca Oskarżający, pan prokurator Hobson, a obrońcą — Królewski Radca Obraniający, pan adwokat Jobson. Panowie Hobson i Jobson byli zażyłymi przyjaciółmi i umówili się kiedyś między sobą, że każdy z nich będzie miał przed Sądem rację co drugi dzień. W poniedziałki, środy i piątki pan prokurator Hobson miał zawsze rację, a ci, których oskarżał, szli do więzienia; we wtorki, czwartki i soboty rację miał zawsze pan adwokat Jobson i ci, których bronił, puszczani byli na wolność. Panowie Hobson i Jobson trzymali swoją umowę w najgłębszej tajemnicy, bo gdyby się o tym dowiedziano, to rzecz prosta, nikt by nie chciał płacić w poniedziałki, środy i piątki honorariów adwokackich panu Jobsonowi. Tego dnia był właśnie czwartek i zgodnie ze swoją umową panowie Hobson i Jobson doszli do wniosku, że pani Tasiemka jest niewinna. Ale rozprawa sądowa przybrała nieoczekiwany obrót.

Królewski Radca Oskarżający, pan prokurator Hobson, zapytał właśnie panią Tasiemkę:

— Czy zamierzała pani ukraść dwie pary jedwabnych pończoch?

— Nie! — zaprzeczyła gwałtownie pani Tasiemka.

— Ach! — wykrzyknął pan prokurator Hobson udając wielkie rozczarowanie. — A ja myślałem, że pani zamierzała. To wielka szkoda! Wielka szkoda! Bo ja myślałem, że pani zamierzała, a jeśli pani nie zamierzała, to jest pani niewinna i ja nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Usiadł i wsadził sobie do nosa ogromną szczyptę tabaki.

Ale na nieszczęście, Główny Sędzia Grzmot był akurat tego ranka w złym humorze i zaczął krzyczeć na pana prokuratora Hobsona:

— Pan jest osioł, panie prokuratorze! Pan jest skończony osioł, szanowny panie!

I wrzasnął na panią Tasiemkę:

— Jeśli pani jest naprawdę niewinna, to dlaczego pani płacze?

Pani Tasiemka słysząc te słowa zaczęła jeszcze głośniejsze płakać, co wywarło bardzo złe wrażenie na wszystkich ławnikach przysięgłych oraz na licznie zgromadzonej publiczności.

Wówczas wstał Królewski Radca Obraniający, pan adwokat Jobson, i wygłosił tak wspaniałą mowę obrończą, że sam Królewski Radca Oskarżający, pan prokurator Hobson, przerywał ją od czasu do czasu oklaskami i okrzykami: „Świetnie, panie Jobson! Ma pan rację, panie Jobson!” Było to przemówienie tak doskonałe, że mieszkańcy miasteczka, którzy tłumnie przyszli do Sądu i przysłuchiwali się rozprawie, jedząc kanapki i jajka na twardo, wstali z miejsc i nagrodzili mówcę długotrwałą burzą oklasków. Niektórzy nawet krzyczeli: „Bis! Bis!”

Pan adwokat Jobson był niesłychanie z siebie zadowolony, kłaniał się wiele razy publiczności i zaczął rozdawać wokół swoje bilety wizytowe, które tak wyglądały:

PAN JOBSON

*Królewski Radca Obraniający,
Najlepszy Prawnik w Anglii.*

Osiągnięcia z ubiegłego roku:

Niskie honoraria i uprzejmość dla wszystkich	98 zwycięstw 14 nierozegranych
---	-----------------------------------

Specjalność firmy: **Obrona Morderców**

Ale sędzia Grzmot wpadł we wściekłość. Krzyczał: „Opróżnić Sąd! Opróżnić Sąd!” — ale nikt go nie słyszał, bo panował tam nieopisany hałas. W końcu zerwał się ze swego tronu, zakasał rękawy szkarłatnej togi, nacisnął mocniej perukę i chwycił gumową pałkę, którą wyrwał z ręki policjantowi Gwiżdżowi. Zaczął nią walić na prawo i lewo, kogokolwiek tylko mógł dosięgnąć, a przede wszystkim panów Hobsona i Jobsona — aż wszystkich wypędził z sali sądowej.

Potem wrócił na swój tron i usiadł, sapiąc i dysząc, z przekrzywioną peruką i zakasanyimi rękawami togi.

— Niech rozprawa toczy się dalej — rzekł uroczyście. Dwunastu przysięgłych ławników zachowywało się przez cały czas z nienagannym spokojem. Niektórzy kładli pasjansę, niektórzy grali w szewca lub w warcaby, niektórzy czytali kryminalne powieści — a znajdujące się między nimi damy robiły na drutach. Wszyscy oni zdawali sobie sprawę, że są najważniejszymi osobami w Sądzie, i nie zwracali na nic i na nikogo uwagi, z wyjątkiem sędziego Grzmota, który prowadził rozprawę. Na długo przed rozprawą w Sądzie każdy z nich zdecydował, czy uzna panią Tasiemkę za Winną czy za Niewinną, i za nic w świecie nie chciał usłyszeć czegokolwiek, co by mogło wpłynąć na zmianę tej decyzji. Na ławie przysięgłych zasiadali następujący, znani ogólnie, szanowani i godni zaufania obywatele: doktor Fosfor, pan i pani Żeberko, pan i pani Mieszanka, pan i pani Okruszek, żona aptekarza pani Syrop, piwiarz pan Chmiel, żona właściciela składu żelaznego pani Hak, żona pastora pani Filar i pan Corvo, nauczyciel tańca i muzyki. Przewodniczył im doktor Fosfor, który w tym właśnie momencie glansował swoje szklane oko jedwabną chusteczką do nosa.

— Panowie i panie, czcigodni Członkowie Ławy Przysięgłych! — wykrzyknął Główny Sędzia Grzmot. — Daję wam pięć minut do namysłu i po upływie tego czasu musicie wydać wyrok. Słyszeliście przebieg postępowania dowodowego, słyszeliście wszystkie głupstwa i bzdury, jakie zawierała mowa obrończa Królewskiego Radcy Obraniającego, pana adwokata Jobsona, i słyszeliście, co powiedział ten osioł, Królewski Radca Oskarżający, pan prokurator Hobson, który w ogóle nic ważnego nie miał do powiedzenia. Według mojej opinii panią Tasiemkę należy wsadzić do więzienia.

Ale zgodnie z zasadami Prawa Angielskiego, które jest najlepszym prawem na świecie...

— Hura! Niech żyje! — krzyknął policjant Gwiżdż i zasalutował.

— Zgodnie z zasadami Prawa Angielskiego — mówił dalej Główny Sędzia — wy musicie zdecydować: Winna lub Niewinna! Tak lub inaczej! Jeśli zdecydujecie, że pani Tasiemka jest Winna — to straszne babsko zostanie wtrącone do więzienia, co jej się słusznie należy. Jeśli zaś zdecydujecie, że pani Tasiemka jest Niewinna, będę musiał z najwyższą niechęcią wypuścić ją na wolność i będzie sobie mogła kraść tyle pończoch, ile będzie chciała.

— Nigdy tego nie robiłam i nigdy nie będę! — załkała pani Tasiemka, ale nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

— Nie powiem niczego — mówił dalej Główny Sędzia Grzmot — co by mogło wpłynąć na waszą decyzję. Na was spoczywa cała odpowiedzialność. Macie pięć minut czasu do namysłu. Całe pięć minut i ani sekundy więcej.

Wyjął z kieszeni zegarek i położył przed sobą na biurku. Doktor Fosfor, który bywał niekiedy roztrzępany, włożył szklane oko do kieszonki kamizelki, a małą gumę do wycierania wsadził tam, gdzie powinno być jego oko, po czym zwrócił się do Członków Ławy Przysięgłych:

— Zapytam każdego z was po kolei, czy biedna, nieszczęśliwa pani Tasiemka jest Winna, czy Niewinna. Wasze odpowiedzi zapiszę na tym oto kawałku papieru. Panie Żeberko — WINNA czy NIEWINNA?

— Niewinna — powiedział pan Żeberko.

— Winna — powiedziała pani Żeberko.

— Winna — powiedziała pani Mieszanka.

— Niewinna — powiedział pan Mieszanka.

— Niewinna — powiedział pan Okruszek.

— Winna — powiedziała pani Okruszek.

— Winna — powiedziała pani Syrop.

— Niewinna — powiedział pan Chmiel.

— Winna — powiedziała pani Hak.

— Niewinna — powiedział pan Corvo.

— Winna — powiedziała pani Filar.

— A ja — rzekł doktor Fosfor — uważam, że pani Tasiemka jest Niewinna. Teraz, jeśli dodamy po jednej stronie karteczki jedno, a po drugiej drugie, przekonamy się, która strona zwyciężyła i czy pani Tasiemka jest Winna, czy Niewinna!

Doktor Fosfor przez dłuższą chwilę liczył i stękał, i liczył jeszcze raz, aż w końcu wykrzyknął:

— Stała się rzecz straszna! Sześć osób uważa, że pani Tasiemka jest Winna, a sześć uważa, że jest ona Niewinna! Zatem żadna ze stron nie zwyciężyła i nie możemy wydać wyroku. Boję się, że Główny Sędzia będzie się bardzo na nas gniewał!

I tak w samej rzeczy było.

— Domagam się waszej decyzji! — zaczął krzyczeć Główny Sędzia. — A pan, panie doktorze Fosfor, mógłby wreszcie wyjąć tę gumkę z oka!

— Dlaczego? — zapytał doktor Fosfor. — Wolę to niż szklane oko. Znacznie mi z tym wygodniej.

— Niech pan się nie mądrzy i robi, co panu każe! Dam tej całej pańskiej przeklętej Ławie Przysięgłych jeszcze jedną minutę do namysłu!

Ale Członkowie Ławy Przysięgłych już dawno postanowili, czy będą uważać panią Tasiemkę za Winną, czy za Niewinną, i nic nie mogło wpłynąć na zmianę ich decyzji. Wszyscy mężczyźni uważali, że pani Tasiemka jest Niewinna, bo było im jej żal. A wszystkie kobiety uważały, że pani Tasiemka jest Winna i musi iść do więzienia, bo ich zdaniem, to wstyd i hańba, żeby żona właściciela pasmanterii, która mogła sobie wziąć za darmo ze sklepu tyle pończoch, ile tylko chciała, chodziła po świecie i kradła je gdzie popadnie. Doktor Fosfor nic nie mógł na to poradzić i oświadczył Głównemu Sędziemu Grzmotowi, że Ława Przysięgłych nie osiągnęła zgody i nie może wydać wyroku.

— A zatem — wykrzyknął Główny Sędzia w straszliwej złości — wszystkich was poślę do więzienia! Za drwiny z Sądu i z Prawa! Skazuję was wszystkich na sześć miesięcy więzienia! To was nauczy rozsądku! Policjancie Gwiżdż! Proszę natychmiast nałożyć im wszystkim kajdanki i zaprowadzić do więzienia! Panią Tasiemkę też! Musi siedzieć w więzieniu do czasu następnej rozprawy. Raz, dwa, trzy! Już was tu nie ma!

Członkowie Ławy Przysięgłych byli przerażeni tym straszliwym wyrokiem, ale zanim zdążyli odezwać się słowem, policjant Gwiżdż nałożył im na ręce kajdanki i wyprowadził z sali sądowej.

Przed gmachem Sądu zebrał się ogromny tłum. Zapanowało ogólne zamieszanie i zdumienie, gdy ujrzano Członków Ławy Przysięgłych z kajdankami na rękach i gdy dowiedziano się o wszystkim, co zaszło. Zaczęły padać okrzyki oburzenia i policjant Gwiżdż bardzo był tym stanem rzeczy zaniepokojony. Każdy cisnął się, jak mógł najbliżej, do nieszczęsnych ławników przysięgłych, ścisnął im ręce i dodawał otuchy. Policjant Gwiżdż obawiał się, że co najmniej połowa jego więźniów zginie w tłumie.

Wówczas wielbny pastor Filar uczynił coś niezwykle szlachetnego i wzniosłego. Mimo że jego własną żonę skutą kajdankami prowadzono do więzienia, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, lecz wdrapał się na stojącą przed Sądem karetkę więzienną i gromkim głosem przemówił do zebranych:

— Drodzy moi! To bardzo smutne, że oto widzimy tak wielu naszych kochanych przyjaciół idących do więzienia, ale musimy być cierpliwi. Nie poddawajmy się rozpacz. Pamiętajmy, że świat jest piękny! Weselmy się i patrzmy z ufnością w przyszłość! I zaśpiewajmy razem pieśń, którą wszyscy znamy, a która znakomicie pasuje do obecnej sytuacji!

I zaintonował:

Góralu, czy ci nie żal?

Góralu, wracaj do hal!

Pieśń tę podjął cały tłum zebranych, a gdy skończono ją śpiewać, pastor zaintonował:

Koło mego ogródeczka

Zakwitała jabłoneczka.

Gdy i ta pieśń ucichła, policjant Gwiżdż oświadczył, że więźniowie muszą się pośpieszyć, bo nadchodzi godzina dwunasta, a o dwunastej podają w więzieniu obiad. Więc Członkowie Ławy Przysięgłych oraz pani Tasiemka ruszyli szybkim marszem w stronę więzienia, pobrzękując kajdankami, a po obu stronach towarzyszył im tłum ze śpiewem na ustach.

Ale zaledwie uszli kawałek drogi, wszyscy zatrzymali się gwałtownie, zdumieni i przerażeni: ulicą, wprost na nich, skacząc

po dwadzieścia stóp od razu, pędziły dwa wielkie, szare kangury!

Flora obudziła się pierwsza tego ranka. Śniło jej się, że już jest kangurem, i była bardzo rozczarowana, gdy przekonała się, że ma jeszcze ludzkie kształty. Zaczęła sobie wyobrażać, jak będzie się czuła, gdy całą ją pokryje gruba, zwierzęca skóra i sierść, jak będzie skakać w przód i w tył, opierając się na długim, mocnym ogonie. Będzie mogła skakać wysoko i daleko. „Pod pewnymi względami kangury są bardzo szczęśliwe” — pomyślała.

Wysunęła się z łóżka, żeby wprawić się trochę w skakanie, i w tym momencie Dora również wstała z łóżka, tknięta tą samą myślą. Bo i ona, jak tylko się obudziła, zaczęła myśleć o nowych czekających ją przygodach. Obie więc próbowały skakać jak kangury, ale wkrótce przekonały się, że do porządnego, kangurzego skoku ogon jest niezbędnie potrzebny. Ubrały się więc i czekały na śniadanie, a czas dłużył im się w nieskończoność.

Zaraz po śniadaniu, szybko jak tylko mogły, pobiegły do Boru Ciemnoboru. Zdecydowały, że tu będzie znacznie lepiej wypić czarodziejski płyn niż uczynić to w dzieciennym pokoju i tam zmienić się w kangury, co mogłoby bardzo zaniepokoić matkę i pannę Rozumek. I, jak zaznaczyła Dora, nie byłoby im łatwo zejść ze schodów. Sądziła, że kangury mają duże trudności z chodzeniem po schodach.

Dlatego więc pobiegły do lasu, zabierając naturalnie ze sobą koszyczek z butelką czarodziejskiego płynu Pani Wiedźmy oraz dwa małe węzłki, w których było wszystko to, co chciały mieć ze sobą. W lesie znalazły miejsce, które wydawało im się najbardziej stosowne do zamienienia się w kangury, i rozejrzały się pilnie dokoła, aby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu. Potem wyjęły z koszyczka butelkę i przeczytały przyklejony do niej następujący „Sposób Użycia”:

JAK NALEŻY ZAMIENICIĆ SIĘ WE WSZYSTKO, CZYM SIĘ CHCE BYĆ?

1. Wstrząsnąć butelkę.
2. Rozebrać się.
3. Złożyć porządnie ubranie i schować w bezpiecznym miejscu.
4. Trzy razy obrócić się twarzą do słońca i trzy razy powiedzieć: „Chcę Być, Czymkolwiek Chcę Być”.
5. Jeszcze raz wstrząsnąć butelkę.
6. Wypić przepisaną dozę magicznego płynu.
7. Zatkać butelkę korkiem.
8. Udać się na krótką przechadzkę.

Podpisane: *Pani Wiedźma*.

— Nadchodzi bardzo uroczysta chwila — powiedziała Dora zdejmując buciki.

— Bardzo uroczysta — rzekła Flora. — Dobrze, że dziś jest ciepło.

— Widzisz ten dąb? — powiedziała Dora. — Tam jest dziupla i w niej schowamy nasze ubrania.

Zrobiły to i potrzęsnęły butelką. Była w niej ściśle wymierzona ilość czarodziejskiego płynu, wystarczająca na cztery porcje. Dora zabrała z domu łyżkę stołową. Nalała jedną pełną łyżkę dla Flory. Gdy Flora połknęła czarodziejski płyn, nalała drugą łyżkę dla siebie i szybko wypila.

— Ojej! — krzyknęła Flora połykając płyn i zbladła gwałtownie.

— Nigdy w życiu nie piłam czegoś tak paskudnego —

rzekła Dora. Zakorkowała butelkę i powiedziała do Flory: — Teraz każda z nas pójdzie osobno na małą przechadzkę.

Chciała być sama, bo bała się, że zaraz zwymiotuje. Ale po chwili zrobiło się jej znacznie lepiej. Czula wzbierającą w sobie siłę. Stawała się silniejsza i silniejsza. Nigdy nawet nie przypuszczała, że można mieć w sobie tyle siły. I nigdy liście i trawa nie wyglądały tak ładnie i tak smacznie. Zerwała ustami kilka liści, zaczęła je żuć i zdumiała się, bo smakowały zupełnie jak chleb z masłem i z miodem. Potem zobaczyła przed sobą krzak i skoczyła przez niego.

„Nigdy w życiu jeszcze nie skoczyłam tak wysoko” — pomyślała.

Nagle przeraziła się, bo tuż przed sobą ujrzała jakieś dzikie zwierzę. Był to duży, szary kangur!

Serce jej niemal przestało bić. Nigdy nie spodziewała się, że w tym lesie, który tak dobrze знаła, zobaczy prawdziwego kangura! Już chciała uciekać i ukryć się gdzieś, gdy nagle przypomniało jej się, że musi ostrzec Florę.

Zaczęła głośno krzyknąć:

— Floro, Floro! Uważaj! Po lesie chodzi okropny kangur! Jej głos brzmiał dziwnie, aż się sama zdumiała, ale pomyślała, że to przestrach tak go zmienił.

Co dziwniejsze, że kangur też jak gdyby się przeraził i chciał uciekać. Ale stanął, gdy usłyszał wołanie Dory. Zaraz też Dora usłyszała głos Flory. Nie był to jej normalny głos: Dora tylko domyśliła się, że to Flora do niej woła:

— Doro! Doro! Uważaj, widzę tuż przed sobą kangura! To głos Flory wydobywał się z kangura, którego Dora się tak przstraszyła! A więc Flora była tym kangurem!

Dorze zrobiło się nagle gorąco i nieswojo. Spojrzała w dół, na swoje własne, ogromne nozyska, i w tył, przez ramię, na długi, potężny ogon; zrozumiała, że sama też stała się kangurem, że to jej widoku Flora tak się przelękała. Tak samo jak ona, gdy ujrzała Florę zamienioną w kangura. Czarodziejski płyn działał dobrze!

— Ach, Floro! — wykrzyknęła Dora.

— Ach, Doro! — wykrzyknęła Flora.

— Tak się przelękałam, gdy ciebie zobaczyłam — powiedziała Dora.

— Tak samo ja się przelękałam, gdy ciebie ujrzałam — powiedziała Flora.

— Wyglądamy zupełnie jak prawdziwe kangury! — rzekła Dora.

— Pani Wiedźma jest prawdziwą wiedźmą, a jej czarodziejski płyn prawdziwym czarodziejskim płynem.

— Na pewno będzie nam przyjemnie być kangurami — mówiła Dora. — Musimy się tylko przyzwyczaić. Już kilka razy udało mi się wspaniale skoczyć!

— Ale na początku to jest trochę dziwnie — powiedziała Flora.

Po kilku minutach poczuły się już dobrze w swych nowych kształtach i bardzo były zadowolone. Ćwiczyły rozmaite skoki, skakały daleko i wysoko, uczyły się posługiwać ogonem i zauważyły, że ich ramiona i ręce, choć małe w porównaniu z potężnymi nogami, bardzo im się przydają. Zupełnie prawie jak ręce i ramiona ludziom.

Jeszcze z pół godziny biegały i skakały po lesie, aż zdecydowały, że już mogą udać się do miasteczka. Ale przedtem jeszcze wróciły tam, gdzie wypity magiczny płyn, i starannie zapakowały do swych kangurzych kieszeni zabrane z domu drobiazgi.

Dora zabrała ze sobą zeszyt, ołówki i gumę, dwie chusteczki do nosa i szczoteczkę do zębów, klucz do tylnych drzwi domu i tabliczkę czekolady. Wszystko to zapakowała starannie, a przede wszystkim — butelkę z resztą magicznego płynu oraz łyżkę stołową.

Flora zabrała ze sobą swój nowy zegarek i dwie tabliczki mlecznej czekolady, szczoteczkę do zębów, grzebień, temperówkę i książkę pod tytułem „Życie dzikich zwierząt na Borneo”, bo myślała, że może im się ona przydać. Ale książka była za duża, nie mieściła się w kieszeni i musiała ją zostawić. Zapomniała zabrać chusteczkę do nosa, ale Dora powiedziała, że pożyczycy jej jedną ze swoich.

Wreszcie ruszyły w stronę miasteczka.

— Niech żyje Zemsta! — wykrzyknęła Dora.

— Niech żyje! — podchwyciła Flora i skoczyły wysoko w górę.

Na ulicach miasteczka nie spotkały nikogo, bo wszyscy zgromadzili się przed gmachem Sądu, by jak najszybciej dowiedzieć się, jaki wyrok wydano na panią Tasiemkę. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Dopiero gdy znalazły się na wiodącej do Sądu ulicy, ujrzały pochód, towarzyszący prowadzonym do więzienia Członkom Ławy Przysięgłych. Śpiewano właśnie śliczną, francuską piosenkę, pod tytułem „Avec mes sabots”, której kilka tygodni temu pastor wszystkich nauczył.

Dora i Flora zatrzymały się na chwilę, widząc przed sobą tak ogromny, rozśpiewany tłum.

Zrobiło im się trochę nieswojo. Zastanowiły się, czy starczy im odwagi na to, by od razu zaatakować całą ludność miasteczka. Nie spodziewały się, że spotkają wszystkich razem, zebranych w wielki tłum.

Lecz mieszkańcy miasteczka, widząc przed sobą dwa wielkie kangury, przerazili się znacznie bardziej niż Dora i Flora. Tłum zatrzymał się, tony pięknej pieśni umilkły.

Wtedy Dora wykrzyknęła:

— Nasz tatuś jest żołnierzem i nigdy by nie ugiął się przed wrogiem! Do ataku, Floro! Naprzód!

Skoczyły przed siebie i pędziły z szaloną szybkością. Nigdy przedtem nic podobnego nie zdarzyło się w miasteczku.

Wszyscy w szalonym popłochu rozpięchli się, uciekając, na wszystkie strony. Tylko więźniowie z kajdankami na rękach nie mogli uciekać. I jeden tylko człowiek stanął w obronie honoru miasteczka Harmider: był nim policjant Gwizdź. Stał dzielnie

na środku ulicy i krzyczał do kangurów:

— Stać! Aresztuję was w imieniu Króla!

Dora kopnęła go lekko, gdy go mijała. Zrobiła to tak delikatnie, jak mogła, bo bardzo lubiła policjanta Gwiżdżę, ale wielka, kangurza noga Dory była tak silna, że nawet jej lekkie kopnięcie zmusiło policjanta Gwiżdżę do wykonania dwóch salto mortale w powietrzu. Potem dopadła syna rzeźnika, Tomka Żeberko, i mocniejszym nieco kopnięciem wrzuciła go do rowu. Flora tymczasem złapała za kark Plastra i Pumeksa Syropów, którzy usiłowali wejść na drzewo, i przerzuciła ich przez sztachety do parku publicznego.



Na wszystkich drzewach rosnących wzdłuż ulicy roilo się od ludzi, którzy wdrapywali się jak najwyżej, żeby kangury nie mogły ich dosięgnąć. Ale wielu jeszcze mieszkańców miasteczka pozostało na ziemi, a wśród nich nieszczęśni więźniowie, którzy nie mogli uciec na drzewa. Biegli więc w stronę rynku, a Dora i Flora goniły ich Aleją Tulipanów i ulicą Brzozową, a potem — wokół stojącego na środku rynku pomnika królowej Wiktorii.

Właśnie kiedy mijały drzwi gmachu sądowego, ukazał się w nich Główny Sędzia Grzmot, który posłyszał dochodzące z ulicy hałasy. Miał wciąż jeszcze wysoko zakasane rękawy i palił ogromne cygaro. Gdy tylko zobaczył pędzące ulicą kangury, natychmiast cofnął się do środka, zatrzasnął, zamykając na klucz i ryglując drzwi za sobą. Następnie, szybko jak tylko mógł, zatelefonował do wicehrabiego Lancelota Marmolady.

Dora i Flora goniły tymczasem uciekających wokół pomnika królowej Wiktorii. Pastor, który był bardzo dobrym alpinistą, siedział już na jednym kolanie królowej, a pani Mieszanka — na drugim.

Kiedy Dora i Flora po raz czwarty okrążyły pomnik królowej Wiktorii, spostrzegły, że Kasia Okruszek wsiadła na rower Wilusia Żeberko, młodszego syna rzeźnika.

— Gońmy ją! — krzyknęła Dora. I pognały za Kasią, która uciekała jadąc na rowerze Aleją Bzów, ulicą Makową i Zaułkiem Kasztanowym. Wreszcie gwałtownie skręciła na szosę. Cały czas Dora i Flora pędziły tuż za nią. Ale rower Wilusia Żeberko był rowerem wyścigowym i Kasia jechała bardzo szybko, z głową pochyloną nisko nad kierownicą. Jej długie, cienkie nogi tylko migały, zupełnie jak tłoki samochodowego silnika. Dora i Flora omal jej nie dogoniły, ale Kasia naciskała pedały coraz mocniej i jechała szybciej i szybciej. Obie dziewczynki zmęczyły się już porządnie, bo niełatwo jest stać się tak od razu kangurem i biegać kangurzym krokiem.

Szosa wiodła prosto do posiadłości wicehrabiego Lancelota Marmolady. U wejścia stała wielka brama z żelazną kratą, a dalej wygięty w łuk mostek.

Brama była szeroko otwarta i Kasia wjechała do środka. Minęła most, a tuż za nią biegły Dora i Flora. Nagle spoza wielkiego drzewa, które rosło po lewej stronie drogi, wyleciała długa lina, niby łąso, ze świstem przecięła powietrze i opadła zaciskając pętlę na szyi Dory. Jednocześnie spoza drzewa rosnącego po prawej stronie drogi wyleciała druga lina i zacisnęła się na szyi Flory. Obie dziewczynki straciły równowagę, upadły i potoczyły się po trawniku. Droga i most, drzewa i trawa, i niebo, i Kasia jadąca na rowerze, i dwóch ludzi wysuwających się spoza drzew — wszystko to przesunęło się kolejno przed ich oczami. W końcu siadły na trawie i otworzyły szeroko oczy.

Obok nich stał wicehrabia Lancelot Marmolada i pan Piórko, który zarządzał ogrodem zoologicznym należącym do wicehrabiego. Oni to schwytali Dorę i Florę na łąso. Sędzia Grzmot zdążył zawiadomić telefonicznie wicehrabiego, że dwa kangury wyprawiają niesłychane brewerie w miasteczku, i wicehrabia poczynił wszystkie odpowiednie przygotowania. Bardzo był zadowolony, że oto schwycił dwa piękne okazy kangurów, których brakło mu do jego kolekcji zwierząt, i dał Kasi szylinga za to, że odegrała tak ważną rolę w łowach. Kasia, zgrzana i rozczochrana po szalonej jeździe rowerem, bardzo się ucieszyła, że dostała całego szylinga na własne wydatki, i odjechała z powrotem do miasteczka z głową tryumfująco

wzniesioną do góry.

Ale Dora i Flora bynajmniej nie miały się z czego cieszyć. Obie były bardzo przestraszone, a poza tym trochę się potłukły, gdy upadły na ziemię. I miały żal do wicehrabiego Lancelota, że dał Kasi całego szylinga. Nie próbowały uciekać, gdy pan Piórko prowadził je w kierunku ogrodu zoologicznego, i bez protestu dały się zamknąć w przygotowanej dla nich klatce.

Była to obszerna klatka, do której przytykało coś w rodzaju domku, a z drugiej strony znajdował się mały ogródek specjalnie dla nich otoczony wysoką siatką drucianą. Całe Zoo wicehrabiego Lancelota było porządnie i czysto utrzymane i wszystkim zwierzętom mieszkało się tam podobno bardzo wygodnie. Pan Piórko zdjął z Dory i Flory liny, na które je złapano, i odszedł zamykając za sobą klatkę i zostawiając je same.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Flora nieszczęśliwym głosem.

— Nic nie możemy zrobić — odpowiedziała Dora.

— O, patrz! — wykrzyknęła Flora wskazując na sąsiednią klatkę po prawej stronie.

Z bardzo wysokiego domku, który znajdował się na tyle tej klatki, wysunęła się najpierw długa szyja, a potem ukazała się cała żyrafa, która zaczęła im się podejrzliwie przyglądać swymi wylupiastymi oczami.

— A spójrz tu! — znowu wykrzyknęła Flora wskazując na sąsiednią klatkę po lewej stronie. — To jest ten sam bury niedźwiedź, który wtedy przyszedł do sklepu żelaznego pana Haka.

Niedźwiedź popatrzał na nie nieufnie i od razu można było poznać, że należy do takich niedźwiedzi, które nie lubią towarzystwa.

— Nie zniosę tego, żeby jakaś tam żyrafa i niedźwiedź mogły się na mnie cały dzień gapić — rzekła Dora.

— To coś okropnego — powiedziała Flora. — Chodźmy lepiej do naszego domku.

Wewnątrz domku nie było żadnych mebli. Stał tylko zółb na jedzenie i nic poza tym; siadły więc na ziemi i zaczęły się zastanawiać, co dalej robić.

W końcu, gdy już bardzo długo nad tym myślały, pierwsza odezwała się Flora:

— Dokonałyśmy naszej Zemsty i właściwie powinniśmy być zadowolone. Mamy jeszcze przecież resztę czarodziejskiego płynu w buteleczce. Jeśli wypijemy ten płyn, znowu zamienimy się w dziewczynki i wicehrabia Lancelot Marmolada wypuści nas stąd. Nie będzie przecież trzymał dwóch dziewczynek w klatce!

— Będzie nam bardzo trudno wytłumaczyć mu, w jaki sposób tu się dostałyśmy — rzekła Dora.

— Coś tam wymyślimy — powiedziała Flora.

— To nie będzie takie łatwe — rzekła Dora i zaczęła szukać w swojej kieszeni butelki z czarodziejskim płynem. Wyjęła zeszyt i ołówek, łyżkę stołową i chusteczkę do nosa. Szukała i szukała — ale niczego już więcej nie znalazła!

— Och, Floro! — zawołała. — Zgubiłam buteleczkę! I zgubiłam klucz do tylnych drzwi, i tabliczkę czekolady, i szczoteczkę do zębów! Ale wszystko inne nie jest ważne. Nie ma buteleczki z czarodziejskim płynem! I co my teraz zrobimy?

— Zostaniemy już kangurami do końca życia! — powiedziała Flora. — Co to będzie, Doro?

— Co to będzie, Floro?! — powiedziała Dora.

Wicehrabia Lancelot Marmolada był wysoki i szczupły i miał jasne, niebieskie oczy, zawsze trochę wytrzeszczone — ale na ogół sprawiał wrażenie łagodnego i uprzejmego człowieka. Był zapalonym podróżnikiem i w wielu dalekich krajach, które odwiedził, nauczył się strzelać z łuku i z procy, ciskać bumerangiem i rzucać dzidą i lassem. Dwa razy na tydzień ćwiczył się w tych wszystkich specjalnościach, żeby nie wyjść z wprawy. Miał też wysoką, szczupłą żonę, która z niczego nie była nigdy zadowolona, toteż wicehrabia nie zwracał na nią zbyt dużej uwagi, a całe swe zainteresowanie poświęcił zwierzętom, które mieszkały w Zoo, i robił wszystko, co mógł, żeby im tam było dobrze i wygodnie. Większość zwierząt była zadowolona z życia w Zoo, ale mieszkająca tam puma, piękne zwierzę o złotej, lśniącej sierści, nie mogła zapomnieć swobody, jakiej zażywała kiedyś, w swej rodzinnej dżungli, i nie była tu szczęśliwa. Mieszkał też w Zoo grenlandzki sokół, który miał pióra białe jak śnieg i który ciągle tęsknił za mroźnym, kryształowym powietrzem Dalekiej Północy i za rozległym widokiem gór, na których leżały wieczne śniegi. On też nie był tu szczęśliwy.

Nazajutrz po schwytaniu Dory i Flory wicehrabia Lancelot Marmolada przyszedł z samego rana zobaczyć, jak im się powodzi. Dora i Flora ucieszyły się, gdy go ujrzaly. Znały go dobrze z widzenia, a raz nawet był u nich w domu na podwieczorku i rozmawiał z nimi. Podniosło to je nieco na duchu, gdy sobie o tym przypomniały, i Dora pomyślała, jak by się zdziwił, gdyby nagle odkrył, kim są w rzeczywistości schwytane przez niego kangury.

Wicehrabia Lancelot Marmolada nosił sportową kurtkę, żółtą kamizelkę i zielony kapelusz. W ustach trzymał dymiącą fajkę. Z bocznej kieszeni kurtki wystawała mu gazeta.

„Wygląda podobnie jak ojciec” — pomyślała Dora. I przypominała sobie ze smutkiem, że jej ojciec był daleko, w obcym kraju i być może nawet, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Pan Piórko, zarządca ogrodu zoologicznego, który przyszedł razem z wicehrabią, był niskim i barczystym mężczyzną, miał czerwone policzki i wesoły wyraz twarzy. Nosił płócienną kurtkę, sztruksowe spodnie do konnej jazdy i melonik. Obaj panowie oparli się plecami o sąsiednią klatkę, w której bury niedźwiedź poziewając wylegiwał się na słońcu, i w zamyśleniu patrzyli na kangury.

— To są najładniejsze kangury, jakie widziałem — rzekł wicehrabia — ale nie wyglądają na zadowolone. Weźmy je na mały spacer i pokażmy im nasze Zoo. Może to je trochę rozweseli.

Pan Piórko wszedł do klatki Dory i Flory, założył każdej z nich na szyi coś w rodzaju dużej obroży z łańcuchem i wyprowadził je na zewnątrz.

— Przedstawimy was innym mieszkańcom naszego Zoo — powiedział wicehrabia — i mamy nadzieję, że się z nimi wkrótce zaprzyjaźnicie. Przede wszystkim zwierzęta dobrze tu się czują razem i co dzień bawią się wspólnie w parku i nad rzeką. Już spotkałyście niedźwiedzia Burasa i pana Parkera, który jest żyrafą. Oni należą do śmietanki towarzyskiej naszego Zoo i są ogólnie szanowani. A oto Luiza, peruwiańska lama, która jest trochę zarozumiała i zawsze robi wrażenie, jakby ze wszystkich sztychła. Ale w gruncie rzeczy ma złote serce. Prawda, Luizo?

Lama rzeczywiście wyglądała na osobę dumną i pełną pogardy dla innych, ale gdy wicehrabia sięgnął ręką poprzez pręty klatki i podrapał ją lekko po szyi, uśmiechnęła się w specjalny, sobie tylko właściwy sposób, przymknęła oczy i zamruczała:

— Czy on nie jest czarujący i elegancki? Czy nie jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie?

Naturalnie ani wicehrabia, ani pan Piórko nie zrozumieli ani słowa z tego, co Luiza mówiła, lecz Dora i Flora, ku ich własnemu zdumieniu, doskonale rozumiały każde słowo. Bo stając się kangurami, przyswoiły sobie od razu, bez żadnego wysiłku język zwierząt, nie tracąc jednocześnie znajomości języka angielskiego, który był ich rodzimym językiem. Bardzo były zadowolone, że tak bez żadnego wysiłku poznały nowy język, zwłaszcza gdy przypominały sobie straszliwie nudne lekcje, w czasie których panna Rozumek próbowała bezskutecznie nauczyć je francuskiego.

— Po co — zastanawiała się Dora — uczyć się francuskiego? Francuzi mówią o tych samych rzeczach co my, więc dlaczego mamy mówić o tym samym w dwóch różnych językach? Ale rozmowa z wielbłądem albo z lampartem może być naprawdę szalenie interesująca.

Dora i Flora były teraz nieco weselsze. Wicehrabia zapoznał je z antylopą, lemurem, mrówkojadem i zebłą. Ogromny wąż pyton, z którego wicehrabia był szczególnie dumny, spał niestety głęboko, więc nie mogły go poznać osobiście, gdyż ani wicehrabia, ani pan Piórko nie chcieli mu przeszkadzać.

— On bardzo dużo sypia — rzekł wicehrabia — lecz jeśli uda wam się spotkać go, kiedy nie śpi, przekonacie się, że jest niezwykle interesujący. On jest jednym z najwybitniejszych mieszkańców naszego Zoo.

Poszli potem przez park w kierunku małej zagrody, gdzie mieszkała para strusi, które nazywały się Sir Bobadil i Lady Lii.

— Niedawno przeżyli wielkie nieszczęście — wyjaśniał wicehrabia po drodze. — Parę dni temu Lady Lii zniosła swoje pierwsze jajo. Było to wyjątkowo piękne jajo i oboje byli z niego bardzo dumni. Wszyscy zresztą zachwycali się nim. I zdarzyło się coś zupełnie okropnego: pewnego dnia jajo znikło! Szukaliśmy wszędzie i nigdzie ani śladu! Znikło, i już. Biedny Sir Bobadil i Lady Lii byli tym zupełnie zdruzgotani. A wczoraj Lady Lii zniosła drugie jajo i oboje tak się z tego ucieszyli, że mam nadzieję, zapomnieli już o swojej stracie. Bo, koniec końców, jedno strusie jajo jest zupełnie takie samo jak drugie. Mieszkają tam, gdzie rosną te lipy.

— Coś się tam stało — rzekł pan Piórko.

— O czym pan mówi? — zapytał wicehrabia.

— O strusiach — rzekł pan Piórko. — Dlaczego tak hałasują?

Gdy zbliżyli się do zagrody, zobaczyli strusie biegające tam i z powrotem i szalenie zdenerwowane. Krzyczały gniewnie na siebie i Dora z Florą szybko zrozumiały, jaki był powód ich kłótni.

— To wszystko twoja wina! — powtarzała Lady Lii. — Tylko twoja wina! Całkowicie twoja wina! Nienawidzę ciebie!

— To nie moja wina! — krzyczał Sir Bobadil. — Poszedłem tylko na spacer, na taki krótki spacer. Nie było mnie w domu zaledwie pół godziny.

— Całą noc na nim siedziałam! — krzyczała Lady Lii. — Prosiłam cię tylko o jedno, żebyś pilnował go przez godzinkę czy dwie, póki nie wrócę ze śniadania; a kiedy wróciłam, ciebie nigdzie nie było i ono znikło. Serce mi się krwawi! Co ja teraz pocznę? Najpierw jedno, teraz drugie. Moje śliczne jaja, moje cudne, kochane jaja! Dlaczegoś poszedł? Czemu go nie pilnowałeś?!

— Poszedłem tylko nad rzekę, bo miałem interes do Czarnego Łabędzia — rzekł Sir Bobadil. — Co w tym złego?

— Co w tym złego?! — wykrzyknęła Lady Lii. — Jak śmiesz tak mówić! Ukradli moje piękne, białe jajo, bo tyś go nie pilnował, i pytasz się, co w tym złego? Och, ty podły, głupi strusiu!

— Tylko nie podły! — zawołał Sir Bobadil. — Tylko nie podły! Nie mów, że jestem podły.

— Tak, jesteś! — rzekła Lady Lii. — Unieszczęśliwiłeś mnie, na pewno umrę ze zmartwienia!

— To jajo było tak samo moje, jak i twoje — powiedział Sir Bobadil. — Niech ci się nie zdaje, że tylko ty cierpisz. Ja mam bardzo, bardzo czułe serce i w tej właśnie chwili straszliwie cierpię! Być może, że popełniłem błąd, ale teraz drogo za to płacę. Może nawet też umrę. Nie powinniśmy się kłócić w obliczu nieszczęścia.

— Nie powinniśmy się kłócić — załkała Lady Lii.

— Powiedz, że mi przebaczasz! — błagał Sir Bobadil.

— A czy naprawdę żałujesz?

— Bardzo, bardzo żałuję!

— Więc przebaczam ci — wyszeptła jego żona. — Ale mimo to uważam, że postąpiłeś niewłaściwie, a nawet źle i głupio! Nie mogę pojąć, jak mogłeś to zrobić. I co się stało z naszym ślicznym jajem? Z naszymi dwoma ślicznymi jajami? Co za złodziej bez serca zrabował nam to, co mieliśmy najdroższego? Ach, gdzież one są, gdzie się podziały nasze jaja?

— Gdybym złapał tego rozbójnika — zawołał Sir Bobadil — gorzko by pożałował tego, co uczynił! Lecz nie martw się, nie martw, moja droga Lii! Może jeszcze je znajdziemy?

— Nigdy już, nigdy ich nie znajdziemy! — załkała Lady Lii i smutnie zwiesiła głowę.

— O Boże, Boże! — jęczał Sir Bobadil. — Czemu byłem tak szalony?

I też zwiesił głowę i oboje wyglądali jak obraz pełen smutku i rozpacz.

Dora i Flora rozumiały doskonale wszystko, o czym Sir Bobadil i Lady Lii mówili, ale wicehrabia i pan Piórko dowiedzieli się, co się właściwie stało, dopiero gdy przeszukali całą zagrodę i nigdzie jaja nie znaleźli.

— Gniazdo jest puste — rzekł wicehrabia.

— Złodzieje! — rzekł pan Piórko.

— Ale jak się tu dostali? — zapytał wicehrabia. — Nikt nie może wejść do parku. Ogrodzenie jest naelektryzowane i każdy, kto go dotknie, zostanie porażony prądem.

— Samolot — rzekł pan Piórko. — Skoczyli na spadochronach.

— Nonsens — rzekł wicehrabia. — Słyszelibyśmy warkot motoru. A poza tym, gdyby złodziej dostał się tu na spadochronie, to jak by stąd się wydostał? Nie, nie. Złodziej jest tu, między nami!

— Nie wiem — rzekł pan Piórko. — Jestem dozorcą w Zoo, a nie detektywem.

— Popełniono tu przestępstwo — oświadczył poważnie wicehrabia. — Co do tego, nie ma najmniejszej wątpliwości.

— Dwa przestępstwa — sprostował pan Piórko. — Dwa jaja — to i dwa przestępstwa.

— Niech pan zaprowadzi kangury z powrotem do klatki — rzekł wicehrabia — a ja raz jeszcze wszystko przeszukam.

Pan Piórko odprowadził więc Dorę i Florę, a wicehrabia zaczął znowu zaglądać to tu, to tam, czy gdzie nie leży zgubione jajo. I Sir Bobadil też zaczął szukać w jednym końcu zagrody, a Lady Lii w drugim. Brodata berberyjska owca i cętkowany jeleni,

które stale mieszkaly w parku, tez przysly pomagac w poszukiwaniach i wkrótce inne zwierzęta dowiedziały się, co się stało, bo wszelkie ciekawe nowiny rozchodzą się w Zoo bardzo szybko. Wszyscy bardzo się martwili, zwłaszcza gdy pomyśleli, że jajo musiał ukraść ktoś z mieszkańców Zoo. I kiedy zwierzęta wypuszczono po południu do parku na spacer, zebrały się wszystkie wokół zagrody strusi i Sir Bobadil i Lady Lii musieli bez końca opowiadać, co i jak się stało. Każde zwierzę podejrzliwie patrzyło na inne, zastanawiając się, które z nich ukradło strusie jajo.

Dora i Flora nie poszły na spacer, bo były dopiero pierwszy dzień w Zoo. Wicehrabia uważał, że każde nowe zwierzę musi najpierw posiedzieć troszkę w klatce, zanim zostanie wypuszczone na popołudniowe spacer. Wynudziły się więc porządnie przez cały pierwszy tydzień i choć żal im było biednych strusi — bardziej jeszcze żalowały siebie.

— Lady Lii straciła swe jajo — rzekła Dora — a my straciłyśmy nasz czarodziejski płyn i to jest znacznie gorsza sprawa. Bo Lady Lii może wysiedzieć jeszcze jedno jajo, a nawet i drugie, ale my nie możemy wysiedzieć buteleczki z czarodziejskim płynem. A jak jej nie zdobędziemy, zostaniemy kangurami na całe życie!

— Może uda się nam jakoś stąd uciec i pójść do Pani Wiedźmy po czarodziejski płyn — powiedziała Flora.

— Wicehrabia mówi, że żaden złodziej nie może się ani dostać do Zoo, ani stąd wydostać. Więc jeśli nawet prawdziwy złodziej nie może się stąd wydostać, to co dopiero my!

— Może uda nam się znaleźć jakąś dziurę w płocie, o której wicehrabia nie wie? — zastanawiała się Flora.

— Naturalnie; musimy się dokoła rozejrzeć, jak tylko wypuszczą nas do parku — powiedziała Dora. — Wicehrabia może się mylić. Ludzie często się mylą.

— Bardzo często — przyznała Flora.

Dora i Flora zjadały codziennie dobry i obfity obiad, który przynosił im pan Piórko. Składał się on z siana, buraków, kilku funtów marchwi, paru główek kapusty i całego kubła fasoli. Marchew i siano smakowały im teraz zupełnie jak kiedyś pieczone kurczęta i budyń czekoladowy, co je niesłychanie zdumiało i ucieszyło. Zwykle zaraz po zjedzeniu obiadu kładły się spać. A gdy się znowu budziły, było im smutno i źle i z trudem wstrzymywały płacz. Więc znowu kładły się spać i spały do rana.

Pewnej nocy Dora obudziła się nagle i zobaczyła smuzkę światła wciskającą się przez szczelinę w ścianie ich małego domku. Do ściany ich domku przytykał domek niedźwiedzia



Burasa i Dora zastanawiała się, dlaczego zapalił on światło. Może się nagle rozchorował?

Wstała i zajrzała przez szczelinę w ścianie, a to, co zobaczyła, niesłychanie ją zdumiało.

W domku niedźwiedzia paliła się świeca, która stała na brzeżku żłobu, a sam Buras siedział sobie spokojnie i wygodnie w kącie i czytał gazetę.

Poznała od razu tę gazetę, bo była to ta sama, jaką ojciec zawsze czytywał w domu. Widziała ją też tego właśnie ranka, jak wystawała z kieszeni kurtki wicehrabiego Lancelota Marmolady, kiedy wicehrabia, opierając się o klatkę Burasa, rozmawiał z panem Piórko. A potem przypomniała sobie coś innego: gazeta zniknęła z kieszeni wicehrabiego! W czasie porannego spaceru po ogrodzie nie było jej w jego kieszeni! Gdzież się zatem podziała?

Jedna tylko mogła być na to odpowiedź: Buras ją ukradł! Buras był złodziejem! A ponieważ był złodziejem, to czy nie mógł ukraść strusiego jaja?

Tak ją ta myśl podnieciła, że zupełnie już nie zdziwił jej widok zwyczajnego niedźwiedzia czytającego gazetę. Obudziła Florę i nakazując, żeby zachowywała się cicho, pokazała jej czytającego gazetę Burasa.

Flora popatrzyła chwilę przez szczelinę w ścianie i wyszeptwała:

— Nie wiedziałaś, że niedźwiedzie umieją czytać, prawda?
— Nie — szepnęła Dora.
— To właśnie dowodzi, jak mało w ogóle wiemy — powiedziała Flora.
— Ukradł tę gazetę wicehrabiemu — rzekła Dora.
— A może on tylko udaje, że czyta gazetę? — zastanowiła się Flora. — Popatrzmy, czy nie czyta jej czasem do góry nogami.
W tej chwili światło w domku Burasa zgasło.
— Może usłyszał, że rozmawiamy? — powiedziała Dora i ścisnęła Florę za rękę.
Kilka minut siedzieli w zupełnej ciszy. Wreszcie Dora wyszeptała:
— Słyszę czyjś głos.
Obie wyteżyły słuch. Głos dochodził z klatki żyrafy, pana Parkera.
Cichutko uchyliły drzwi swojego domku, wyjrzały na zewnątrz i zobaczyły na tle gwiazdzistego nieba wysoki kształt swego drugiego sąsiada. Chodził pomału tam i z powrotem po swojej klatce i głęboko pogrążony w myślach, mówił cicho do siebie:
— Niesłuchanie skomplikowana tajemnica. Niesłuchanie skomplikowana Sprawa Skradzionych Strusich Jaj! Najbardziej tajemnicza tajemnica, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia! Po pierwsze, nie było żadnych odcisków stóp; dlatego to jest tak tajemnicze. Po drugie, nie są znane motywy przestępstwa; dlatego to jest jeszcze bardziej tajemnicze. Po trzecie, nie wiemy, kim jest przestępca, a zatem nie możemy go zapytać, czy ma alibi; i dlatego to jest najbardziej tajemnicza tajemnica, jaka tylko może być!
Pan Parker chodził jeszcze tam i z powrotem po klatce, nie mówiąc już ani słowa. Jedynie potrząsał z powagą głową tkwiącą, jak się zdawało, gdzieś wysoko wśród gwiazd, co wskazywało, że mózg jego pracuje z wysiłkiem.
— Notes! — wykrzyknął nagle. — Ach, gdybym miał notes! Mógłbym wówczas zrobić listę wszystkich podejrzanych, zapisać sobie wszystkie okoliczności i możliwe rozwiązania! Ale cóż mogę zrobić bez notesu? Detektyw nie może pracować bez notesu!
— Proszę pana! — wykrzyknęła Dora. — Ja mam zeszyt. I jeśli panu wystarczy zeszyt, z przyjemnością go panu pożyczę.
Pan Parker przeraził się straszliwie. Ani przez chwilę nie przypuszczał, że ktoś słucha jego wywodów. Każdego by zresztą przeraziło, gdyby nagle zupełnie obcy kangur chciał mu pożyczyć zeszyt. W jednej sekundzie skoczył do swojego domku i choć drzwi były wysokie na dziesięć stóp, uderzył się w głowę i natychmiast zaczął wołać:
— Ojej! Ktoś mnie uderzył! Ktoś mnie uderzył w głowę! W pół minuty później bardzo ostrożnie wysunął swą długą szyję i zapytał:
— Czy to ktoś z was mnie uderzył?
— Ale skąd — rzekła Dora.
— Więc kto?
— Sam się pan uderzył — rzekła Flora.
— Moja mama zawsze mówiła, że sam sobie nie zdaję sprawy z własnej siły — powiedział pan Parker smutnie i pochyliwszy bardzo nisko głowę, zaczął trzeć bolące miejsce prawym tylnym kopytem. I nagle ostro zapytał:
— A wy kto jesteście?
— Nazywam się Dora Palfrey, a to jest moja siostra Flora.
— Zatem przybrałyście cudzą postać — rzekł pan Parker.
— Coś w tym rodzaju — powiedziała Dora.
— Dlaczego? — zapytał pan Parker.
— To bardzo trudno wytłumaczyć — rzekła Dora.
— Bardzo podejrzane okoliczności — powiedział pan Parker. — W istocie niesłuchanie podejrzane. Czy lubicie jaja?
— Ale nie strusie.
— No, no — rzekł pan Parker. — To mnie zastanawia! To mnie naprawdę zastanawia! Bardzo, bardzo, bardzo zastanawia!
I nagle cofnął głowę i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Następny ranek przeszedł spokojnie. Dora i Flora siedziały w swojej klatce i nikt nie zwracał na nie uwagi. Zjawił się wicehrabia, by powiedzieć im dzień dobry.

— Dziś po południu wypuścimy was do parku — oświadczył. — Mam nadzieję, że to wam zrobi przyjemność.

Pan Parker przechadzał się tam i z powrotem po swojej klatce, spoglądał na nie podejrzliwie od czasu do czasu, ale nie odzywał się ani słowem. Dora i Flora też się do niego nie odzywały, czekając, aż przemówi pierwszy. Buras spał na słońcu.

Dopiero po południu pan Parker wytknął głowę ze swojej klatki i szepnął do Dory:

— Weź ze sobą zeszyt do parku.

Potem przyszedł pan Piórko, który otwierał wszystkie klatki, i rzekł do Dory i Flory:

— Pamiętajcie, że o ile będziecie się grzecznie zachowywać, to zabawicie się tak samo dobrze, jak inne zwierzęta.

Wyszły z klatki cichutko i spokojnie, choć obie były bardzo podniecone na myśl, że za chwilę zażyją trochę swobody i spotkają tyle innych, obcych zwierząt.

Pan Parker czekał na nie.

— Chodźcie ze mną — szepnął i zaprowadził je do kępy wierzb, które rosły nad rzeką. Nie było tam w pobliżu nikogo.

Pan Parker spojrzał surowo na Dorę i Florę i zapytał:

— Powiedzcie mi, dlaczego przybrałyście postać kangurów?

Więc Dora zaczęła mu opowiadać o Pani Wiedźmie i o czarodziejskim płynie, ale pan Parker przerwał jej i rzekł:

— Ja nie wierzę w czary.

— Więc jak inaczej mogłyśmy się zmienić w kangury? — zapytała Flora.

— Tajemnicza sprawa — rzekł pan Parker. — W istocie, bardzo tajemnicza. Sam się często zastanawiam, jak stałem się żyrafą.

— To pan nie był żyrafą, jak się pan urodził? — zapytała Dora.

— Naturalnie, że nie byłem — rzekł pan Parker z oburzeniem. — Byłem bardzo ładnym dzieckiem. Jednym z najładniejszych w Anglii. Zdobyłem pierwszą nagrodę w konkursie na najładniejsze dziecko! Potem stałem się detektywem. Należałem do największych detektywów świata. Chwytałem morderców całymi tuzinami, fałszerzy całymi setkami, a włamywaczy po prostu tysiącami. Raz śledziłem włamywacza, który ukrył się po drugiej stronie bardzo wysokiego muru. Starłem się spojrzeć poprzez ten mur, a że, jak rzekłem, był to mur bardzo wysoki, więc zacząłem wspinać się i naprężyć, i wyciągać szyję i nogi, coraz wyżej i wyżej — aż stało się coś bardzo dziwnego. Tak wysoko się cały wyciągnąłem, że już z największą łatwością mogłem spojrzeć przez ten mur. Stałem się więc niesłychanie wysoki! A tam po drugiej stronie siedział włamywacz i zakopywał zrabowane srebro w klombie. „Aresztuję pana!” — krzyknąłem. Ale głos mój zabrzmiał jakoś dziwnie i kiedy włamywacz spojrzał w górę, krzyknął głośno ze zdumienia.

— Czyżby stał się pan wtedy żyrafą? — domyśliła się Dora.

— W rzeczy samej — powiedział smutno pan Parker.

— I co się potem stało? — zapytała Flora.

— Włamywacz okazał się bardzo śmiałym i sprytnym człowiekiem — rzekł pan Parker. — Zakopał srebro, zatarł ślady, po czym wstał, przeszedł furtką na drugą stronę muru, tam gdzie stałem, i poklepał mnie po nodze. Niebywale mnie to zdumiało, bo jak zapewne wiecie, bardzo rzadko się zdarza, żeby włamywacz poklepywał detektywa, który go śledzi. Oburzony tym byłem do głębi i odsunąłem się nieco od niego. W tym momencie spojrzałem na swoje własne nogi. Obejrzałem się i zobaczyłem swoje plecy. Byłem absolutnie oszołomiony tym, co ujrzałem, a włamywacz szybko wykorzystał moje zdumienie, zaprowadził mnie do wicehrabiego Lancelota Marmolady i sprzedał za pięćdziesiąt funtów.

— To jednak musiały być czary. Bo jak inaczej mógł się pan stać żyrafą? — rzekła Dora.

— Nie wierzę w czary — powtórzył z uporem pan Parker.

— Więc jak to się stało? — zapytała Flora.

— Nie wierzę — rzekł pan Parker. — Ale ludzie często osiągają to, co chcą, jeśli chcą dostatecznie długo. Pomyśleć tylko o wszystkich tych ludziach, którzy przez całe życie nic, tylko wzdychają: „Niczego więcej nie chcę tylko spokoju i ciszy”. I prędzej czy później umierają i mają spokój i ciszę. A ja zawsze, całe życie chciałem móc patrzeć na drugą stronę przez

wszystkie ściany, mury i płoty.

— Czy sądzi pan, że są tu jeszcze jakieś zwierzęta, które na początku były ludźmi? — zapytała Flora.

— Hm — rzekł pan Parker, a jego oczy nabrzmiały zdumieniem. — Hm, to jest bardzo niepokojąca myśl! Nigdy nie zdarzyło mi się przypuścić, że może tu być jeszcze jakieś zwierzę przerobione z człowieka. Zdawało mi się, że jestem inny, zupełnie inny niż inni.

— A my? Niech pan nie zapomina o nas — rzekła Dora.

— Mam nadzieję, że przyniosłaś mi zeszyt? — zapytał surowo pan Parker.

— A do czego pan go potrzebuje?

— Żeby zapisać w nim wszystko, co dotyczy Sprawy Skradzionych Strusich Jaj — oświadczył pan Parker. — Jest to bardzo tajemnicza sprawa, najbardziej tajemnicza ze wszystkich, z jakimi miałem do czynienia. A gdy ją rozwiążę, od razu zacznę badać prywatne życie każdego ze zwierząt, które tu mieszka. Przynajmniej połowa z nich, jak mi się teraz wydaje, to są istoty ludzkie przeobrażone w zwierzęta! Nawet nasz najbliższy sąsiad, niedźwiedź Buras, może, w gruncie rzeczy, być człowiekiem.

— Zdaje się, że on jest człowiekiem — rzekła Flora. — Dziś w nocy widziałyśmy, jak...

— Nic ważnego — przerwała jej ostro Dora. — Nie o to chodzi. Nie wolno nam tracić czasu i musimy przede wszystkim pomóc panu Parkerowi, żeby jak najszybciej znalazł skradzione jaja.

— Zupełna racja! — przyznał pan Parker. — Nie można robić dwóch rzeczy naraz, a zacząć trzeba od tego, co ważniejsze. Masz ołówek? Dobrze. Zapisz teraz to, co ja ci podyktuję, a jak już wszystko będziemy mieli wypisane czarno na białym, znacznie łatwiej nam przyjdzie zorientować się w tej niezwykle zawiłanej sprawie.

Dora otworzyła zeszyt i zaczęła pisać pod dyktando pana Parkera:

A. Ci, których podejrzewam: Wszyscy.

B. Nić przewodnia: Brak.

C. Cel przestępstwa: Nieznany.

Uwaga marginesowa:

Być może, że to jest porwanie z chęci zysku. Czekać i śledzić, czy ktoś nie zażąda okupu od Sir Bobadila.

D. Kwestia Alibi: Każdy musi mieć co najmniej jedno.

E. Charakter sprawy: Tajemniczy.

— Teraz — rzekł pan Parker — wszystko jest znacznie jaśniejsze. Prawda?

— A co to jest alibi? — zapytała Flora.

— Hm — zastanowił się pan Parker. — Jeślibym cię na przykład zapytał: „Czy byłeś w Londynie tej nocy, kiedy popełniono przestępstwo?”, a ty byś mi odpowiedziała: „Nie, byłam wtedy w Paryżu” — to właśnie byłoby alibi.

— To tak jak zabawa w zgadywanke, prawda? — zapytała Flora.

— Trochę tak — rzekł pan Parker z powątpiewaniem — a trochę nie. Ale cicho! Co to takiego?

Zerwali się na równe nogi. Znajdowali się w pobliżu pałacu wicehrabiego. Od strony trawnika przed pałacem dobiegł ich czyjś gniewny głos. Był to głos kobiecy, a jednocześnie usłyszeli czyjś ni to płacz, ni to kaszel. Nagle ujrzeli biegnącego w ich stronę Sir Bobadila i goniącą go żonę wicehrabiego Lancelota Marmolady. Wicehrabina wywijiała młotkiem krokietowym, ale nie mogła nim dosięgnąć Sir Bobadila, który biegł szybko, zostawiając ją daleko za sobą. Wicehrabina dostała zadyszki i przestała go gonić, groziła mu tylko z daleka młotkiem.

— Szybko! — krzyknął pan Parker. — Spieszmy się! To może być bardzo ważne! To może nas naprowadzić na ślad przestępstwa!

Pobiegli naprzeciw Sir Bobadila, który wyglądał tak, jakby się czegoś wstydził.

— Co pan tam robił? — zapytał surowo pan Parker.

— Och, nic takiego — odparł Sir Bobadil i odwróciwszy głowę, zaczął kaszeć.

— Pan ma coś w gardle — rzekł pan Parker i zniżył głowę, żeby dokładniej zbadać dużą gulę w samym środku szyi Sir Bobadila.

— To tylko okruszek wpadł mi do gardła — rzekł Sir Bobadil zachłystując się.

— To wygląda raczej jak całe ciastko, a nie jak okruszek — wtrąciła Dora.

— To jest kula — oświadczyła Flora.

— Kula krokietowa! — zawołała Dora. — To na pewno jest kula krokietowa. Wicehrabina goniła go z młotkiem od krokietu w rękę!

— Czasem grają tam w krokietu na tym trawniku — rzekł pan Parker w głębokim zamyśleniu. Potem, jakby się nagle rozgniewał, pochylił się do Dory i szepnął jej do ucha: — Nie powinnaś tego robić! Ja tu jestem detektywem, nie ty. Powinnaś poczekać chwilkę, czy ja się pierwszy nie domyślę!

— Przepraszam — rzekła Dora. — Ja tylko starałam się pomóc.

— Ale nie powinnaś zbyt szybko pomagać — powiedział pan Parker.

W międzyczasie Sir Bobadil łapał i łykał powietrze i gula w jego szyi przesuwała się coraz niżej. I kiedy pan Parker zwrócił się do niego, żeby go poddać dalszym badaniom, znikła już zupełnie.

— Dlaczego wicehrabina pana goniła? — zapytał pan Parker.

— Tak sobie, dla żartów — rzekł Sir Bobadil.

— Ukradł pan jej kulę krokietową — powiedział pan Parker.

— Nonsens — rzekł Sir Bobadil. — Nie ma na to żadnego dowodu rzeczowego.

I dumnie wyciągnął na całą długość swoją szyję, żeby każdy mógł się przekonać, jak jest równa i gładka.

— Aha! — rzekł pan Parker. — Już pan go połknął.

— Co połknąłem? — zapytał Sir Bobadil.

— Dowód rzeczowy — rzekł pan Parker.

— A skąd pan wie, że to nie był na przykład kartofel? — zapytał Sir Bobadil, zaśmiał się chytrze i odszedł wolnym krokiem.

— Szybko — szepnął pan Parker do Dory. — Zapisz to wszystko w zeszycie. Tylko szybko, szybko!

I zaczął dyktować:

— „Nić przewodnia Numer Jeden. Dwukropek. Sir Bobadil zjadł kulę krokietową”. Już to zapisałaś? Dobrze. Teraz zostawcie

mnie samego. Będę pracował sam. Muszę iść za nim nieznacznie i śledzić go!

Wspiął się na koniuszki swych kopyt i ostrożnie zaczął iść za Sir Bobadilem, który przez ten czas oddalił się już na jakieś osiemdziesiąt metrów. Dora i Flora zostały same.

— Czy myślisz, że to Sir Bobadil ukradł te jaja? — zapytała Flora.

— Jeśli może połknąć kulę krokietową, to z pewnością może również połknąć strusie jajo — odparła Dora.

— On musi być strasznie zły, jeśli zjada jaja, które jego żona znosi — zauważyła Flora.

— Wygląda na bardzo złego strusia — rzekła Dora.

— Szalenie mnie ciekawi cała ta sprawa — powiedziała Flora.

— I to bardzo interesujące spotkać prawdziwego detektywa — rzekła Dora — nawet jeśli jest żyrafą.

Szły teraz w kierunku nie znanej im jeszcze części Zoo i w jednej z dwóch klatek, które stały w pewnym oddaleniu od innych, zobaczyły jakieś piękne zwierzę, lśniące złotym połyskiem, które szybko krążyło po klatce z cienia na słońce i ze słońca w cień. Była to Złota Puma.

Niedaleko w obszernej i wysokiej klatce znajdował się złom skalny, niby wierzchołek góry wyrosły między dwoma drzewami. Na szczycie skały siedział wspinający ptak, biały jak śnieg. Był to grenlandzki sokół, którego w Zoo nazywano ogólnie Srebrnym Sokołem.

Dora i Flora zatrzymały się i patrzyły z zachwytem to na Sokoła, to na Pumą.

— Dzień dobry! — rzekła Puma.

— Witajcie! — krzyknął Sokół.

— Moje uszanowanie! — powiedziały Dora i Flora.

Wydaje mi się, że powinniśmy wam wyznać całą prawdę — powiedziała Dora. — Bo my nie jesteśmy prawdziwymi kangurami.. Jesteśmy ludźmi, a właściwie dziewczynkami, które się zmieniły w kangury przy pomocy czarodziejskiego płynu.

— Szalenie interesujące! — rzekła Złota Puma.

— To bardzo szlachetnie z waszej strony — oświadczył Srebrny Sokół — że się otwarcie przyznajecie do tak przyziemnego pochodzenia.

— Przyziemnego pochodzenia? — zapytała Dora. — Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Czy ty gardzisz ludźmi?

— No cóż — odparł Sokół — trudno ode mnie wymagać, żebym ich specjalnie lubił! Naturalnie w Grenlandii, skąd pochodzę, nie mieszka szczególnie dużo ludzi, ale ci, co tam są, wystarczą w zupełności, żeby sobie wyrobić jak najgorszą o ludziach opinię. Żyją tam Eskimosi, myśliwi, rybacy i łowcy wszelkiego rodzaju, i nie mogę zaprzeczyć, że są to bardzo przedsiębiorcze istoty. Usiłują robić rozmaite rzeczy, ale niczego nie potrafią zrobić tak, jak należy. Owszem, umieją trochę widzieć, trochę słyszeć, trochę biegać, trochę pływać, ale żadnej z tych rzeczy nie robią naprawdę dobrze.

— Ja tam lubię istoty ludzkie — odezwała się Złota Puma — lubię dźwięk ich głosu, lubię, kiedy się śmieją i kiedy płaczą. Często myślałam sobie, że chciałabym się zaprzyjaźnić z jakimś człowiekiem.

— Nie można się po nich spodziewać niczego dobrego — rzekł Sokół. — Najlepszy dowód, że cię zamknęli w Zoo.

— Wiem — rzekła Puma z melancholią w głosie. — Dałam się podejść. Nie przypuszczałam, że ludzie są tak zdraclliwi.

— Nie podoba ci się w Zoo? — zapytała Dora ze zdziwieniem. Klatka Puma wydawała się jej bardzo ładna i wygodna, a z tyłu za nią był duży wybieg. Rosły tam krzewy i drzewa i przepływał mały potoczek między skałami.

Puma przez chwilę milczała, po czym odezwała się w te słowa:

— Żyłam kiedyś w puszczy brazylijskiej i ciągle widziałam coś nowego, nieoczekiwanego, zaskakującego. Bo każde drzewo ma tam odmienny kształt, wielkość i barwę. Niektóre są młode i gładkie, niektóre stare i pomarszczone. Ich pogmatwane gałęzie układają się w misterny deseń na tle błękitnego nieba, a nocą wygląda to jak sieć zarzucona na niebo, żeby łowić w nią gwiazdy. W indiańskich wioskach małe, smagłe dzieci baraszkuje w słońcu. Przez las przewijają się kręte, wąskie ścieżyny biegnące całymi milami. Płynie tam rzeka, czasem żółta i wzburzona, czasem gładka i przezroczysta. Lubiłam wylegiwać się na gałęzi drzewa stojącego nad rzeką i przeglądać się w wodzie. A gdy byłam głodna, szłam na polowanie. To jest coś najwspanialszego, co można mieć w życiu. Ach, iść na łowy w księżycową noc, czuć, że w żyłach się ma nie krew, ale żywe srebro! Ptak się gdzieś budzi — i ty to słyszysz. Liść się zakołysze — i ty to widzisz. Wszystko jest niby nieruchome, ale ty czujesz, że tak nie jest. Suniesz jak cień między gałęziami drzew i każdym kawałkiem skóry, każdym swoim zmysłem czujesz i cieszysz się, że żyjesz.

— Sądzę, że puszcza brazylijska może mieć swoje zalety — rzekł Srebrny Sokół — ale chciałbym, żebyście zobaczyli kiedy Grenlandię. Nic na świecie nie jest tak piękne, jak ta kraina, która jest jedną, ogromną taflą pokrytą śniegiem, błyszczącą w słońcu, pociętą wąwozami, poznaczoną niebieskim cieniem. Nieraz szybowałem wysoko, wysoko, nad tą krainą, niesiony przez wiatr powietrzem czystym jak kryształ, i widziałem pod sobą setki mil śniegu i morze, i góry lodowe rozbijające się na wybrzeżu, i kawały kry, wśród których pływali Eskimosi łowiąc ryby ze swych kajaków.

Skladałem skrzydła i nurkowałem jak kula poprzez diamentowe powietrze, w dół, wprost na maleńkie krzewy i lśniące skały, które stawały się większe i większe. Żółte maki, niby płomyki ognia, wykwitały nagle na moje powitanie, a drobiny kwarcu w skałach kłuły mnie błyskiem w oczy, jak świetliste szpileczki. Spadałem tak głową w dół, że świstem powietrza w uszach i nagle trach — rozwijałem skrzydła, głowę odrzucałem do góry i zatrzymałem się tuż, tuż nad ziemią, uderzałem gwałtownie na tłąstą przepióreczkę i przygwaźdżałem ją do ziemi! Ha! Cóż za rozkosz! Swoboda! Wolność!

— Wolność! — westchnęła Puma. — Nie ma życia bez wolności.

— Czy was nigdy nie wypuszczają z klatek? — zapytała Dora.

— Nigdy — rzekła Puma. — Nie ufają nam.

Srebrny Sokół stanął na szczycie skały, wyciągnął się cały w górę i powoli rozpostarł swoje piękne skrzydła, jakby chciał przypomnieć sobie drzemiącą w nim potęgę. Zwinął je znowu, spojrzął na Dorę i Florę i rzekł:

— Przypuszczam, że czujecie się tu dobrze. Wam nie żal utraconej wolności! Jesteście tylko ludźmi, a ludzie nie wiedzą nawet, co to jest prawdziwa wolność.

— Ale my dobrze wiedziałyśmy — rzekła Dora. — Musiałyśmy się naturalnie w pewnych godzinach uczyć i nigdy się nie spóźniać na obiad, i kłaść się spać o wpół do ósmej, ale poza tym miałyśmy całkowitą wolność. Prawda, Floro?

— No, niezupełnie — rzekła Flora. — Pamiętasz, jak często mama kazała nam myć ręce? A panna Rozumek, która zawsze kazała nam wkładać buciki, kiedy chcieliśmy biegać bosy? Według mnie, miałyśmy bardzo mało wolności.

— Ale nigdy nie trzymano nas w zamknięciu — powiedziała Dora.

— To prawda, nie trzymano nas w zamknięciu — przyznała Flora.

— Tak, że nawet wy nie jesteście zadowolone z tego, że mieszkacie w Zoo? — zapytała Puma.

— Tu wszystko jest bardzo ciekawe — rzekła Dora — ale nie chcemy tu zostać na zawsze.

— A jak chcecie się stąd wydostać?

— Uciekniemy — rzekła Flora.

— W jaki sposób? — zapytali jednocześnie Puma i Sokół.

— Jeszcze nie wiemy — odpowiedziała Dora — ale znajdziemy jakiś sposób. Sami mówiliście, że istoty ludzkie są bardzo przedsiębiorcze, a Flora i ja stajemy się z każdym dniem bardziej przedsiębiorcze.

— A czy pomożecie i nam uciec? — zapytał Sokół.

— Naturalnie, że pomożemy — zapewniła Flora.

— O wielkie i wspaniałe kangury! — wykrzyknął Sokół, znów rozpościerając skrzydła, jakby czując już przedsmak swobodnego lotu. — Czy nam to przyrzekacie? Ach, Grenlandio! Znów zobaczę twe śniegi i topniejące lody, i lodowate morze! Słyszysz, Pumo? Odzyskamy wolność!

— Tak, słyszę — rzekła Puma. — Ale ze mną jest znacznie trudniejsza sprawa. Ty możesz polecieć do Grenlandii, ale ja... ja nie mogę pobiec do Brazylii.

— Niedaleko stąd jest wielki i piękny las — rzekła Dora. — Nazywa się Bór Ciemnobór. Czy nie mogłabyś w nim zamieszkać?

— Naturalnie, żebyś mogła — powiedział Sokół.

— Czy to jest prawdziwy las? — zapytała Puma.

— Najprawdziwszy — rzekła Dora.

— Ciągnie się całymi milami — potwierdziła Flora. — Mogłabyś się w nim ukryć przed wszystkimi.

— Ale czy wy — zapytała Puma — czy wy przychodziłybyście mnie czasem odwiedzać?

— Naturalnie! To będzie cudownie! — wykrzyknęły radośnie Dora i Flora.

W chwilę potem rozległ się głos dzwonu, w który uderzał pan Piórko. Był to sygnał dla zwierząt, oznaczający, że czas już wracać do klatek. Dora i Flora pożegnały się ze swymi nowymi przyjaciółmi i gdy były już same, Dora rzekła:

— Nigdy nie przypuszczałam, że życie w Zoo może być tak szalenie ciekawe. Od razu znalazłyśmy się w samym środku niezwykle interesujących zdarzeń.

— Mamy masę do roboty — powiedziała Flora. — Musimy pomóc panu Parkerowi w poszukiwaniu skradzionych strusich jaj i coś trzeba będzie zrobić, żeby ułatwić ucieczkę Złotej Pumie i Srebrnemu Sokolowi.

— Przede wszystkim coś trzeba będzie zrobić, żebyśmy same mogły uciec — rzekła Dora — a nie mam pojęcia, co pocniemy, jak nie uda się nam znaleźć buteleczki, którą zgubiłam, i jeśli nie będziemy mogły napić się czarodziejskiego płynu.

— Może pan Parker mógłby ją znaleźć? On jest, bądź co bądź, detektywem.

— Nie myślałam o panu Parkerze, ale o Sokole. Czy pamiętasz, jak mówił, że kiedy żył w Grenlandii, mógł widzieć na setki mil? I że z ogromnej wysokości mógł dostrzec małą przepiórkę lecącą tuż nad ziemią? On musi mieć wspaniały wzrok.

— Myślisz, że gdybyśmy go wypuścili z klatki, to mógłby znaleźć naszą buteleczkę?

— Na pewno zgubiłam ją gdzieś po drodze z miasteczka — rzekła Dora.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, rozmyślając o swoim bardzo trudnym położeniu i o czekających je zadaniach. Dzień przeszedł im przyjemnie, pomagały panu Parkerowi w jego poszukiwaniach, rozmawiały z Pumą i Sokolem i obie pomyślały, że przyjemnie być kangurem, o ile naturalnie ma się coś do roboty. Ale być po prostu kangurem i siedzieć w klatce, nie mieć żadnego zajęcia ani żadnych książek do czytania, ani łamigłówek, ani zabawek czy rozrywek — nie, to by było okropnie nudne. Spojrzały na siebie jednocześnie i każda z nich zobaczyła odbite w oczach drugiej te same troski i wątpliwości.

Nagle usłyszały dochodzący z domku pana Parkera dziwny odgłos, jakby ktoś pruł płótno — trrr, trrr, trrr — a na zakończenie każdego trzech „trr” rozlegał się przeraźliwy gwizd. To pan Parker zasnął w bardzo niewygodnej pozycji i chrapał głośno.

— Musiało go zmęczyć śledzenie Sir Bobadila — rzekła Dora.

— Nie będziemy mogły spać, jeśli tak dalej będzie chrapał — powiedziała Flora.

Pan Parker chrapał wciąż głośniejsze i głośniejsze, w końcu gwizdnął jak lokomotywa wjeżdżająca w tunel i przebudził się. Słyszały, jak przewracał się z boku na bok, aż w końcu niezgrabnie stanął na nogi. Potem doszły je dwa krótkie kaszlnięcia.

— Chce z nami rozmawiać — szepnęła Dora.

— Może natrafił na ślad złoczyńcy — rzekła Flora. Wyszły z domku i zobaczyły w ciemnościach głowę pana

Parkera wysuniętą ponad kraty klatki. Nikłe światelko gwiazdy odbijało się w jego wielkich, melancholijnych oczach.

— Czy masz swój zeszyt? — wyszeptał.

— Mam go przy sobie — dopowiedziała Dora.

— Musisz natychmiast coś zapisać. Podyktuję ci wszystko bardzo powoli, a ty zapisuj to dokładnie i nie rób żadnych pomyłek, bo każde słowo jest niesłychanie ważne.

Trochę trudno było Dorze pisać po ciemku, ale jakoś sobie poradziła. A oto, co jej pan Parker podyktował:

„Trzecia po południu, 13-go. Zaczynam śledzić Sir Bobadila, strusia podejrzanego o popełnienie przestępstwa. Nie tracę go ani na chwilę z oka. *Pytanie:* Czy podejrzanym wiedział, że go śledzą? *Odpowiedź:* Nie, bo byłem bardzo ostrożny. Podejrzanym udał się nad rzekę, gdzie grunt jest piaszczysty, i tam się zatrzymał. Potem zanurzył głowę w piasku. Przyglądałem mu się bardzo uważnie i mogę stwierdzić, że nie wykonał żadnego innego ruchu. Usiadłem na ziemi i obserwowałem go w dalszym ciągu. Czekałem bardzo długo. Ale nic więcej się nie wydarzyło. Zachciało mi się jeść i poszedłem do domu. Zatem ostatni raz widziałem podejrzanego, jak stał z głową zanurzoną w piasku. Jedząc, rozmyślałem nad całą sprawą. *Pytanie:* Czy byłem zdumiony? *Odpowiedź:* Tak. Rozmyślałem nad tym, rozmyślałem, aż zasnąłem. A gdy się obudziłem, wszystko już dla mnie było jasne!!! Sir Bobadil jest przestępcą — zgodnie z tym, co podejrzewałem. Kradł własnej żonie jaja i zakopywał je w piasku. Dziś po południu, tj. 13-go — chciał je odkopać z powrotem. Ale zaczął kopać w złym miejscu, uderzył się głową o kamień i stracił przytomność. Dlatego stał tak spokojnie.

P. S. To jest jedynie teoria, którą należy potwierdzić, aby mogła stać się niezbitym dowodem.

— Ja też tak myślę — rzekła Dora, gdy skończyła pisać. — Czy pan wie, że strusie zawsze wsadzają głowę w piasek, kiedy chcą się ukryć?

— A czy udaje im się w ten sposób ukryć? — zapytał pan Parker.

— Nie. Ale one myślą, że tak.

— A skąd wiesz, co one myślą?

— Panna Rozumek nam tak mówiła.

— Kto to jest panna Rozumek?

— Nasza nauczycielka — rzekła ponuro Flora. — Ona wszystko wie.

— A czy ona wie, gdzie są ukradzione jaja? — zapytał pan Parker.

— Nie wie — rzekła Dora. — Skąd mogłaby wiedzieć?

— Zatem nie wie wszystkiego — rzekł ostro pan Parker. — A jeśli nie wie wszystkiego, to nie możemy być pewni, czy wie cokolwiek. A jeśli nawet wie cokolwiek, to nie może wiedzieć, co myślą strusie. A wy wiecie jeszcze mniej, bo wiecie tylko to, co ona wam mówi. To się nazywa Logika i dowodzi, że to, coście powiedziały, nie jest żadnym dowodem. A jeśli coś nie jest dowodem — to mnie nie interesuje. Nie interesuje mnie, słyszycie?

I pan Parker, którego głos stawał się w miarę mówienia coraz głośniejszy, wszedł do swojego domku, zapominając o swoim wysokim wzroście, i znowu uderzył głową o belkę nad drzwiami.

— Kto mnie uderzył? — krzyknął.

— Sam się pan uderzył — powiedziały Dora i Flora, a pan Parker chociaż odniósł się do tego bardzo podejrzliwie, nie mógł udowodnić, czy to była prawda, czy nie — i bardzo zły poszedł spać.

— Wydaje mi się, że on nie jest bardzo dobrym detektywem — powiedziała Dora.

— Nie ma zbyt wielkiej praktyki, od czasu jak stał się żyrafą — rzekła Flora.

Dora nachyliła się do Flory i szepnęła jej na ucho:

— Gdybym ja była detektywem, śledziłabym Burasa. On ukradł gazetę wicehrabiemu, a zatem jest złodziejem. A jeśli jest złodziejem, to pewnie ukradł i jaja.

— Czy to jest to, co pan Parker nazywa Logiką? — zapytała Flora.

— Zdaje się, że tak — odrzekła Dora. — Jeśli dziś w nocy zauważymy światło w domku Burasa, będziemy go śledzić przez całą noc, na zmianę, żeby się jak najprędzej dowiedzieć, czy ukradł jaja, czy nie.

Flora zgodziła się, a choć bardzo trudno im było nie zasnąć, długo czekały, aż coś się stanie. Po godzinie Flora zaczęła kiwać się i drzemać. Śniła jej się, że wróciła do domu i jadła śniadanie i panna Rozumek mówiła o strusiach, o strusich piórach i strusich jajach. Dora uszczypnęła ją lekko i Flora się obudziła.

— Patrz! — wyszeptwała Dora.

Było zupełnie ciemno, ale przez szparę w ścianie wdzierała się do pokoju blada smużka światła. Buras zapalił świecę.

— Ja pierwsza będę go śledzić — rzekła Dora — a potem, jak mi się zachce spać, obudzę ciebie i będzie twoja kolej.

— Dobrze — powiedziała Flora i natychmiast dalej śniła o pannie Rozumek. Dora tymczasem podsunęła się bezszelestnie do ściany i spojrzała przez szparę.

Pałaca się świeca stała jak przedtem na krawędzi łobu, Buras leżał przykryty słomą i pomrukując z zadowolenia, czytał tę samą, wymiętoszoną już teraz gazetę.

„Zachowuje się zupełnie jak człowiek” — pomyślała Dora. Rzeczywiście, nie wyglądał jak niedźwiedź udający człowieka, ale jak człowiek, który stał się niedźwiedziem i nie zapomniał robić tych wszystkich rzeczy, które ludzie zwykli robić.

„Przypuszczam, że na tym polega cała prawda — powiedziała Dora do siebie. — Nigdy nie wiedziałam, że ludzie mogą się tak łatwo zamieniać w zwierzęta! Życie jest znacznie ciekawsze, niż się na pozór wydaje”.

Buras czytał dalej gazetę. Przewrócił stronę, spojrzał na nią i zaczął mamrotać z niezadowoleniem. Obejrzał pierwszą stronę gazety, potem ostatnią i niecierpliwiał się coraz bardziej. Mruczał coś do siebie, a Dora, wyteżając słuch, mogła usłyszeć prawie wszystko.

— Już to czytałem — mruczał Buras. — Czytałem to i to, i to. To jest stara, wczorajsza gazeta. Co komu przyjdzie z wczorajszej gazety? Wszystko w niej jest już nieaktualne! Niech diabli wezmą tego całego Marmoladę! Dlaczego dzisiaj rano nie miał gazety w kieszeni? To straszne, że nie można mieć co rano świeżej gazety! Najwyżej raz na tydzień udaje mi się dostać gazetę. Och, jak mnie już nudzi to, że jestem niedźwiedziem!

I znowu zaczął mruczeć:

— Lepiej wstanę i wyrzucę ją gdzieś. Nie mogę jej tu zostawić. Wyrzucę ją tam, gdzie zwykle. Dzięki Bogu, że noc jest ładna. Odwrócił nagle głowę i zdmuchnął świecę. Dora już nic nie mogła widzieć, ale słyszała, jak kręcił się dokoła. Wyszedł z

domku do klatki. Bardzo ostrożnie też wyszła ze swego domku i w ciemności zobaczyła ciemny kształt Burasa stojącego przy drzwiach swej klatki. Zatrzymał się na chwilę. Usłyszała cichy brzęk. Drzwi klatki otworzyły się i Buras wyszedł na zewnątrz. „On ma klucz! — szepnęła do siebie Dora, która bardzo by się przeraziła, gdyby nie była kangurem, widząc niedźwiedzia idącego nocą na spacer. — Ale skąd on wziął klucz i w jaki sposób? Pewnie go ukradł! Zatem musi być zawodowym złodziejem!”

Buras nie zamknął za sobą drzwi i Dora domyśliła się, że pewnie chce niedługo wrócić.

„Byłoby świetnie — pomyślała — zacząć się na niego i nastraszyć go porządnie”.

Ale potem przyszło jej do głowy, że pewnie sama by się przy tym porządnie najadła strachu, bo Buras wpadłby we wściekłość, gdyby się dowiedział, że jego sekret został odkryty. Poza tym Buras miał klucz, którym można było otwierać tak samo jego klatkę, jak i klatkę pana Parkera i ich własną — a to było bardzo ważne.

„Pan Piórko zawsze jednym kluczem otwiera nasze trzy klatki — przypomniała sobie Dora. — A Buras, gdyby się rozzłościł, mógłby tu przyjść, złapać mnie w swoje objęcia, ścisnąć mocno i połamać mi kości. Niedźwiedzie często to robią, jak je podrażnić. Panna Rozumek tak mówiła”.

To by było okropne i Dora tak się przelękała, że już prawie postanowiła położyć się spać, gdy nagle zauważyła coś tak niesłychanie ważnego, że natychmiast zmieniła zamiar. Buras nie tylko zostawił drzwi klatki otwarte; zostawił również tkwiący w nich klucz!

Gdyby tylko udało jej się go dosięgnąć!

Wyciągnęła ramię poprzez pręty dzielące ich klatkę od klatki Burasa i sięgnęła tak daleko, jak tylko mogła. Końcami palców dotknęła krawędzi drzwi. Udało jej się nacisnąć je lekko, poruszyły się i prawie zamknęły. Teraz klucz był troszkę bliżej. Jeszcze się bardziej wyciągnęła wysuwając jeszcze dalej ramię, aż pręty klatki wcisnęły jej się głęboko w ciało. Wreszcie poczuła, że dotyka już klucza, i udało jej się pociągnąć go lekko i wysunąć z zamka. Ale jej rozprostowane i wyciągnięte palce nie mogły go utrzymać i klucz z cichym brzękiem „klik” upadł na podłogę klatki, odbił się od niej i był teraz znacznie dalej niż poprzednio.

Dora omal że się nie rozplakała. Nadzieja ucieczki była już taka bliska! Teraz wszystko na nic! Postanowiła być dzielną i nie płakać i przypomniała sobie, że przecież ma ogon, który jest znacznie dłuższy niż jej ręka.

Obróciła się tyłem i wysunęła ogon przez pręty klatki. Zerkając przez ramię do tyłu, zaczęła łowić ogonem klucz. Zagarnęła go samym jego koniuszkiem i podsunęła trochę bliżej. Potem jeszcze, jeszcze bliżej. Aż mogła wreszcie dosięgnąć go ręką i w chwilę potem otwierała już drzwi swojej własnej klatki.

Zawahała się przez moment, czy nie obudzić Flory, ale nie miała wiele czasu do stracenia i po krótkiej chwili namysłu ruszyła w tym samym kierunku, w którym poszedł Buras. Posuwała się szybko, odbijając się ogonem od ziemi i skacząc naprzód w ciemności nocy. Doskonale wszystko po ciemku widziała, znacznie lepiej niż dawniej. Zastanowiła się, czy jej oczy świecą się tak jak oczy innych zwierząt i jakiego są koloru. Zdawała sobie sprawę, że była dotychczas bardzo dzielna, ale jednocześnie, co tu gadać, porządnie się bała. Nikt nie może zaprzeczyć, że ściganie niedźwiedzia w nocy jest przedsięwzięciem nader ryzykownym, nawet jeśli to jest bardzo wykształcony niedźwiedź, który czyta gazety. Ale mówiła sobie, że musi się przekonać, dokąd Buras poszedł, że to szalenie ważna sprawa, od której mnóstwo zależy. Robiła więc, co mogła, żeby się go nie bać, i cały czas powtarzała w duchu, że to świetnie jest być odważną.

Nagle, właśnie gdy wykonywała jeden ze swych długich skoków, usłyszała coś, jakby gardłowy gwizd, wykręciła się więc w powietrzu, opadła miękko na trawnik i posuwała się dalej po trawie bardzo, bardzo cicho.

Zatrzymała się za drzewem, ostrożnie wychyliła zza niego i tuż przed sobą ujrzała Burasa. Siedział na ziemi i wydawał się ogromny w ciemnościach nocy. Nagle włożył łapę do paszczy i gwizdnął przez pazury.

„To na pewno jest jakiś umówiony sygnał” — pomyślała Dora.

Czekała cierpliwie. Aż tu na tle oświetlonego gwiazdami nieba zarysowała się wysoka postać na długich nogach i o długiej, kołyszającej się szyi. To był struś, Sir Bobadil! Po krótkiej, szeptem przeprowadzonej rozmowie Buras dał mu gazetę. Sir Bobadil zaczął ją natychmiast jeść i od razu można było poznać, że gazeta bardzo mu smakowała.

„A więc panna Rozumek miała rację” — szepnęła do siebie Dora. Panna Rozumek nieraz im opowiadała, że strusie mogą wszystko stawić, ale ani Dora, ani Flora nie wierzyły w takie historie. A tu miała przed sobą niezbity dowód, że to była prawda. W ten właśnie sposób Buras pozbywał się ukradzionych gazet. On i Sir Bobadil byli więc współnikami i pod pewnym względem nawet współnikami przestępstwa. „Pan Parker — pomyślała Dora — bardzo się zainteresuje, jak mu o tym powiem”.

Z przestachem zauważyła, że Sir Bobadil zjadł już prawie całą gazetę. Musi się więc śpieszyć, bo Buras za chwilę będzie

wracał do domu. Cicho i pomału zaczęła się posuwać do tyłu, a gdy już oddaliła się na bezpieczną odległość, zrobiła jeden długi, daleki skok i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż szybko wróciła do klatki, która wydała się jej teraz bezpiecznym i wygodnym schronieniem. Weszła do środka, zamknęła starannie drzwi na klucz, schowała go do kieszeni; położyła się obok Flory i nasłuchiwała, co będzie dalej.

W kilka minut później usłyszała ciche stuknięcie. To Buras zamykał drzwi. Potem — pomruk nabrzmiały zdumieniem i przerażeniem. Klucz gdzieś zniknął! Słyszała, jak węszył dokoła i dyszał ciężko. Potem znów doszedł do niej dźwięk zamykanych drzwi.

Buras nosił klucz na sznurku na szyi. Mógł go doskonale ukryć w swym długim, gęstym futrze. „Pewnie myśli, że zgubił go gdzieś w parku — powiedziała do siebie Dora. — Biedny Buras!”

Nagle zrobiło jej się żal Burasa. Pewnie teraz tak samo się martwił jak ona i Flora, kiedy odkryły, że zniknęła buteleczka z czarodziejskim płynem Pani Wiedźmy.

— Biedny Buras — powtórzyła. Ale że była równie zmęczona, jak pełna współczucia dla Burasa, więc szybko usnęła.

Buras rzeczywiście wrócił do parku szukać klucza. Szukał tu, szukał tam, ale nigdzie go naturalnie nie mógł znaleźć. Pomyślał, że dobrze by było wezwać na pomoc Sir Bobadila. I nagle przyszło mu do głowy straszne podejrzenie — pewnie upuścił klucz wtedy, kiedy dawał Sir Bobadilowi gazetę, a ten zjadł go wraz z nią! Wiedział, że strusie mają nienasycony apetyt i że są szalenie łakome; na pewno Sir Bobadil tak samo przepada za starym żelastwem, jak i za starymi papierami.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że to się właśnie stało. Wzięła go złość, sierść na szyi nastroszyła mu się sztywno, niby szczecina nowo kupionej szczotki do włosów. Włożył łapę do ust i gwizdnął trzy razy przez pazury. Sir Bobadil myślał, że może Buras przyniósł mu coś więcej do jedzenia, i szybko przybiegł do niego.

— Połknąłeś mój klucz — warknął na niego Buras.

— Nie, nie połknąłem — rzekł Sir Bobadil.

— Więc gdzie on się podział?

— Skąd ja mogę wiedzieć?

— Masz go w brzuchu.

— Nic podobnego. Nie jadam kluczy.

— Kłamiesz! Jesz wszystko!

— Nie, nie wszystko. Mam bardzo delikatny żołądek. A ty jesteś stary, głupi niedźwiedź i do tego źle wychowany.

Zaczęli się porządnie kłócić i poszturchiwać. Sir Bobadil uciekł wreszcie, a Buras gonił go po całym parku, ale nie mógł go złapać. Biegali tak i biegali, aż noc się skończyła, słońce weszło i wrócił jasny dzień.

Buras zdał sobie nagle sprawę, że jego obecność poza klatką o tej porze może być źle widziana, i jak tylko mógł najszybciej, poczłapał niedźwiedzim krokiem do domu. Ale niestety, było już za późno.

Pan Piórko akurat tego dnia wstał nieco wcześniej i odbywał już swój codzienny obchód. Właśnie kiedy Buras zbliżał się do swej klatki z jednej strony — pan Piórko podchodził do niej z drugiej. Zdziwił się niesłychanie, widząc Burasa na środku alejki, a Buras był absolutnie przerażony, widząc pana Piórko przed swoją klatką. Zatrzymali się obaj jak wryci, patrzyli jeden na drugiego bez słowa i stali tak mniej więcej pół minuty.

Wreszcie pierwszy odezwał się pan Piórko.

— Jak to się stało, że nie jesteś w klatce? — zapytał zagniewany.

Buras tylko spuścił pokornie głowę i milczał. Pan Piórko założył mu na szyję sznur i zaprowadził do ciemnej, niewygodnej klatki, która stała samotnie w najodleglejszym krańcu Zoo.

Rano, zaraz po przebudzeniu, Dora opowiedziała Florze wszystko, co się zdarzyło w ciągu nocy. Flora obejrzała dokładnie klucz Burasa i rzekła: — Możemy już uciekać!

— Nie tak od razu — powiedziała Dora. — Niewiele by nam teraz z tego przyszło. Musimy najpierw znaleźć buteleczkę Pani Wiedźmy. A poza tym powinnyśmy zostać tu dopóty, dopóki pan Parker nie rozwiąże zagadki ukradzionych strusich jaj.

— To może zabrać mu bardzo dużo czasu — rzekła Flora.

— Zabierze mu znacznie więcej, jeśli pozbawimy go naszej pomocy — powiedziała Dora. — Pierwszą rzeczą, jaką powinnyśmy zrobić...

— Wiem! — wykrzyknęła Flora. — Musimy wypuścić Srebrnego Sokoła.

— Tak — przyznała Dora. — Wrócimy mu wolność, a on poszuka naszej buteleczki; my będziemy tymczasem szukały skradzionych jaj.

— Sokół może w ogóle odlecieć i nigdy nie wrócić — rzekła Flora.

— O, nie! — zaprzeczyła Dora. — Jestem pewna, że on jest bardzo szlachetnym sokołem i nie zostawiłby swojej przyjaciółki Pумы w niewoli.

— A jak już znajdziemy buteleczkę i znowu się zamienimy w dziewczynki, to w jaki sposób wypuścimy wtedy Pumą?

— Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam — powiedziała Dora — ale znajdziemy jakiś sposób. A teraz musimy porozmawiać z panem Parkerem.

Lecz nim zdążyły na niego zawołać, zjawił się pan wicehrabia w towarzystwie pana Piórko. Zatrzymali się przy pustej klatce Burasa, rozmawiając z powagą o jego przebiegłej i złej naturze.

— Słusznie pan zrobił, że pan go wsadził do osobnej klatki — mówił wicehrabia.

— Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony jak dziś rano — rzekł pan Piórko. — Dobrze, że zabrałem ze sobą sznur i że mogłem mu założyć pętlę na szyję i zaprowadzić do osobnej klatki. Na szczęście był zupełnie łagodny.

Dora i Flora ze zdumieniem przysłuchiwały się tej rozmowie, bo spały jeszcze smacznie, kiedy pan Piórko przyłapał Burasa, i cały czas myślały, że i on śpi sobie spokojnie w swoim domku. A że zwykle wstawał dosyć późno, więc nie zdziwiły się, nie widząc go rano. Dorze zrobiło się znowu żal biednego Burasa, mimo że był złodziejem gazet, albo może nawet kimś znacznie gorszym.

— W jaki sposób mógł wyjść z klatki? — zapytał wicehrabia już po raz siódmy.

— Ba, gdybyśmy to tylko wiedzieli, wszystko byłoby jasne — rzekł pan Piórko.

— Jest pan zupełnie pewny, że drzwi klatki były zamknięte?

— Od osiemnastu lat sam zamykam wszystkie klatki i nigdy nie popełniłem pomyłki — powiedział pan Piórko.

— To dziwne — rzekł wicehrabia — bardzo dziwne. Oddalili się wolno do innych klatek i gdy byli już daleko, pan Parker zaczął się dopytywać: — O czym oni mówili? Co to za nowa tajemnica?

Dora opowiedziała mu wszystko, a oczy pana Parkera poszerzyły się ze zdumienia i stały się tak wielkie, że Dora i Flora mogły się w nich przejrzeć od stóp do głów.

— Szybko, szybko! — krzyknął pan Parker. — Wyciągnij swój zeszyt i zapisz to wszystko. Tytuł: KONSPIRACJA. Czy wiesz, jak to się pisze? K-O-N-S-P-... P-S... Wszystko jedno, nazwijmy to inaczej: „SPISEK”.

— Umieć napisać „Konspiracja”, niepotrzebnie się pan fatyguje — rzekła nieco urażona Dora i napisała: „KONSPIRACJA”.

— To jest bardzo w złym guście, kiedy używa się trudnego słowa, jak można je zastąpić łatwym — powiedział pan Parker. — A co gorsza, przerwałaś mi tok moich rozumowań.

— Dobrze — zgodziła się Dora — niech będzie „Spisek”.

— W porządku — rzekł pan Parker. — Pisz dalej: Buras i Sir Bobadil są WSPÓLNIKAMI, W-S-P-U... Nie, „o” kreskowane.

A może „u” zwyczajne? Najlepiej napisz „SPISKOWCAMI”. Napisałaś już?

— Tak — rzekła Dora, która tym razem się nie sprzeczała, bo sama nie była pewna, jak się pisze „wspólnikami”.

— A co zatem idzie — dyktował dalej pan Parker — Buras spiskuje z Sir Bobadilem, a Sir Bobadil spiskuje z Burasem.

— Już to napisałam — rzekła Dora.

— Dobrze — rzekł pan Parker. — I jaki możemy z tego wyciągnąć wniosek?

— Nie wiem — powiedziała Dora.

— Ja też nie wiem — rzekła Flora.

— Ani ja — dodał pan Parker po dwóch minutach głębokiego namysłu. — To bardzo tajemnicza sprawa, prawda? W samej rzeczy, bardzo tajemnicza. Ale mamy już dwóch podejrzanych zamiast jednego — stwierdził z zadowoleniem. — A zawsze im więcej podejrzanych, tym lepiej. Bo jak jeden podejrzany jest niewinny, to zawsze są inni, którzy mogą być winni.

I pan Parker zaczął powtarzać „inni-winni-niewinni” i drapać się w ucho z głębokim namysłem, aż nagle coś nowego przyszło mu do głowy.

— Czy która z was — zapytał — zauważyła kiedy żółte plamy z jajek na futrze Burasa?

— Nie — rzekła Dora i Flora.

— Szkoda — powiedział pan Parker — wielka szkoda. Bo plamy z jajek naprowadziłyby mnie na właściwy ślad. Pójdę zastanowić się nad nowym rozwojem wydarzeń. Muszę wszystko dokładnie przemyśleć, zanim przystąpię do ostatecznego rozwikłania tej najbardziej tajemniczej zagadki, ze wszystkich, jakie rozwiązałem w czasie mej wspaniałej kariery. Prawdziwy detektyw nie spocznie ani na chwilę, póki wszystkiego do końca nie rozwikła.

Mówiąc to, pan Parker zmierzył uważnie wzrokiem wysokość drzwi, starannie obniżył głowę i zniknął w swoim domku. Za chwilę Dora i Flora usłyszały znany im dźwięk „chr... chr... chr”, zakończony gwizdem. Pan Parker spał.

— On to nazywa myśleniem — rzekła Dora.

— Tatuś nazywał to chwilką medytacji — powiedziała Flora.

— Ale tatuś przy tym nie chrapał.

— W każdym razie nie tak głośno — rzekła Flora. — Biedny tatuś, ciekawam, gdzie teraz jest?

— Mam nadzieję, że nic mu nie grozi — powiedziała Dora. Po południu zwierzęta jak zwykle zebrały się w parku.

Rozmawiano z ożywieniem o tym, co zaszło. Wieść, że Buras wyszedł na całą noc z klatki i został za to skazany na zamknięcie w odosobnieniu, szybko rozeszła się po całym Zoo.

Prawie każdy był przekonany, że bury niedźwiedź jest poszukiwanym przestępcą, a mrówkojad, pelikan i pawian powtarzali w kółko, że od samego początku uważali Burasa za złodzieja strusich jaj.

— Byłem tego najzupełniej pewny — rzekł pelikan.

— Gdyby mnie zapytano o zdanie — dodał mrówkojad — rzekłbym bez wahania, że to on. Ale nikt mnie się o nic nigdy nie pyta.

— Ani mnie — rzekł pawian.

— Ani mnie — powiedział pelikan.

— A można było uniknąć wszystkich tych niepotrzebnych zmartwień i kłopotów — stwierdził mrówkojad.

Posępnie wyglądający renifer pouczał dwa młode rysie o tym, jak ważną rolę w życiu gra dobre wychowanie, zaznaczając, że w dzisiejszych czasach rodzice zbyt mało na to zwracają uwagi.

— Gdyby ojciec i matka Burasa — mówił — wychowali go starannie, to pewny jestem, że nie znalazłby się dziś w więzieniu. Niech to będzie dla was ostrzeżeniem!

Dwa młode rysie tak się przejęły jego słowami, że natychmiast zaczęły płakać.

Czarny, himalajski niedźwiedź i malajski miś byli oburzeni, że członek ich rodu postąpił tak niegodnie.

— Niedźwiedź — powtarzali — jest jednym z najszlachetniejszych zwierząt na świecie i nikt nigdy nie słyszał, żeby kiedykolwiek jakikolwiek niedźwiedź mógł dopuścić się kradzieży. To, co się stało, dowodzi, że świat chyli się do upadku.

Jedna Lady Lii, żona Sir Bobadila, była zachwycona dzisiejszą nowiną. Spacerowała po parku w towarzystwie swojej przyjaciółki Tańczącej Czapli i zwierzała się jej, że odczuwa ogromną ulgę i czuje się bezpieczna teraz, gdy przestępca jest już pod kluczem.

— Dopóki wiedziałam, że biega sobie swobodnie po Zoo, nie miałam najmniejszej ochoty do znoszenia jaj — mówiła. — Bo po co znosić jaja, jeśli wiadomo z góry, że zostaną ukradzione? Ale teraz zniosę jajo przy pierwszej okazji.

— Jesteś zawsze bardzo dzielna — rzekła Tańcząca Czapla. — Uwielbiam cię za to!

Luiza, tybetańska lama, była jednym z niewielu zwierząt, które nie wierzyły w winę Burasa. Przemawiała właśnie do niewielkiej grupki składającej się z kozicy, sarny, wielbłąda, zebry, antylopy gnu i dwóch kangurów Dory i Flory.

— Buras jest prawdziwym dżentelmenem — mówiła Luiza — a prawdziwy dżentelmen nie może być złodziejem. Mam własną teorię, która wskazuje niezbitnie na tego, kto ukradł strusie jaja. Ale kogo może obchodzić moje skromne zdanie!

— Puf! Puf! — rzekła antylopa gnu. — Powiedz nam! Powiedz koniecznie!

— Hm — rzekła Luiza — żyłam swego czasu we Francji. Mieszkałam w bardzo wytwornym, prywatnym ogrodzie zoologicznym pod Lyonem i szybko nauczyłam się mówić po francusku. Ach, Francuzi są tacy czarujący! Mają tyle wdzięku w

sposobie bycia. Muszę przyznać, że wicehrabia nieco ich przypomina. A kiedy ktoś we Francji popełni jakieś przestępstwo, cała policja natychmiast powiada: „Cherchez la femme”. A to znaczy...

— Wiem, wiem — rzekła Dora. — To znaczy: „Szukajcie kobiety”.

— Dlaczego oni chcą szukać kobiety? — zapytała antylopa.

— Nie wiem — powiedziała Luiza wyniośle. Czuła się urażona, że Dora też znała francuski.

— Może dlatego — rzekła Dora — że na świecie jest więcej kobiet niż mężczyzn, przez co łatwiej jest znaleźć kobietę.

— Bardzo słuszna uwaga — rzekła zebra.

— Ale kto — zapytał młody wielbłąd — kto jest tą kobietą, którą ty podejrzewasz?

— Lady Marmolada, żona wicehrabiego Lancelota — rzekła Luiza uroczystym głosem. — A na jej ślad naprowadziły mnie fakty następujące: Pewnego dnia, mniej więcej tydzień temu, wicehrabia i jego żona zatrzymali się przy mojej klatce i odbyli krótką rozmowę. Lady Marmolada cały czas narzekała. Ona zresztą stale narzeka, a jakie powody do niezadowolenia może mieć kobieta, której mężem jest ktoś tak czarujący, delikatny, przystojny i elegancki jak wicehrabia? To raczej on mógłby narzekać! Są czasem istoty, które nie zdają sobie sprawy z własnego szczęścia! Tego ranka Lady Marmolada skarżyła się na jajka. Mówiła, że gotowane jajka, które dostaje na śniadanie, są coraz mniejsze. I zażądała w sposób bardzo ostry, żeby jajka były większe!

— Oooo? — zdziwiła się antylopa gnu.

— Chyba wszyscy rozumieją, co to znaczy? — zapytała z triumfem Luiza.

— Ja nie — rzekła sarna.

— To znaczy — ciągnęła Luiza — że ona chce dużych jaj. Bardzo dużych! A jakie są największe na świecie jaja? Strusie. Chciała więc strusich jaj. A jeśli się ma taki charakter jak ona, to zawsze się ma to, czego się chce. Wszystko więc wskazuje na to, że Lady Marmolada ukradła strusie jaja!

— Bardzo ciekawy pogląd — rzekła antylopa gnu. — Być może, że nawet prawdziwy.

Pan Parker, który przyłączył się do grupy słuchaczy, zapytał:

— Czy pani spostrzegła kiedy na jej brodzie ślady żółtek?

— Brody prawdziwych dam nigdy się nie plamią jajami — oświadczyła Luiza.

— Szkoda! — rzekł pan Parker. — Bo plamy z jajek byłyby bardzo pożyteczną wskazówką.

Po czym pochylił głowę i zaczął uważnie badać brody wszystkich obecnych.

— Chodźmy porozmawiać ze Złotą Pumą i Srebrnym Sokółem — szepnęła Dora do Flory.

— Czołem! — powitał je Sokół.

— Witajcie! — rzekła Złota Puma. — Opowiedzcie nam nowiny.

— Mamy klucz do klatek — powiedziały Dora i Flora jednocześnie.

Sokół natychmiast sfrunął w dół ze swojej skały i wysunął głowę przez kraty, a Puma przycisnęła mocno swój miękki pysk do żelaznych prętów i oboje pożądlwym wzrokiem spojrzeli na klucz, który Dora im z dumą pokazywała.

— Wolność! — krzyknął Sokół. — Będę szybować po jasnym, wysokim niebie. Ach, otwórzcie klatkę, wypuście mnie! Szkoda każdej sekundy!

— Wolność! — zamruczała Złota Puma. — Będę mogła biegać swobodnie po rozległych łąkach, kryć się w cieniu wysokich drzew! Wypuście mnie! Jestem spragniona wolności!

— Lecz jeśli wypuścimy ciebie z klatki — rzekła Dora do Pumi — to i tak wciąż jeszcze będziesz zamknięta w Zoo. Nie uda ci się stąd wydostać, dopóki nie znajdziemy jakiegoś na to sposobu. Dopiero jak staniemy się znowu dziewczynkami, będziemy mogły poprosić dozorcę przy wejściu, żeby otworzył bramę.

— A nie możemy stać się dziewczynkami — dodała Flora — póki nie znajdziemy buteleczki z czarodziejskim płynem, którą Dora zgubiła po drodze z miasteczka do Zoo.

— Wypuście mnie — zawołał Sokół — a znajdę waszą buteleczkę! Mam oczy, które na pięć mil dostrzegą czarnego kruka, ukrytego nocą w ciemnym cieniu skały. Umiem dostrzec rybę, pełzającą po dnie morza, kreta, biegnącego tunelami wyrytymi pod darnią, błysk strachu w oczach małej polnej myszki, ukrytej wśród wrzosów. Dajcie mi wolność, żebym mógł wzbic się wysoko nad ziemią, a obiecuję wam, że w ciągu dwóch dni znajdę waszą buteleczkę.

— On ma rację — rzekła Puma. — Wróćcie mu wolność, a on nam potem wszystkim pomoże. Ja muszę być jeszcze cierpliwa.

— Ale nie odleciś, nie opuścisz nas, prawda? — zapytała z niepokojem Flora Sokola.

W jego oczach pojawił się gniew. Zduszonym szeptem zapytał:

— Nie wierzysz moim słowom?

— Wierzę! — krzyknęła Flora. — Przepraszam cię bardzo!

— W ciągu całej historii świata nigdy nie zdarzyło się jeszcze, by grenlandzki sokół zawiódł pokładane w nim zaufanie.

— Naturalnie, wierzymy ci w pełni — rzekła Dora i oglądając się, czy nikt nie patrzy, otworzyła kluczem jego klatkę.

Srebrny Sokół wyfrunął z klatki, siadł na ramieniu Dory i otulając skrzydłami jej głowę, wyszeptał: — Jestem ci przyjacielem i bratem i zostaną nim aż po dzień mej śmierci.

Bardzo delikatnie i ostrożnie nachylił się i pocałował ją w policzek.

— Mnie też! — dopominała się Flora, a Sokół wzbił się w powietrze, łagodnie opadł na jej ramię i też ją pocałował.

Potem, zwracając się do Pумы, rzekł:

— Nie obawiasz się, że cię zdradzę, prawda?

— Nie — powiedziała Puma. — Leć w swoją podniebną drogę, a ja będę czekać twego powrotu. Ale pamiętaj, że teraz każda godzina stanie się dla mnie godziną niecierpliwego oczekiwania wolności.

— Będę o tym pamiętał — rzekł Sokół i z okrzykiem triumfu wzbił się wysoko w powietrze. Wkrótce zniknął gdzieś, wśród jasnego, wietrznego nieba.

— Idźcie już — rzekła Puma do Flory i Dory. — Zbliża się pora, kiedy musicie wracać do klatki. Pilnujcie klucza!

— Będiesz teraz osamotniona — powiedziała Dora.

— Będzie mi bardzo smutno samej — rzekła Puma — ale i wy, i Sokół wróćcie do mnie niebawem. Śpieszcie się już — i pilnujcie klucza!

Następnego dnia była środa. Zniknięcie Sokoła wywołało ogólne poruszenie w całym Zoo, zarówno wśród zwierząt, jak i wśród ludzi. Wicehrabia i pan Piórko długo i w wielkim podnieceniu rozprawiali na temat właściwego zamykania klatek.

Pan Piórko w dalszym ciągu utrzymywał, że zna się doskonale na zamykaniu klatek, bo robi to od osiemnastu lat. Twierdził, że jeśli on nie umie tego robić, to nikt na świecie nie umie. Wicehrabia zaś rzekł, że to w niczym nie tłumaczy niezbitego faktu ucieczki wspaniałego okazu, jakim był Srebrny Sokół; na co pan Piórko poradził wicehrabiemu, żeby sam zamykał klatki. Wicehrabia stwierdził, że pan Piórko staje się niegrzeczny, a pan Piórko powiedział, że jest szalenie zdenerwowany.

— Nie wiem, czy stoję na głowie, czy na nogach — oświadczył.

Wicehrabia przyznał, że ma dokładnie to samo uczucie, i przez resztę dnia obaj chodzili po całym Zoo, martwiąc się i mrużąc coś pod nosami.

Po południu, gdy większość zwierząt wypuszczono z klatek, wicehrabia zdumiał się, widząc pana Parkera, który leżał na ziemi przed klatką ogromnego węża pytona. Pyton jak zwykle smacznie spał, a pan Parker wyciągnął najdalej jak mógł swoją długą szyję, wiercił się, kręcił i wierzgał nogami w sposób niesłychany.

— Co pan tu robi? — wykrzyknął wicehrabia. — Czy może pan się źle czuje?

Pan Parker obejrzał się i szalenie się zawstydził. Jako detektyw, musiał często robić rozmaite dziwne rzeczy, ale nie cierpiał, gdy ktoś go widział przy pracy.

I na pewno by się zaczerwienił, gdyby żyrafy umiały to robić. Zrobiło mu się gorąco, nie wiedział, co ma począć.

Zerwał się na równe nogi i pogalopował, zostawiając wicehrabiego w jeszcze większym zdumieniu niż przedtem.

Wieczorem, kiedy już zamknięto na noc wszystkie klatki, pan Parker opowiedział Dorze i Florze o swej przygodzie.

— Czego pan szukał w klatce pytona? — zapytała Dora.

— Staralem się obejrzeć jego brodę — rzekł pan Parker.

— Po co?

— Żeby przekonać się, czy nie jest poplamiona jajkami. Już zbadałem brody wszystkich zwierząt w Zoo z wyjątkiem brody pytona i krokodyła. A obserwowanie bród jest niesłychanie trudne, zwłaszcza jeśli ktoś nie chce mi swojej pokazać.

— A czy znalazł już pan plamy z jajek na czyjejs brodzie?

— Nie — rzekł pan Parker z westchnieniem. — Nigdzie ani plamki. Tajemnica pozostała niezbadana.

Wieczorem, gdy czas już było iść spać, rzekła Dora do Flory:

— Pysznie by było, gdyby tak jutro wcześniej rano obudził nas Srebrny Sokół przynosząc nam naszą zgubę.

— Cudownie by było — rzekła Flora.

Ale Sokół nie wrócił i Puma, z którą zobaczyły się po południu, mówiła, że też go nie widziała.

— Ale on wróci — twierdziła — nie boję się o to. W nocy śniło mi się, że znowu mogłam polować w puszczy, i pewna jestem, że mój sen się sprawdzi.

Nadszedł piątek, a Sokoła jak nie było, tak nie było i cały ranek Dora i Flora były w bardzo ponurym nastroju. Nie wątpiły w to, że Sokół dotrzyma słowa, ale mógł mu się zdarzyć jakiś nieprzewidziany wypadek. Mógł go ktoś zastrzelić albo mógł go zaatakować jakiś większy od niego ptak, na przykład orzeł.

— Nigdy nie słyszałam, żeby w Borze Ciemnoborze były orły — powiedziała Dora — ale może być, że są.

— W Szkocji są orły — rzekła Flora — i może jeden z nich przyleciał tu na urlop.

— A może Sokół zabłądził? — zastanawiała się Dora.

— Albo nie mógł nic znaleźć do jedzenia i zasłabł z głodu? — dodała Flora.

Przyszło im jeszcze do głowy z tuzin innych nieszczęśliwych możliwości i siedziały pogrążone w rozpacz. Nawet pan Parker nie mógł ich pocieszyć, bo sam był smutny i przygnębiony. Nie udało mu się znaleźć dowodów wystarczających na oskarżenie Burasa o kradzież strusich jaj, a jednocześnie nie udało mu się znaleźć dowodów świadczących o jego niewinności. Chodził tam i z powrotem po klatce i powtarzał w kółko: — Nic nie rozumiem. Zupełnie nic nie rozumiem. Absolutnie i całkowicie nie rozumiem. Nic a nic!

Po południu wszyscy poszli złożyć gratulacje Lady Lii, która zniosła nowe jajo.

Oczywiście była bardzo z siebie zadowolona i siedziała na swym gnieździe, jak królowa na tronie, podczas gdy inni

mieszkańcy Zoo otoczyli ją niby dworzanie i prześcigali się w pochlebstwach.

— Jak to rozsądnie z twojej strony — zachwycła się Tańcząca Czapla.

— Niech cię Bóg błogosławi! — westchnęła lama Luiza.

— Jakie śliczne jajo! — wykrzyknęły dwa młode rysie.

— Dajcie mi zobaczyć — prosił dromader.

— Najpiękniejsze, jakie widziałem — rzekł pelikan.

— Wygląda bardzo smacznie, aż ślinka cieknie — powiedział pawian.

Wszystkich oburzyła ta ostatnia uwaga i niektóre zwierzęta zaczęły krzyczeć: — Jak można tak mówić! A Lady Lii zbladła z wrażenia.

— Ona chyba zaraz zemdleje — zauważył renifer.

— Ja nie myślałem tego, co powiedziałem! — zawołał pawian, którego pan Parker pochłaniał teraz wzrokiem pełnym podejrzeń.

— To była bardzo nietaktowna i niestosowna uwaga — rzekła Luiza.

— Żyrafy by nie zrobiły takiej gafy — mruknął pan Parker, nie spuszczać wzroku z pawiana, a Tańcząca Czapla zaczęła krzyczeć: — Odsuńcie się, odsuńcie, dajcie jej więcej powietrza! I zaczęła wachlować Lady Lii, która szybko przysła do siebie, a zwierzęta znowu zaczęły jej składać gratulacje. W końcu Lady Lii, która rzeczywiście wyglądała zupełnie jak królowa na tronie, wygłosiła do wszystkich dłuższe przemówienie.

— Dziękuję wam bardzo — zaczęła — za waszą życzliwość i wasze gratulacje. Zachowam je głęboko w sercu i cieszy mnie myśl, że gdy mój mały struś się wykluje, będzie miał tylu dobrych i przychylnych sąsiadów.

— Hura! — krzyknęły zwierzęta.

— Nie potrzebuję chyba wspominać — ciągnęła dalej Lady Lii — ile i jak ciężkich doznałam w przeszłości rozczarowań, i sądzę, że powinnam wam wyznać, że postanowiłam już nigdy, nigdy, nigdy więcej nie znosić jaj. Ale później sytuacja się na szczęście zmieniła. Złapano Burasa i wtrącono go do więzienia! Myślałam, że moim jajom nic już nie grozi! Mogłam znieść nowe jajo i mieć nadzieję, że wykluje się z niego bezpiecznie mały struś. Jeszcze parę dni temu nie miałam wątpliwości, że Buras kradł moje jaja. Ale dziś, gdy usłyszałam to, co usłyszałam, nie jestem już tego taka pewna.

W tym miejscu Lady Lii przerwała swoje przemówienie i spojrzała bardzo ostro na pawiana, który znów zaprotestował mówiąc, że nie miał niczego złego na myśli. Lecz inne zwierzęta zaczęły patrzeć na niego tak groźnie, że nagle zląkł się i uciekł. %

A pan Parker, udając, że wybiera się jedynie na przechadzkę, oddalił się za nim, by go śledzić. Lady Lii zaś kontynuowała swoje przemówienie.

— Wydaje mi się — ciągnęła — że mojemu drogiemu, kochanemu jajom w dalszym ciągu grozi niebezpieczeństwo. Muszę go z największą uwagą pilnować i będę to robić sama, zupełnie sama. Nie ruszę się z mego gniazda, póki z jaja nie wykluje się struś!

Lady Lii znowu na chwilę przerwała, a potem mówiła wolno i bardzo wyraźnie:

— Nie chcę narzekać na Sir Bobadila. Jest moim mężem i kocham go. Ale on nie jest dobrym ojcem! Myśli wyłącznie o własnych przyjemnościach. Jest leniwy, lekkomyślny i ma słabą wolę. Łatwo daje się sprowadzić na złą drogę. Oto teraz, właśnie w tej chwili, gdy jego oczywistym obowiązkiem jest być tu przy mnie i wraz ze mną przyjmować wasze gratulacje, poszedł sobie i zostawił mnie samą. Taki to jest mój mąż! I choć nie przeczę, iż mimo że jest strusiem, ma gołębie serce, i choć każdy zachwyca się jego doskonałą figurą i czarującymi manierami — nie należy mu ufać! Nie, nigdy go nie poproszę, żeby swym ciałem grzał nasze jajo. Sama je będę wysiadywać! Absolutnie sama!

Wiele zwierząt odczuło głęboką niechęć do Sir Bobadila, a niektóre nawet zaczęły się zastanawiać, czy to nie on sam kradnie jaja. Były i takie, które dziwiły się, co to może znaczyć, że pawian uciekł w tak bardzo podejrzanych okolicznościach, a prawie każdy doszedł do wniosku, że Buras był niewinny i niewinnie cierpiał. Wszyscy zaś głęboko współczuli Lady Lii i mieli nadzieję, że tym razem uda się jej uchronić nowe jajo od czyhających nań niebezpieczeństw.

Nadszedł jeszcze jeden poranek, ale niestety Srebrny Sokół nie wrócił. Dora i Flora starały się zachować dobry humor, ale były tak głęboko rozczarowane, że wyglądały znacznie smutniej, niż kangury normalnie wyglądają. Dzień dłużył im się nieskończenie.

Dopiero późnym wieczorem, kiedy już kładły się spać, usłyszały nagle trzepot ogromnych skrzydeł bijących powietrze, potem uderzenie o klatkę, wreszcie zdyszany głos przywołującego je Sokoła. Szybko wybiegły z domku.

— Och, jak świetnie, że wróciłeś! — wykrzyknęła Dora.

— Nie masz pojęcia, jak się cieszymy! — zawołała Flora.

— Marzyliśmy o twoim powrocie!

— Nie mogliśmy się doczekać!

— I na pewno chcecie, żebym wam od razu powiedział, czy znalazłem waszą buteleczkę — rzekł Sokół.

— Znalazłeś? — zapytała Dora.

— Nie mów, że nie! — błagalnie zawołała Flora.

— Wiem, gdzie ona jest — rzekł Sokół.

— Wejdz do naszego domku i opowiedz nam wszystko — powiedziała Dora. — Starajmy się nie obudzić pana Parkera, chociaż pewnie śpi głęboko, bo cały dzień śledził pawiana i Sir Bobadila i okropnie się zmęczył.

Weszli do środka. Srebrny Sokół stał się błyskiem światła w ciemności, tak jasne i lśniące miał pióra. A oto, co im powiedział:

— Przez cztery dni szukałem buteleczki. Parę razy wzbiłem się tak wysoko, że pochwyciły mnie wiejące na wyżynach wichry i niosły to na północ, to na południe, to na zachód lub wschód; szybowałem, żeby zaznać rozkoszy lotu po tak długim zamknięciu w więzieniu. Latałem nad Borem Ciemnoborem i zaatakowałem nawet dwa czy trzy gołębie dla samej radości polowania po tak długim pobycie w niewoli, gdzie karmiono mnie niby oswojonego kota. Przez resztę czasu latałem tylko nad drogą do miasteczka, a jak coś upolowałem, to po to, żeby mieć obiad lub kolację. Dzień w dzień szukałem waszej buteleczki po polach i łąkach, w rowach, pod drzewami i krzewami, w ogrodach i pod płotami. Przeszukałem każdą piędź ziemi między naszym ogrodem a miasteczkiem i dzień po dniu szukałem na próżno. Noc w noc wracałem zniechęcony i zmęczony do lasu, by ukryć się i odpocząć. Świt w świt, znów wzbijałem się do lotu, ale moje poszukiwania na nic się nie zdały. Nigdzie nie mogłem znaleźć buteleczki. Aż dopiero godzinę temu, gdy przeszukiwałem po raz może dwunasty lub czternasty łąkę przy domku u wejścia do Zoo, gdyż już zaczynał szybko zapadać mrok, ujrzałem wprawdzie nie buteleczkę, lecz tłustego, młodego królika i pomyślałem sobie, że zjem go na kolację. Rzuciłem się na niego, ale zrobiło się już tak ciemno, że chybiłem trochę i chwyciłem go jedynie za tylne łapy, gdy zniknął w swojej dziurze. Wyciągnąłem go z dziury i właśnie gdy to robiłem, zobaczyłem, że schował w niej waszą buteleczkę. Nie mogłem jej dosięgnąć, bo była za głęboko dla mnie schowana, ale dokładnie wiem, gdzie ta dziura się znajduje, i żebyście ją łatwo znaleźć mogły, oznaczyłem ją białym ogonem królika, który przytwierdziłem do ziemi.

— Mądrze zrobiłeś — rzekła Dora.

— Biedny królik — powiedziała Flora.

— Był mięciutki i tłusty, i bardzo mi smakował — rzekł Sokół.

— Jutro po południu — powiedziała Dora — pójdziemy tam, weźmiemy buteleczkę i będziemy mogły znów stać się dziewczynkami. Pomyśl tylko, Floro!

— Cały czas o tym myślę! — rzekła Flora.

— Nie umiem po prostu wyrazić, jak bardzo jesteście ci wdzięczne — powiedziała Dora do Sokoła.

— Ach, nie ma o czym mówić — rzekł Sokół. — Jeszcze nie powiedziałem wam wszystkiego. Wiem już, kto ukradł jaja tych głupich strusi, Sir Bobadila i Lady Lii.

— Ona właśnie zniosła jeszcze jedno — powiedziała Flora.

— Naprawdę? Lepiej ostrzeżcie ją, by go dobrze pilnowała, bo straci je tak samo jak tamte.

— Ale kto je kradnie? — zapytała Dora.

— Pozwólcie, że opowiem wam wszystko po kolei — mówił Sokół. — Pewnego ranka zabiłem bażanta, całego w pięknych,

kolorowych piórach. Należał on do hodowli drobiu, która znajduje się zaraz za pałacem wicehrabiego. Jak tylko go zabiłem, zaraz podbiegła do mnie mała kura krzycząc: „Brawo, brawo, Sokole! To był okropny i niebezpieczny zarozumialec, którego dawno już powinien ktoś zabić. Robił tu między nami masę szkody i nic tylko się przechwalał swoimi wspaniałymi piórami. Jesteśmy ci wszyscy bardzo wdzięczni, a byłibyśmy ci jeszcze bardziej wdzięczni, jeślibyś zabił jeszcze jednego z naszych śmiertelnych wrogów!”

„Kto nim jest?” — zapytałem.

Wymieniła wtedy imię kogoś, kto mieszka w Zoo, kto jest notorycznym przestępcą i kto co noc wykrada im jaja z gniazd, połyka od razu po kilka i jest postrachem wszystkich kur.

„Czy jemu smakują tylko wasze jaja?” — zapytałem.

„Nie — odparła kura. — Od niedawna dał nam spokój; jak słyszałam, kradnie teraz znacznie większe jaja niż nasze, podobno są to strusie jaja. Ale kiedy zapas strusich jaj się skończy, wróci tu do nas, żeby kraść nasze. Dlatego, dzielny Sokole, zwracam się do ciebie, który jesteś szlachetnym zabójcą i który zabiłeś tego okropnego bażanta! Ocal nas, biedne kury, od dalszych strat i nieszczęść!”

Gdy usłyszałem imię tego okrutnika, powiedziałem jej, że jest on zbyt wielki i groźny, żebym mógł go zwyciężyć, mimo że sam jestem silny i dobrze uzbrojony. Ale obiecałem, że wszyscy się ode mnie dowiedzą, kim on jest, i że jego zbrodnie zostaną ukrócone. Wy właśnie musicie do tego doprowadzić.

— Ale kto — zapytała Dora — kto jest tym złodziejem? Sokół wyszeptał jego imię.

— A ja — rzekła Dora — myślałam, że...

— Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że to on! — wykrzyknęła Flora.

— Jak on się wymyka z Zoo? — zapytała Dora.

— Nie wiem — powiedział Sokół. — W każdym razie jest przestępcą i musicie wymyślić jakiś sposób, żeby można go było złapać. Idę już. Moja droga przyjaciółka, Złota Puma, czeka na mój powrót, może jeszcze bardziej niecierpliwie niż wy. Ucieszy się, gdy się dowie, że znalazłem buteleczkę z czarodziejskim płynem. Jakie jeszcze nowiny mam jej zanieść? Czy zrobiliście już plan ucieczki?

— Jeśli jutro znajdziemy buteleczkę — rzekła Dora — będziemy od razu mogły napić się czarodziejskiego płynu i w ciągu pięciu minut zmienimy się z powrotem w dziewczynki. Jutro jest niedziela, Zoo będzie otwarte dla publiczności i przyjdzie masa innych dzieci, tak że nikt nic nie spostrzeże i nikt nas nie zauważy. Pójdziemy zaraz z kluczykiem do klatki Pumpy... Ojej! Przecież nie będziemy mogły!

— Doro! — krzyknęła Flora. — Właśnie o tym samym pomyślałam!

— O czym? — zapytał Sokół.

— Nasze sukienki! — rzekła Dora. — Nie mamy co na siebie włożyć!

— I jak znowu się zmienimy w dziewczynki, będziemy goluteńkie — powiedziała Flora.

— Biedne ludzkie istoty! — rzekł Sokół. — Jakże jesteście bezradne!

Flora zaczęła płakać.

— To nie nasza wina — szlochała.

— To nie nasza wina, że jesteśmy ludźmi — powiedziała Dora.

— A czy jesteście pewne — zapytał Sokół — że nie wołałybyście pozostać kangurami?

— Zupełnie pewne.

— Wydaje mi się — rzekł Sokół — że znacznie lepiej jest być kangurem niż ludzkim dzieckiem. Będąc kangurem, nie potrzebujecie się ciągle ubierać, rozbierać i przebierać. Nie musicie się uczyć żadnych nudnych rzeczy, możecie szybciej biegać i dalej skakać niż jakakolwiek mała dziewczynka. Dlaczego nie zostaniecie tym, czym teraz jesteście?

— Nie, nie, nie! — krzyknęła Flora.

— Jesteście zupełnie zdecydowane zamienić się w dziewczynki?

— Tak — oświadczyła Dora. — Absolutnie zdecydowane.

— Rzeczywiście szkoda — rzekł Sokół — że nie będziecie się miały w co ubrać.

Przygniecione tym nowym nieszczęściem, Dora i Flora siedziały pogrążone w ponurym milczeniu, aż nagle rozległ się w ciemności dziwny dźwięk. Było to coś jak niskie, szorstkie gruchanie, jakby ktoś tarł o siebie dwa kamyczki i nagle cicho klapsnął jednym o drugi. W jakiś nieokreślony sposób przypominało to śmiech. Czy to może Sokół z nich się naśmiewał?

— Śmiejesz się z nas? — zapytała niespokojnie Dora. Dziwny dźwięk ustał.

— Wybaczcie mi — rzekł Sokół — ja rzadko się śmieję, ale sobie troszeczkę z was zażartowałem.

— Bardzo nie w porę — powiedziała ponuro Flora.

— Poczekaj, aż przekonasz się, o co chodzi.

— A o co chodzi?

— Wiecie, gdzie mieszka Czarny Łabędź? Niedaleko jego domu rosną nad rzeką wierzby. Trzecia wierzba od lewej strony ma wydrążony pień. Pójdziecie tam jutro, po południu, a znajdziecie to, czego szukacie.

— Chyba nie nasze ubranie? — wykrzyknęła Flora.

— W każdym razie czyjeś ubranie — rzekł Sokół. — Ten, do kogo ono należało, ukrył je w dziupli dębu rosnącego w Borze Ciemnoborze.

— Jak tyś je znalazł?

— Umiem dostrzec małą myszkę ukrytą w stogu siana — rzekł Sokół bardzo z siebie zadowolony — więc nic dziwnego że zauważyłem dwie kolorowe sukienki ukryte w próchniejącym drzewie.

— Ach, jak to ładnie z twojej strony, żeś je tu przyniósł — rzekła Dora. — Bardzo ładnie i bardzo mądrze zrobiłeś.

— Szalenie ładnie *A szalenie mądrze* — dodała Flora.

— Nie wiem, jak ci mamy dziękować — powiedziała Dora. — Będziemy ci wdzięczne do końca życia.

— Nie zapominajcie o Pumie — rzekł Sokół. — Nie wolno wam uciec stąd bez niej. Wy musicie wymyślić cały plan jej oswobodzenia.

— Możesz nam zaufać — rzekła poważnie Dora.

— Dobranoc więc — powiedział Sokół.

Srebrna smuga jego piór rozplynęła się w ciemnościach nocy i za chwilę usłyszały mocne uderzenia potężnych skrzydeł bijących powietrze.

— Doro! — rzekła Flora. — Co najpierw zrobimy?

— Będziemy miały przez całą noc mnóstwo roboty. Przede wszystkim idź i zawołaj pana Parkera. Potem powiem ci, jaki mam plan.

Dora objęła komendę. Nie dopuściła pana Parkera do słowa, wydała mu jedynie instrukcje zdecydowanym i spokojnym głosem, jak to czynił jej ojciec, który w czasie wojny dowodził całym batalionem wojska. Pan Parker zapoznał się z wyłuszczonej mu przez Dorę planem działania i wyraził się o nim z uznaniem; nie mógł wyjść z podziwu, gdy zobaczył klucz, którym można było otworzyć wszystkie klatki w Zoo, a gdy usłyszał imię przestępcy, który kradł strusie jaja, tak się zdumiał, że nie mógł zrazu wykrztusić ani słowa.

— Kto skierował cię na jego ślad? — wyszepnął po chwili w zachwycie. — Jak wpadłaś na trop, który w swej końcowej fazie doprowadził do rozwiązania tej, jakże tajemniczej, zagadki kryminalnej?

— Nie było żadnego śladu ani tropu — rzekła Dora. — Ktoś powiedział mi po prostu, kim on jest.

— O, tak — powiedział pan Parker ze znanstwem. — To jest najlepszy sposób. Niezłe jest mieć jakiś ślad czy trop, a jeszcze lepiej jest mieć dużo śladów i tropów, ale nie ma to, jak ktoś doniesie. Policja wprost przepada za donosicielami, bo od nich dowiaduje się nazwiska i adresu złoczyńcy i w ten sposób może rozwikłać najbardziej skomplikowane i tajemnicze przestępstwa.

— Spójrz na tę chmurę — wtrąciła Flora. — Jak tylko przesunie się bardziej na wschód, odsłoni księżyc.

— Mamy pełnię dzisiejszej nocy — rzekł pan Parker.

— Więc nie wolno nam tracić czasu — powiedziała Dora. — Każdy musi być na swoim posterunku, zanim wyjdzie księżyc.

I nie mówiąc więcej ni słowa, otworzyła drzwi swojej klatki, potem wypuściła pana Parkera i szybko pobiegła do dalszych klatek, gdzie mieszkała lama Luiza, zebra, mrówkojad i dwa młode rysie. Obudziła ich wszystkich, wypuściła z klatek i pozostawiając pana Parkera i Florę z zadaniem przekazania im jej rozkazów, pobiegła dalej, by wypuścić po kolei inne zwierzęta. W końcu udała się do klatki więziennej, w której siedział zamknięty Buras. Odbiła z nim długą i wyczerpującą rozmowę. Buras bardzo się z początku gniewał, że go tak nagle obudzono, ale gdy dowiedział się o wszystkim, co się wydarzyło, i gdy Dora powierzyła mu niezwykle ważne zadanie do wykonania, rozchmurzył się, poweselał i zaczął się śmiać głębokim, gardłowym śmiechem, co zabrzmiało jak odgłos nadciągającego huraganu.

Tymczasem wielka, ciemna chmura, jedyna, jaka płynęła po niebie, przesunęła się na wschód, zasłaniając po drodze całe mnóstwo gwiazd, lecz odsłaniając księżyc w pełni, błyszczący jasno i czysto niby srebrna taca, którą dziesięć tysięcy służebnic czyściło do glansu przez dziesięć tysięcy lat. Niebo miało gładki, granatowy kolor, jak skórka winogrona, lecz na ziemię i na park sphywała mleczna, księżycowa poświata; jedynie drzewa i krzaki rzucały czarny, atramentowy cień.

Na tle tej cieniistości błyszczały tu i ówdzie, niby jasne punkciki, oczy czuwających zwierząt.

Plan Dory polegał na tym, żeby wypuścić z klatek wszystkie zwierzęta, do których można było mieć zaufanie, i rozstawić je na warcie wokół gniazda Lady Lii. Złota Puma nie mogła niestety wziąć udziału w tej akcji, bo inne zwierzęta bardzo jej się bały. Dora poleciła wszystkim trzymać się blisko siebie i uważać, żeby złoczyńca nie mógł się wymknąć. Był on silny i przebiegły. Należało dobrze wyteńczyć wzrok i słuch i być cały czas w ostrym pogotowiu.

Dora stwierdziła, że wszystkie zwierzęta pilnie czuwają na swych posterunkach i że każde z nich chce być tym pierwszym, które zauważy złoczyńcę, co było raczej spowodowane tym, że bardzo się go bały. Wszystkie też dobrze się ukryły w cieniu drzew i krzaków w absolutnej ciszy i skupieniu, przyczajone, napięte i czujne, jak to tylko zwierzęta potrafią.

Wewnątrz tego kręgu czuwających, w odległości około pięciu metrów od gniazda, w którym spokojnie spała Lady Lii, znajdowała się grupka drzew, wśród których ukrył się pan Parker. Szyję wetknął między gałęzie, a głowa wystawała mu ponad czubek drzewa. Stał tak cicho i spokojnie, że był zupełnie niewidoczny. Dora pomyślała, że pan Parker zajął doskonały punkt obserwacyjny i on jeden na pewno dostrzeże złoczyńcę w momencie, gdy będzie usiłował popełnić zbrodnię. „O ile oczywiście nie zaśnie — dodała w myślach — bo opiera się coraz bardziej o drzewo; wygląda na to, że jest mu tam bardzo wygodnie, a jak wiadomo, przepada za spaniem”. Miała jednak nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Obeszła wszystkich wartowników, pokrzepiając ich i dodając odwagi. W końcu odszukała Florę i poleciła jej, żeby czekała na nią w pobliżu wejścia do Zoo, tam gdzie znajdował się domek dozorczy i łączka, na której spoczywała ukryta w króliczej jamie buteleczka z czarodziejskim płynem.

— Jeśli zwierzęta zachowają się inteligentnie, a wydaje mi się, że można na nich polegać — powiedziała do Flory — to znajdziemy chwilę czasu, żeby poszukać jamy króliczej, w której jest nasza buteleczka. W świetle księżyca łatwo znajdziemy

miejsce, oznaczone przez Sokoła ogonkiem królika. Powinno nam to zająć najwyżej kilka minut czasu. Potem wrócimy tu i będziemy wraz z innymi czuwać choćby do rana,

Poczekają jeszcze z kwadrans, czy nic się nie zdarzy, ale dokoła panował całkowity spokój.

Wszystko było tak mocno przesycone blaskiem księżycy, że niemal czuło się go dotykalnie i Florze wydawało się, że widzi kropelki księżycowej poświaty skapujące z liści. Sam księżyc wyłaniał się wypukło nabrzmiały z tła nieba i przypominał Florze okrągłe, stare lustro wiszące w domu w przedpokoju.

— Chodźmy już szukać butelki — rzekła wreszcie Dora. — Ale zachowuj się z największą ostrożnością! Musimy poruszać się bardzo ostrożnie, bo noc jest cicha i najśłabszy dźwięk...

Przerwał jej głośny i przeraźliwy krzyk.

— Co to jest? — zapytała Flora.

— Lady Lii! Szybko, szybko!

Nie zdążyły dobiec do strusiego gniazda, gdy już zebrało się wokół niego z dwadzieścia czy trzydzieści rozgorączkowanych i podnieconych zwierząt. Lady Lii łkała głośno, oplakując nową stratę. Z oczu jej lały się łzy lśniącym w księżycu strumieniem, zupełnie jakby to były nie oczy, ale dwie ogrodowe konewki.

— Nie ma go, nie ma, nie ma! — rozpacziała Lady Lii. — Moje najostatniejsze, najpiękniejsze, najukochańsze, maleńkie jajo zniknęło na zawsze!

— Wcale nie było maleńkie, ale bardzo duże — rzekł pan Parker podejrzliwie. — Sam widziałem.

— Ach, cóż to ma za znaczenie, czy było duże, czy małe — jęczała Lady Lii — skoro znikło, znikło...

— Ale w jaki sposób znikło? — zapytała czapla. — Siedziałas na nim przez całą noc, a my wszyscy pilnowaliśmy, żeby nic się nie stało.

— To ta para oczu — rzekła Lady Lii. — Obudziłam się nagle w przerażeniu i dwoje wielkich, żółtych oczu wpatrywało się we mnie. Były żółte jak, jak...

— Jak masło? — zapytał jeden z młodych rysiów.

— Nie, nie! — rzekła Lady Lii. — Patrzyły na mnie ostro i były żółte jak, jak...

— Jak ser? — zapytał pawian.

— Nie! — krzyknęła Lady Lii. — Były błyszczące, ostre i żółte jak...

— Jak topaz — rzekła Luiza.

— Tak, jak topaz i blask księżycy odbijał się w nich, i były blisko, bliźniętka, tuż przede mną. A potem, nie wiem — chyba zemdlałam. Wstałam i znowu upadłam. I gdy wróciłam do zmysłów, jajo znikło. Moje najostatniejsze, najśliczniejsze jajo znikło na zawsze! Ach, jestem najniešťęśliwszym strusiem na świecie! Jeśli taki ma być mój los, to po co mnie moja własna matka tak długo i cierpliwie wysiadywała? Nie ma nadziei, nie ma szczęścia dla strusi na tym świecie.

— Panie Parker — spytała Dora w sposób bardzo stanowczy — czy pan widział, jak to się stało?

— Nic nie widziałem — rzekł pan Parker. — Absolutnie nic. Jestem kompletnie zaskoczony tym nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń!

— Pan spał — stwierdziła Dora.

— Bardzo żałuję — powiedział pan Parker. — Ogromnie mi przykro. Żałuję z całego serca. Ja się nigdy zanadto nie wzruszam, ale przyznać muszę...

— Pan zanadto lubi spać — przerwała mu ostro i niegrzecznie Flora.

— W każdym razie — rzekła Dora — tylko marnujemy czas na próżne gadanie. Powinniśmy szukać złodzieja. Wszyscy go znamy. Przechytrzył nas tym razem. Na pewno większość z was dobrze na niego uważała, a jednak pobił nas. Przemknął się i ukradł jajo. Ale być może jeszcze go nie zdążył zjeść, może ukrywa się gdzieś w pobliżu. Może udał się w kierunku swego domu. Lecz postaram się już o to, że nie będzie mu łatwo dostać się do niego. Musi być gdzieś tu, blisko. Rozejdźmy się i szukajmy go. Niektórzy z nas niech pójdą w kierunku jego klatki, a reszta musi szukać wszędzie dokoła.

— Doskonała rada — przytaknęła Luiza. — Rozejdźmy się, przyjaciele, rozejdźmy się i szukajmy. Niech dwoje lub troje z was pójdzie ze mną.

Mówiła to wszystko dosyć chłodno, bo nie pochwałała tego, że tak młody kangur jak Dora, która niedawno przybyła do Zoo, mianował się nagle przywódcą wszystkich zwierząt. Ale Luiza, choć skłonna do zazdrości, była jednak sprawiedliwa i zdawała sobie sprawę, że plan Dory był słuszny. Więc pierwsza udała się na poszukiwanie złoczyńcy i inne zwierzęta poszły za jej przykładem. Ale wszyscy byli teraz zbyt podnieceni i nie zachowywali się tak ostrożnie i cicho jak wtedy, gdy czuwali na swych posterunkach.

Przesycone blaskiem księżycy powietrze pełne było teraz wrzawy polowania. Słychać było szczekanie i ujadanie, mruczenie i wycie, i warczenie, i gwizdy, i gruchania, i przekleństwa, i śmiech, i okrzyki „hura” i „halo”. A Lady Lii, zapomniana przez wszystkich, siedziała samotnie na swym gnieździe i gorzko płakała.

Nagle pan Parker, który dzięki temu, że był niezwykle wysoki, mógł widzieć znacznie więcej i dalej od innych, krzyknął tak głośno, że zagłuszył wszelkie hałasy i zwrócił na siebie uwagę wszystkich.

— Hej-hej! — krzyknął pan Parker. — Hej-hej!

Stał wyprężony, szeroko rozstawiwszy przednie nogi, a jego ogromne, ciemne oczy błyszczały z podniecenia. Długą szyję wyciągał tak wysoko w górę, że wyglądała zupełnie jak ramię studziennego żurawia. Wszystkie zwierzęta zamilkły i spojrzały w kierunku, który wskazywał końcem nosa, a gdy zobaczyły to, co zobaczyły, zdumiały się niesłychanie. Oto Sir Bobadil, mąż nieszczęsnej Lady Lii, stał opodal, oświetlony blaskiem księżyca, i od razu można było poznać, że jest szalenie zmieszany. Wyglądał bardzo zawstydzony, a co gorsza — na jego szyi, dokładnie w połowie drogi między dziobem a upierzoną piersią, widać było wyraźnie bardzo podejrzaną i nie dającą się ukryć wzdęcie. Sir Bobadil nie był jednak tym złoczyńcą, którego spodziewano się znaleźć. To nie przeciw niemu urządzono całonocną zasadzkę i nie jego teraz szukano.

Ale pan Parker nie zwrócił na to żadnej uwagi. Zapomniał wszystko, co mu Dora powiedziała, wpatrywał się z uporem w podejrzaną wzdęcie na szyi Sir Bobadila i wykrzykiwał radośnie: i

— Siad, ślad! Nareszcie jakiś ślad! Za nim! — wrzasnął. — Nie dać mu się wymknąć! Otoczyć go, odciąć mu drogę i schwytać!

I sam ruszył naprzód galopem. Sir Bobadil był tak blisko, że pan Parker mógłby go natychmiast z największą łatwością złapać, gdyby tylko uważał, co robi. Ale w szalonym podnieceniu potknął się o mrówkojada i zwałił ciężko na ziemię, wywołując ogólny popłoch i zamieszanie. Sir Bobadil miał więc dosyć czasu, by pędem rzucić się do ucieczki i umknąć pogoni. Biegł szybko jak mógł w kierunku obszernego trawnika rozpościerającego się przed frontonem pałacu wicehrabiego Lancelota Marmolady.

Hałas polowania obudził wicehrabiego, który wyszedł właśnie na stopnie przed pałacem, dziwiąc się, co się stało. Miał na sobie żółty, jedwabny szlafrok z czerwonym szamerowaniem i czerwonym sznurem z pomponem na końcu i czerwone tureckie pantofle nocne na nogach; w ręku trzymał lasso i bumerang.

Sir Bobadil wpadł jak szalony na trawnik. Wicehrabia zbiegł ze stopni, zakręcił lassem trzy razy nad głową i wyrzucił je w górę. Nigdy nie chybiał. Ciężka lina okręciła się wokół szyi Sir Bobadila, który zachwiał się, zatoczył i upadł na ziemię.

W tym właśnie momencie wszystkie inne zwierzęta niby sfera psów gończych wpadły na trawnik.

— Bunt! Rewolucja! — krzyczał wicehrabia. — Honor i Ojczyzna! *Virtus semperviridis*[1]! *Ma Foi et mon Droit!*[2]

Te zagraniczne słowa były herbowymi zawołaniami rodu Marmoladów i wicehrabia, powtarzając je w kółko, dodawał sobie odwagi w krytycznych momentach swego życia. Zawsze czuł się potem lepiej i mógł stawić czoło niebezpieczeństwu. I teraz nie uląkł się atakujących zwierząt, lecz rzucił bumerang, celując w biegnącego na ich czele pana Parkera.



Ale tym razem nie trafił. Bumerang minął głowę pana Parkera przynajmniej o trzy metry i zaczął lecieć z powrotem. Nie bardzo go było dobrze widać w blasku księżyca i wicehrabia Lancelot być może zapomniał o właściwościach bumeranga. Toteż niezwykle się zdumiał, gdy go coś nagle uderzyło w czoło. A raczej niezwykle by się zdumiał, gdyby miał na to czas. Ale nie miał, bo natychmiast opadł na miękką murawę, całkowicie oszołomiony.

Wśród zwierząt biorących udział w pogoni znajdowała się lama Luiza, która widząc, że jej ukochany pan upadł na ziemię, wydała okrzyk rozpacz i pędem rzuciła się ku niemu. Wicehrabia rzeczywiście wyglądał pięknie i patetycznie, gdy tak w blasku księżyca spoczywał na miękkiej murawie w swym żółtym, jedwabnym szlafroku przepasanym czerwonym sznurem z pomponami i w tureckich nocnych pantoflach na nogach. Kropelka krwi zalśniła nad jego szlachetną brwią.

Luiza uklękła przy nim, złożyła głowę na jego piersi i ciałem jej wstrząsnął konwulsyjny szloch. Nadbiegł pawian i zaczął łaskotać stopy wicehrabiego, dwa młode rysie ocierały się o jego dłonie, a antylopa gnu dmuchała mu lekko w twarz, żeby wetchnąć w niego powietrze. Otoczyły go jego zwierzęta, które w rozmaity sposób starały się wyrazić swój smutek i żal, i swoje bezgraniczne dla niego uwielbienie. Wszyscy zupełnie zapomnieli o Sir Bobadilu.

Podczas gdy na oświetlonej księżycem murawie przed frontonem swego rodzowego pałacu leżał wygodnie wicehrabia Lancelot Marmolada otoczony płaczącymi zwierzętami — o sto metrów dalej biedny, głupi struś, którego dusiła zaciśnięta na szyi pętla liny, charczał, krztusił się, rozpaczliwie łykał powietrze i pewny był, że za chwilę umrze. Już trzy razy próbował wstać, raz za razem opadał na plecy i leżał machając bezradnie w powietrzu swymi długimi nogami.

W tym momencie na krawędzi trawnika ukazał się kangur. Była to Flora.

Gdy na rzucone przez pana Parkera hasło zwierzęta rozpoczęły pogon za Sir Bobadilem, Dora i Flora w towarzystwie mały zwanej Wyjec, która odznaczała się bardzo donośnym głosem, posuwały się właśnie w kierunku samego środka Zoo, bo uważały, że to jest najważniejsze miejsce i że musi być dobrze pilnowane. A gdy usłyszały zwojujący polowanie okrzyk pana Parkera, zawahały się na chwilę. Może lepiej by było, gdyby jedna z nich dołączyła się do pogoni, podczas gdy druga

zostałaby na posterunku?

Flora wolała przyłączyć się do polowania i natychmiast, tak szybko jak mogła, pobiegła za znikającymi w zaroślach zwierzętami.

Ale przybyła zbyt późno i nie widziała, jak wicehrabia trafiony własnym bumerangiem opadł na ziemię. Zobaczyła natomiast wywijającego w powietrzu nogami Sir Bobadila.

— Kto ci to zrobił? — zapytała i zaczęła rozluźniać zacisniętą na jego szyi pętlę.

— Ergk, kryk — skrzeknął Sir Bobadil, bo nie mógł nic więcej powiedzieć.

— A co to jest takiego? — dopytywała się dalej, gdy wyczuła pod palcami wzdęcie na jego szyi, które w międzyczasie przesunęło się o jakieś dwadzieścia centymetrów w górę w stronę dzioba.

— Urgk! — jęknął Sir Bobadil.

Flora bardzo starannie namacała wzdęcie palcami.

— Zdaje się — rzekła — że to jest coś, co jest moją własnością! A jeśli to jest to, to ty jesteś złodziejem, bo zjadanie przedmiotów należących do kogoś innego jest po prostu tylko inną formą kradzieży! I słusznie się stało, że ci to utkwiło w gardle i omal nie udusiło i że nie możesz tego połknąć. A jak nie możesz połknąć, to będziesz musiał to wyłknąć, czyli wypluć, i to natychmiast! Dopóki tego nie zrobisz, nie zdejmę sznura z twojej szyi!

— Urrurgk! Urrurgarurk! — charczał Sir Bobadil.

— Czy to znaczy, że nie możesz tego wypluć, o ile nie rozluźnię pętli na twojej szyi?

— Brurrugk.

— A czy obiecujesz, że wyplujesz?

— Grurg.

— Dobrze więc, wierzę ci. Ale pamiętaj, jak tego nie zrobisz, spotka cię coś znacznie jeszcze gorszego!

Wreszcie Flora rozluźniła i zdjęła pętlę, która tak mocno zacisnęła gardło Sir Bobadila, i po trwającym przez jakiś czas kasłaniu, charkaniu, postękiwaniu i krztuszeniu się, biedny struś wypluł na trawę buteleczkę zawierającą czarodziejski płyn Pani Wiedźmy.

— *Pardon!* — powiedział cicho.

Bury niedźwiedź Buras leżał ukryty w cieniu skały i cierpliwie czekał. W najbliższej, pustej teraz klatce mieszkał złodziej strusich jaj. Dora, wypuszczając Burasa, powiedziała mu tak:

— Jeśli nie uda się złapać go zwierzętom pilnującym gniazda Lady Lii, to na pewno będzie chciał wrócić do siebie. Ty go tu wtedy przyłapiesz. Pamiętaj, że będzie rozdrażniony i groźny, ale ty przecież jesteś bardzo silny. Czy sądzisz, że dasz mu radę? — zapytała.

— Niech no tylko pochwycę go w ramiona — zamruczał Buras — a zgniotę go i skruszę całkowicie!

W czasie pobytu w więzieniu Buras był w bardzo złym humorze, bo po pierwsze, brakło mu codziennej gazety, którą mógłby sobie czytać, a po drugie, wiedział, że cierpi za winy, których nie popełnił. Teraz nadarzała się okazja, żeby odpłacić za wszystkie cierpienia prawdziwemu przestępcy. Ach, cóż to będzie za wspaniała, słodka zemsta! Całym swym skrwawionym sercem modlił się, żeby innym zwierzętom nie udało się złapać zbrodniarza i żeby jemu przypadła w udziale rozkosz pochwycenia go, by mógł go uścisnąć mocno w swych ramionach i złamać jego ohydny grzbiet.

— Złamię mu jego ohydny grzbiet! — mruczał niecierpliwie się, że musi tak długo czekać.

Między rzędem klatek a skałą, pod którą leżał ukryty Buras, biegło wąskie pasmo trawy, a dalej — szeroka droga

Za nią znowu rosła trawa i krzewy, i krzaki, a dalej parę drzew stojących nieruchomo w księżycowym blasku.

Nagle Buras naprężył się, długie, szorstkie futro zjeżyło się na jego grzbiecie. W krzewach, po drugiej stronie drogi, jedynie parę centymetrów nad ziemią zabłysła para oczu niby dwie blade, żółte latarenki.

Buras leżał dalej nieruchomy, lecz czujny i gotów do skoku. Wolno, bardzo wolno, oczy zbliżały się i zbliżały. Już cieniste krzewy zostały za nimi, już przesuwały się do drogi. I nie było nic więcej widać, tylko oczy, jakby niczego więcej nie było.

Nagle z błyskawiczną szybkością oczy skoczyły przez drogę, a za nimi drgające w skrętach, długie, okrągłe cielsko. Buras ryknął i rzucił się na nie. To był pyton — złodziej strusich jaj!

Rozpoczęła się straszliwa walka.

Pyton miał pięć metrów długości. Buras chwycił go przez pół i usiłował podnieść. Cały środek węża uniósł się w górę niby wielka pętla, lecz jego łeb i cała przednia część owinęły się wokół jednej nogi Burasa, a ogon i cały tył wokół drugiej. Niedźwiedź zwałił się na ziemię. Potoczyli się więc razem aż na drogę — niedźwiedź oplątany przez węża. W końcu pyton puścił go, bo zamierzał uciec do swego domku przez dziurę wygrzebaną pod podmurowaniem klatki, o której istnieniu pan Piórko nie miał najmniejszego pojęcia, a przez którą pyton mógł wydostać się na zewnątrz, kiedy tylko chciał.

W ostatnim jednak momencie Buras chwycił go mocno za koniec ogona i zaczął ciągnąć i szarpać do siebie, podczas gdy pyton zebrał wszystkie siły, jakie miał w swych potężnych mięśniach, żeby mu się wyrwać.

Było to coś jak zabawa w przeciąganie liny. Buras nie mógł wyciągnąć pytona z dziury, a pyton nie mógł wyzwolić się z uchwytu Burasa i po trzech czy czterech minutach desperackich zmagani, pyton nagle odwrócił się, podniósł łeb i z siłą taranu skoczył Burasowi do gardła.

W tym samym momencie Buras uderzył. Jego twarda, prawa łapa zadała straszliwy cios w prawą stronę głowy pytona i cała przednia część jego długiego ciała upadła sztywno na ziemię. Ale niestety Buras, żeby zadać cios, musiał puścić trzymany w łapie ogon i pozostałe trzy metry węża okręciły się wokół jego ciała, usiłując zgruchotać mu kości, podczas gdy przednia, dwumetrowej długości część, odzyskawszy władzę, znowu uderzyła na niego z siłą taranu.

Ale Buras raz za razem, to jedną łapą, to drugą, miażdżył łeb węża, uderzając weń to z jednej, to z drugiej strony, aż w końcu głowa pytona opadła na ziemię bez czucia, a pętla jego ogona rozluźniła się na ciele Burasa. Wtedy Buras podniósł bezwładne ciało pytona i zaczął walić jego głową o pręty klatki i zabił go.

— Wspaniale, wspaniale! — wykrzyknęła Dora. — Brawo, dzielny Burasie!

Zjawiała się akurat na czas w towarzystwie Wyjca i mimo że się okropnie bała, widziała prawie całą walkę, bacznie obserwując każdy jej zwrot, każdy chwyt, cios i uderzenie.

— Dzielny Burasie! — powtórzyła. — Walczyłeś wspaniale! Strasznie się o ciebie bałam! Za każdym razem, kiedy atakował cię tym swoim okropnym łbem, pewna byłam, że zginię! Serce zamierało mi ze strachu o ciebie.

— Nonsens — rzekł Buras sapiąc i dysząc. — To była taka walka, jaką lubię, i czuję się teraz znacznie lepiej. Czyś widziała, jak go walnąłem pierwszy raz?

— To był wspaniały cios — zachwyciła się Dora.

— Trzeba się na tym znać — rzekł Buras. — Wyczekać, uderzyć we właściwym momencie i nie stracić równowagi. To był prawy sierpowy. Często się boksowałem, kiedy byłem chłopcem.

— Kiedy byłeś chłopcem? — zapytała zdumiona Dora. Lecz Buras, mimo że starał się tego nie okazywać, był bardzo zmęczony. Ostatnie słowa powiedział cicho, niemal szeptem. Siadł ciężko na trawie, zwiesił głowę, opuścił ramiona i wyglądał na postarzałego nagle i bardzo wyczerpanego niedźwiedzia. Nie miał już siły odpowiedzieć na pytanie Dory.

Wyjec, który oglądał dokładnie ciało zabitego pytona, przywołał cicho Dorę.

— Spójrz! — powiedział pokazując okrągłe zgrubienie na ciele węża. — Tu jest jajo, jajo Lady Lii. Połknął je, ale zdaje się, że się nie stłukło.

— Jak je wyciągniemy?

— Nie wiem — rzekł Wyjec.

— Gdybyśmy mieli nóż — mówiła Dora — moglibyśmy dokonać małej operacji i wyciągnąć mu je z brzucha. Buras! Nie wiesz, skąd wziąć nóż?

— Mam scyzoryk — odparł Buras zmęczonym głosem. — Przycinam nim cygara. Ludzie mi czasem je dają, jak przychodzą w niedziele po południu.

— Nie wiedziałam, że niedźwiedzie palą cygara — rzekła Dora.

— Nie wiedziałaś? — mruknął Buras i powoli, jęcząc przy każdym ruchu, podniósł się i przy człapał do nich. Miał na łańcuszku na szyi mały scyzoryk. Otworzył go i naciął głęboko skórę węża. Jajo było całe.

— Oddajcie je lepiej Lady Lii, póki jest jeszcze ciepłe — rzekł Buras. — Idę się położyć do łóżka. Jestem troszkę zmęczony. Nie zapomnij przyjść i zamknąć mojej klatki na klucz. I w ogóle lepiej się śpiesz i pozamykaj wszystkie inne zwierzęta w klatkach, bo zaczyna się robić jasno i może być awantura, jak stary Piórko zobaczy je na wolności, gdy przyjdzie tu rano.

— Ale co z tym zrobić? — zapytała Dora wskazując na szczątki pytona.

— Zostaw to — odparł Buras. — To już się nikomu na nic nie zda.

I kulejąc, powlókł się do siebie.

— To bardzo nieładnie zostawiać taki nieporządek — rzekła Dora — ale co możemy zrobić? Chodźmy zanieść jajo do Lady Lii.

Księżyc był już daleko na wschodniej stronie nieba; blask jego zmatowiał, wyglądał teraz jak stara, srebrna, dawno nie czyszczona taca. Szarość przedświt wdzierała się na niebo. Trzeba się było śpieszyć. Osamotniona Lady Lii stała koło swojego gniazda ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w puste miejsce, gdzie niedawno jeszcze leżało jajo.

Jej długa szyja chwiała się, wstrząsana gorzkim szlochem. Od czasu do czasu dotykała dziobem zrobionego z suchej trawy posłania. Był to widok tak smutny, że nawet Dora z trudem wstrzymała łzy, gdy ją zobaczyła, i zupełnie wyleciał jej z głowy tekst przygotowanego pośpiesznie, krótkiego przemówienia, jakie zamierzała wygłosić oddając jej jajo. Miało to być przemówienie gratulacyjne, w rodzaju tego, jakie żona wicehrabiego, Lady Marmolada, wygłosiła wręczając pani Mieszance pierwszą nagrodę za hodowlę dalii w czasie Wystawy Ogrodniczej. Zdobyła się tylko na to, żeby wykrzyknąć:

— Niech pani przestanie płakać! Znaleźliśmy jajo!

Lady Lii patrzyła przez chwilę na jajo, jakby nie wierzyła własnym oczom, i nagle zaczęła tańczyć i skakać z radości, i zadawać Dorze setki pytań, i mówić jej, co ma zrobić i czego nie ma robić, i śmiać się, i płakać bez żadnego w ogóle powodu.

— Gdzieś ty je znalazła? — dopytywała się. — Kto je ukradł? Gdzie uciekł? Połóż je tu. Och, uważaj! Nie, nie tu. Tam. Czy jest całe? Jeszcze jest zupełnie ciepłe. Jak to się stało, że jeszcze jest ciepłe? O moje jajo, moje kochane, najdroższe jajeczko, gdzieś ty było? Jestem taka szczęśliwa! A ty jesteś najwspanialszym kangurem na świecie! Kochany kangurku, gdzieś ty je znalazł?

Zostawili ją, półprzytomną ze szczęścia, i gdy odeszli już kawałek drogi, Dora powiedziała do Wyjca:

— Zawyj teraz tak głośno, jak tylko umiesz, na znak, że czas już wracać do klatek.

Wyjec otworzył szeroko usta i zawył na całe gardło.

Wszyscy zrozumieli, że jest to znak zakończenia łowów, i wrócili do swych klatek.

Tylko lama Luiza i inne zwierzęta, które otoczyły leżącego na murawie wicehrabiego, nie miały ochoty wracać. Wicehrabia odzyskał już przytomność i rozmawiał z nimi bardzo przyjaźnie. Gdy tylko otworzył oczy, ujrzał nad sobą pełną uwielbienia i troski twarz lamy Luizy i twarze innych zwierząt pełne przyjaźni i miłości dla niego. Więc siedział wśród nich na trawie i mówił im, jak bardzo się cieszy, że ma tylu wokół siebie przyjaciół.

— Tylko w jeden sposób można osiągnąć szczęście — powiedział głosem bardzo uroczystym — a sposobem tym jest dawanie szczęścia innym. Starałem się dotąd, jak mogłem, i w dalszym ciągu będę się starał, żeby wam tu było coraz lepiej i coraz przyjemniej.

Ale niestety zwierzęta nie mogły już dłużej czekać, by usłyszeć, w jaki to sposób wicehrabia pragnie je uszczęśliwić, bo w tym właśnie momencie usłyszały nawołujące je do powrotu wycie Wyjca. I w jednej chwili rozbiegły się na wszystkie strony, zostawiając wicehrabiego siedzącego samotnie w żółtym szlafroku na zielonej trawie. To nagle zniknięcie zwierząt zdumiało go w sposób niesłychany, a gdy starał się pomyśleć o tym, co się zdarzyło, i zrozumieć, co to wszystko znaczy — zdumiał się

jeszcze bardziej. Głowa go bolała, zrobiło mu się zimno i nie było już w pobliżu nikogo. Postanowił więc położyć się do łóżka.

Tymczasem wszystkie zwierzęta wróciły już do swych mieszkań i Dora biegała od klatki do klatki, zamykając drzwi na klucz. Buras spał głęboko, wyczerpany walką, lecz Dora wszystkim opowiedziała pokrótce o jego bohaterskim czynie, zaznaczając, że Lady Lii otrzymała z powrotem swoje jajo i że okrutny pyton został zabity.

Potem weszła do swojego domku, gdzie czekała na nią Flora z buteleczką czarodziejskiego płynu.

Obie były tak uradowane i rozgorączkowane, że nie mogły zasnąć, i rozmawiały ze sobą jeszcze bardzo długo. A potem, chociaż nie miały tego zamiaru, obie głęboko zasnęły.

Była godzina dziesiąta rano. Wicehrabia Lancelot Marmolada i Naczelny Dozorca Zoo pan Piórko zatrzymali się przy klatce Dory i Flory, rozprawiając o wydarzeniach poprzedniej nocy. Wicehrabia, na którego czole widniał teraz szeroki plaster, przypomniał sobie wszystko: groźny widok galopujących po trawniku zwierząt, swój rzut bumerangiem i rozmiłowaną twarz lamy Luizy pochylającą się nad nim, gdy leżał na trawie. Ale pan Piórko stanowczo oświadczył, że nie wierzy ani jednemu słowu tej fantastycznej opowieści, i stwierdził, że według jego opinii wszystko to się wicehrabiemu przyśniło w nocy.

— Więc w jaki sposób rozciąłem sobie czoło? — zapytał wicehrabia.

— Na pewno spadł pan z łóżka — rzekł pan Piórko.

— Nigdy nie spadam z łóżek! — powiedział wicehrabia. — A nawet gdyby okazało się, że spadłem ze schodów, to i tak nie będzie to żadnym wytłumaczeniem faktu, że pyton nie żyje. W jaki sposób został zabity?

— Ach! — rzekł pan Piórko. — To zupełnie inna sprawa. I jeśli zapytałby mnie pan o to, co się zdarzyło pytonowi...

— Właśnie pana pytam — rzekł wicehrabia.

— To odpowiedziałbym, że nie wiem i że wiem, że nigdy się nie dowiem.

— To niewiele wyjaśnia — powiedział wicehrabia.

— Chwileczkę — rzekł pan Piórko. — Jedno wiemy na pewno: w Zoo mieszka jakiś złoczyńca, który kradnie jaja. A jeśli chodzi o śmierć pytona, to nie ulega wątpliwości, że on nie żyje. A więc jeśli bym pan zapytał, dlaczego został zabity — nie w jaki sposób, zaznaczam, ale dlaczego — to odpowiedziałbym tak: został zabity dlatego, że on to właśnie był tym złoczyńcą, i ten, kto odkrył prawdę, ukarał go w imieniu sprawiedliwości i prawa!

— Wobec tego — rzekł wicehrabia — Buras jest niewinny.

— Naturalnie, że jest niewinny — powiedział pan Piórko.

— A więc należy go natychmiast zwolnić z więzienia i zaprowadzić do jego własnej klatki.

— Bardzo dobra myśl — rzekł pan Piórko.

Więc wypuszczono Burasa z ciemnego i ciasnego aresztu; wrócił do swego wygodnego domku i już w dziesięć minut potem pogrążył się w lekturze najnowszej gazety z dodatkiem ilustrowanym (bo była to niedziela), którą bardzo sprytnie zdążył wyciągnąć po drodze wicehrabiemu z kieszeni.

Wicehrabia zaś udał się do kościoła i bardzo był zły, gdy w czasie kazania pastora przekonał się, że nie ma przy sobie nic do czytania.

Dora i Flora z największą niecierpliwością oczekiwały popołudnia. W każdą niedzielę o godzinie wpół do trzeciej wpuszczano do Zoo ludzi i otwierano szeroko główną bramę, przy której cały czas czuwał specjalny dozorca, pilnując, by żadne ze zwierząt nie wyszło z Zoo. Ale Dora wymyśliła już cały plan przemycenia Złotej Pумы za bramę. Przede wszystkim jednak ona i Flora muszą wypić resztę czarodziejskiego płynu z buteleczki Pani Wiedźmy i stać się z powrotem dziewczynkami. Potem dopiero, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, będą mogły wyjść z Zoo wraz z tłumem zwiedzających. Nagle coś się Dorze przypomniało.

— Ojej! — wykrzyknęła z niepokojem.

— Co się stało? — zapytała Flora.

— Czarodziejski płyn! — rzekła Dora. — Chyba nie wywietrzał i nie stracił swej mocy!

Flora odkorkowała buteleczkę, przytknęła do niej nos i wzdrygnęła się ze wstrętem.

— Wszystko w porządku — powiedziała.

— Niebawem się o tym przekonamy — rzekła Dora. — Och! Żeby już nas wypuszczono!

Wreszcie nadszedł pan Piórko otwierając kolejno klatki tych zwierząt, którym wolno było pójść do parku. Dora i Flora pożegnały się ze swymi najbliższymi przyjaciółmi i popędziły nad rzekę, gdzie w jednej z rosnących wierzb było ukryte ich ubranie. Srebrny Sokół już tam na nie czekał.

— Wspaniale! — zawołał, gdy je tylko zobaczył. — Świetnie to wszystko urządziłyście ostatniej nocy. I Buras wspaniale i dzielnie walczył! Ale cała jego dzielność na nic by się nie zdała, gdybyście wy nie uknuły całego spisku! Wszystko widziałem i jestem zachwycony. Gratuluję wam, moje dzieci!

— Miałyśmy szczęście — rzekła Dora — a najlepiej udało się Florze, która odkryła buteleczkę w gardle strusia.

— Szczęście spotyka tych, co na nie zasługują — stwierdził Sokół. — Ale jak wyglądają wasze dalsze plany? Jak przeprowadzić Pumę przez bramę, której pilnuje dozorca?

— Gdy będzie już wszystko gotowe, przyjdziemy do jej klatki — rzekła Dora. — Nasz plan jest bardzo prosty. Pamiętaj, że już nie będziemy kangurami. Przybierzemy nasze właściwe postacie.

— Staniecie się małymi dziewczynkami — powiedział Sokół. — Będziecie ciemne czy jasne?

— Flora będzie ciemna — rzekła Dora — a ja będę jasna. — A obie przyniosłyście nam wolność! — zawołał Sokół. — Do widzenia, kochane kangurki! Śpieszcie się, dzieci, śpieszcie!

Jak tylko odleciał, Dora odkorkowała buteleczkę z czarodziejskim płynem.

— Pamiętaj wszystko zrobić tak, jak trzeba — powiedziała do Flory — i życzyć sobie bardzo mocno, żeby stać się z powrotem Florą, niczym innym tylko Florą. Bo jeszcze coś okropnego mogłoby się zdarzyć!

— Będę pamiętała — rzekła uroczyście Flora. Wypiła dokładnie połowę tego, co było w buteleczce, po czym wręczyła ją Dorze. Po krótkiej chwili Dora uświadomiła sobie, że ktoś do niej mówi:

— Masz strasznie brudne nogi.

Spojrzała na nogi Flory i odpowiedziała ostro:

— Twoje też są brudne!

— Och, Doro! — zawołała Flora. — To działa, działa!

— Och, Floro! — zawołała Dora. — Czy to nie wspaniale być znowu dziewczynką?!

— Nawet z brudnymi nogami — rzekła Flora.

— Wykąpiemy się dziś wieczór!

— I zjemy porządną kolację!

— I będziemy spały w prawdziwych łóżkach!

— Co za szczęście, że jesteśmy dziewczynkami!

I zaczęły tańczyć z radości wokół wierzby. Ale pierwsi zwiedzający już napływali do Zoo i gdy dziewczynki zobaczyły ich z daleka, szybko zaczęły się ubierać. Szło im to trochę niesporo, bo wyszły z wprawy, ale w końcu poradziły sobie jakoś i obie spojrzały na siebie.

— Nie wyglądamy specjalnie elegancko — rzekła Dora. — Nasze sukienki są okropnie wymiętoszone, a moja jest do tego wilgotna.

— Jesteś cała rozczochrana — rzekła Flora.

— Ty także.

— Czy twoje pantofelki też są takie niewygodne?

— Okropnie. Och, jak ja nienawidzę być ubraną!

— Ach, wolałabym z powrotem stać się...

— Cicho! — krzyknęła Dora. — Nie mów tego, bo to może się stać! Tyle mamy teraz do zrobienia. Przede wszystkim weź klucz. Tu leży, na trawie. Pójdziemy i zobaczymy, gdzie pastor Filar zostawił swój samochód. Potem wypuścimy Pumę i wkrótce już wrócimy do domu.

W każdą niedzielę po południu pastor Filar przyjeżdżał do Zoo swoim samochodem, spędzał tam dokładnie jedną godzinę, po czym wracał do domu. Samochód ten, choć najstarszy, był najwspanialszy i najwygodniejszy ze wszystkich znajdujących się w miasteczku. Był tak piękny i tak staroświecki, że wyglądał bardziej jak pojazd, który ciągnąć powinny dwa konie, a nie jeden silnik.

Dora zamierzała wsadzić Pumę na tylne siedzenie samochodu, nakryć ją kocami, a potem powiedzieć pastorowi, że ona i Flora są bardzo zmęczone i proszą, żeby je odwiózł do domu.

— On jest tak uprzejmy, że zgodzi się na pewno, tym bardziej że lubi towarzystwo — mówiła do Flory.

— Puma musi nam obiecać, że będzie siedzieć zupełnie cicho i spokojnie — rzekła Flora.

— Właśnie się zastanawiam, jak my jej to powiemy. Bo nie wiem, czy możemy jeszcze mówić jak zwierzęta i rozumieć, co one do nas mówią?

— Kea Yark Urbaneeszeeengnarochuk — rzekła Flora.

— Jak to śmiesznie brzmi!

— Ale zrozumiałaś, co mówiłam?

— Tak, doskonale.

— To świetnie — rzekła Flora.

Znalazły samochód pastora, który stał wśród wielu innych na znajdującym się w Zoo tuż przy wejściu małym placu. Przez chwilę przyglądały się ciekawie wszystkim ludziom, którzy przyszli z miasteczka, żeby poświęcić niedzielne popołudnie gapieniu się na dzikie zwierzęta.

— Wszyscy oni — szepnęła Dora — wyglądają w rzeczywistości znacznie dziwniej i znacznie śmieszniej niż zwierzęta w Zoo, oprócz może starego pawiana, którego nie wypuszcza się z klatki, i może z wyjątkiem australijskiej czapli i afrykańskiej dzikiej świni.

— I pana Parkera — dodała Flora.

— Bardzo by było zabawne takie Zoo — rzekła Dora — w którym siedzieliby w klatkach ludzie zamiast zwierząt.

— Nie wolno wsadzać ludzi do klatek — powiedziała Flora.

— Niestety nie — rzekła z żalem Dora. — Ale chodźmy już. Musimy wypuścić Pumę.

Wysoko ponad klatką Pumi, gdzieś w błękicie tkwiła mała plamka, której nikt nie mógł zobaczyć gołym okiem. Był to Srebrny Sokół, czuwający niby samotny strażnik na odległym posterunku. Gdy dostrzegł dwie małe dziewczynki, które zatrzymały się przy klatce Pumi i przycisnęły twarze do jej prętów, machnął koziółka ze szczęścia i z radości, dał nura w dół poprzez rozświeconie powietrze, aż pęd wzdał mu piersi i wstrzymał oddech, rzucił się na plecy, przekręcił na jeden bok, potem na drugi i zarolował krzycząc zachrypniętym od lotu głosem: „Wolność jest największym skarbem!” Potem znowu wzbił się w górę i wzleciał aż do jedwabistego krańca płynącej po niebie chmurki.

— Pumo! — szepnęła Dora. — Jesteśmy już, jesteśmy! Wypuścimy cię, jak tylko ci ludzie, co tu stoją, pójdą trochę dalej!

Złota Puma leżała wyciągnięta na skale, zupełnie nieruchoma. Nie zwracała żadnej uwagi na to, co dziewczynki do niej mówiły.

— Mówisz do niej po angielsku — szepnęła Flora. — Ona nie zna angielskiego.

— Racja, zupełnie zapomniałam! — wykrzyknęła Dora. —

Puma, Puma, grach kruk, wrunk, stereeknurrghroomyaaknyk kling shringskraugh!

Puma zwróciła ku nim głowę i jej oczy rozbliły się nagłą dziką radością, jakby się za nimi zapaliła lampa. Zerwała się szybko i tym samym ruchem skoczyła do dziewczynek.

— Już? — zapytała. — Czy zaraz mnie wypuścicie?

— Poczekaj, aż ci ludzie odejdą dalej — rzekła Dora i wytłumaczyła jej wszystko, co ma zrobić. Opisała dokładnie, jak wygląda samochód pastora i gdzie się znajduje.

Puma słuchała uważnie, pomrukując z zadowolenia. Jej wąsy zeszytywniały w podnieceniu, oczy świeciły jak zapalone latarnie, a ogon bił niecierpliwie ziemię.

— Teraz! — rzekła Flora. — Nikogo już nie ma w pobliżu! Szybko, Doro!

Dora wsunęła klucz w zamek i otworzyła klatkę. Złote ciało Pumi wyciągnęło się jak strzała w skoku ku wolności. Puma wystrzeliła z klatki i znikła w rosnących przy drodze krzewach. Dora zamknęła klatkę i obie szybko od niej odbiegły.

Zanim udały się do samochodu pastora, poszły odwiedzić Lady Lii, która dumnie siedziała na swym gnieździe, otoczona tłumem zwiedzających. Obok niej stał Sir Bobadil, a na jego twarzy malował się wyraz szlachetnej dumy i godności.

— Ona mu już wszystko wybaczyła — powiedziała Dora. Pan Parker wolno spacerował poza kręgiem patrzących, zupełnie jak policjant pilnujący porządku. Widocznie przysiągł sobie, że póki żyje, nie dopuści do tego, by komuś udało się skraść choć jedno strusie jajo.

— To nasza zasługa, że Lady Lii jest znowu szczęśliwa — rzekła Dora.

— A pan Parker wygląda taki z siebie zadowolony! Na pewno jest przekonany, że tylko on się do tego przyczynił.

— Chciałabym porozmawiać z nim — rzekła Dora — i powiedzieć mu, kim jesteśmy. Ale na pewno narobiłby strasznego zamieszania.

— Znowu byłby oszołomiony tajemniczym zdarzeniem — rzekła Flora.

— Lepiej chodźmy już i poszukajmy pastora.

Poszły do samochodu, gdzie powitał je wydobywający się spod niego cichy pomruk, Dora uklękła na ziemi.

— Czy ktoś cię czasem nie zauważył? — zapytała schylając głowę.

— Nie, nikt — rzekła Puma. — Jak długo jeszcze muszę tu siedzieć? Tu okropnie śmierdzi benzyną. .

Dora otworzyła drzwiczki samochodu.

— Wskakuj! — powiedziała i Puma wśliznęła się do środka. — Nie zadrap tylko siedzenia — dodała Dora i zakryła Pumę granatowym kocem.

Czekały jeszcze z dziesięć minut na pastora.

— Cóż za piękne popołudnie! — zawołał zbliżając się do samochodu. — A dlaczego to nie byłyście na mszy ani dziś, ani poprzedniej niedzieli, ani, o ile sobie przypominam, poprzedniej przed poprzednią, co?

— Nie byłyśmy w domu przez ten cały czas — powiedziała Dora.

— A, mam nadzieję, że miałyście przyjemne wakacje — rzekł pastor. — Pewnie zaraz mnie poprosicie, żebym was zabrał do domu, co?

— Jesteśmy bardzo zmęczone — rzekła Flora.

— Siadajcie, i jazda — powiedział pastor. — A że jest nas tu troje, pośpiewamy sobie przez drogę.

Gdy wyjeżdżali z Zoo, dozorca otworzył dla nich szeroko główną bramę i uklonił się pastrowi. Dora schwyciła Florę za rękaw i obie pomyślały: „Co by on zrobił, gdyby wiedział, że otworzył bramę dla dwóch kangurów i jednej pumi?”

Siedziały spokojnie, jak gdyby nigdy nic, patrząc prosto przed siebie z najniewinniejszymi w świecie minami i głośno śpiewały wraz z pastorem:

Sitem płynęli, po morzu płynęli,
Sitem płynęli po morzu!
Mimo przyjaciół uwag i rad
W burzliwy, wietrzny, niebezpieczny świat.
Sitem płynęli po morzu!



A gdy odśpiewali całą zwrotkę, pastor westchnął ciężko i rzekł:

— Ach, życie jest smutne! Moja biedna żona wciąż jeszcze siedzi w więzieniu wraz z innymi nieszczęśnikami, którzy nie mogli się zgodzić co do tego, czy pani Tasiemka jest winna, czy niewinna. Sędzia Grzmot trzyma ich wszystkich w więzieniu!

Dora i Flora nic o niczym nie wiedziały, bo to akurat tego ranka, kiedy zamieniły się w kangury, pani Filar i wszyscy Członkowie Ławy Przysięgłych zostali skazani na więzienie. Nie wiedziały również, że tłum mieszkańców miasteczka, który wtedy rozpieczęstował się na wszystkie strony, przerażony niespodziewanym widokiem kangurów, towarzyszył właśnie skazańcom idącym do więzienia. Pastor musiał więc opowiedzieć im wszystko po kolei o sprawie sądowej pani Tasiemki i straszliwych wydarzeniach, jakie z tego wynikły. A gdy skończył, dojeżdżali właśnie do domu. Flora otworzyła drzwiczki samochodu i Puma bezszelestnie wysliznęła się z niego. Pastor nawet się nie odwrócił. Dziewczynki podziękowały mu bardzo grzecznie i odjechał śpiewając: „Jest tawerna w okolicy, gdzie się schodzą rozbójnicy”.

Dora i Flora pośpieszyły do ogrodu znajdującego się za domem. Puma pomykała za nimi, kryjąc się w cieniu żywopłotu. Gdy dobiegły do gąszczy rododendronów i tam się zatrzymały, Srebrny Sokół spadł nagle z wysokiego nieba, by je powitać.

— Nie możesz tu zostać — rzekła Dora do Puma. — To byłoby bardzo niebezpieczne. Mogliby cię zobaczyć, złapać i zamknąć z powrotem w Zoo.

— Nigdy! — wykrzyknęła Puma. — Nigdy już nie będę żyć w niewoli! Raczej umrę!

— Po co zaraz umierać, jeśli to nie jest konieczne? — powiedziała bardzo rozsądnie Flora.

— Skryj się w Borze Ciemnoborze — rzekła Dora. — Sokół cię tam zaprowadzi. Spotkamy się przy drzewie, w którym ukryliśmy nasze ubranie. Przyjdziemy tam, jak tylko będziemy mogły, bo widzisz — teraz będziemy niestety musiały mieć codziennie nasze lekcje z panną Rozumek. Sokół wie, gdzie jest to drzewo. Niedługo znowu się zobaczymy.

— Będę niecierpliwie czekała, żeby podziękować wam pięknie za wasz szlachetny uczynek, za to, żeście mi ofiarowały wolność!

— Przybywajcie tam jak najprędzej! — zawołał Sokół wzbijając się wysoko w powietrze. — A ty, Pumo, idź za mną. Zażyj swobody w bezpiecznym borze. Żegnajcie, kochane dzieci!

— Do jutra! — rzekła Puma. — Żegnajcie, do jutra! Podskoczyła radośnie jak mały, rozbawiony kociak, smyrnęła przez trawnik, przesadziła żywopłot i znikła.

— Jeszcze wczoraj — rzekła z zazdrością Flora — my też tak mogłyśmy skakać.

— A dzisiaj — powiedziała Dora — będziemy sobie siedzieć na krzesłach, popijać herbatkę, czytać książki i spać we własnych łóżeczkach. Rusz się, Floro! Musimy przywitać się z mamą.

— A czy powiemy jej wszystko, co się nam przytrafiło?

— Nie — rzekła Dora. — Dorośli ludzie na pewno uważają, że to okropnie niegrzecznie zamieniać się w kangury i że źle zrobiliśmy wypuszczając Pumą z Zoo. Więc lepiej nic nikomu nie mówmy.

— Będzie bardzo trudno wytłumaczyć, dlaczego nas tak długo nie było w domu — powiedziała Flora.

Gdy przyszły do domu, zastały matkę stojącą przed kominkiem z listem w ręku. Twarz miała bardzo zatroskaną i gdy zobaczyła swe wchodzące córeczki, powiedziała tylko:

— Spóźniłyście się na podwieczorek, dzieci. Umyjcie szybko ręce i przyczeszcie się.

Bardzo dobrze — mówiła panna Rozumek — jeśli nie chcecie mi powiedzieć z własnej woli, gdzie przez ten cały czas byłyście, to nie będę nalegała. Powiem wam tylko jedno: żadne grzeczne dziecko nie zachowałoby się tak, jak wy się zachowałyście. Mamusia bardzo się martwi wiadomościami, jakie właśnie otrzymała z Bombardii: waszemu ojcu grozi poważne niebezpieczeństwo. Nie, nie chcę powiększać jej zmartwień i kłopotów i nie będę jej prosić, aby sama się starała od was dowiedzieć, gdzie byłyście i co robiłyście, bo na pewno kryje się w tym coś niedobrego. A gdyby wasza mama dowiedziała się, co to naprawdę było takiego, z pewnością by się zmartwiła. Ale ja przygotowana jestem na najgorsze, mnie nie potrzebujecie oszczędzać! Znam was już prawie od dwóch lat i nic mnie nie jest w stanie zadziwić! Daję wam więc sposobność wykazania, że umiecie się zachować tak, jak dzieci powinny się zachowywać wobec swojej nauczycielki, która tyle trosk i starania poświęciła na ich wychowanie. Doro, czy powiesz mi, gdzie byłyście?

— Wolałabym raczej nie mówić, proszę pani.

— Czy i ty, Floro, będziesz na tyle niegrzeczna?

— Tak, proszę pani.

— A więc nie powiesz?

— Obiecałam, że nie powiem, proszę pani.

Minał już tydzień od powrotu dziewczynek do domu. Każdego dnia panna Rozumek robiła co mogła, żeby się dowiedzieć, gdzie Dora i Flora przebywały przez tak długi czas, ale żadna z nich nie zdradziła tego nawet najmniejszym słóweczkiem. Nic więc dziwnego, że panna Rozumek, nie mogąc zaspokoić swej ciekawości, była w złym humorze.

— Bardzo dobrze — powtarzała. — Jak nie chcecie, to nie. Lecz pamiętajcie, że będę was przez to uważała za okropne, obrzydliwe dziewczyniska, niedobre, niegrzeczne i nieznośne. Teraz zabierzemy się do lekcji. Zaczęłyśmy już, zdaje się, studia geograficzne. Uważajcie teraz: geografia uczy nas o globie ziemskim. Jest to nauka niezwykle pożyteczna. Dowiadujemy się z niej, że herbata pochodzi z Chin, kawa z Brazylii, nugaty z Francji, tygrysy z Bengalów, śpiączka z Angoli. Jak będziecie trochę starsze, zaczniecie się uczyć filozofii. Filozofia jest trudniejsza niż geografia, bo uczy nas, dlaczego i po co jest herbata w Chinach, kawa w Brazylii, tygrysy w Bengalach, nugaty we Francji i mucha tse-tse, która powoduje chorobę śpiączki, w Angoli. Ale jeszcze jesteście zbyt młode, żeby zajmować się tak trudnymi sprawami. Będziemy się więc obecnie uczyć wyłącznie geografii, która nie jest przedmiotem tak skomplikowanym jak filozofia i byłaby nawet nauką łatwą, gdyby nie to, że jest tak obszerna jak cała ziemia. Ale nic na to nie możemy poradzić, że sama średnica kuli ziemskiej, mierzona ściśle na równiku, wynosi dwadzieścia cztery tysiące dziewięćset jeden i osiem dziesiątych mili angielskiej. Jeśli znajdziemy się na równiku, pośród Oceanu Atlantyckiego — co jednak nie jest bardzo prawdopodobne — i postanowimy ruszyć stamtąd w podróż w kierunku zachodnim, to po pewnym czasie znajdziemy się przy ujściu rzeki Amazonki, która przepływa przez prawie całą Południową Amerykę i choćby dlatego należy odnosić się do niej z szacunkiem. Jeśli natomiast będziemy podróżować wzdłuż równika w kierunku wschodnim, znajdziemy się na wybrzeżu Afryki opodal rzeki Gabon, która w rzeczywistości nie jest rzeką, ale zalewem morskim i która została odkryta przez Portugalczyków w końcu piętnastego stulecia...

Panna Rozumek mówiła tak i mówiła, aż do samego obiadu. A zaraz po obiedzie oświadczyła:

— Dziś po południu powinniście normalnie mieć lekcje muzyki i tańca. Ale niestety wasz nauczyciel tych przedmiotów, pan Kazimierz Corvo, wciąż jeszcze przebywa w więzieniu. Udamy się zatem na przechadzkę do Boru Ciemnaboru, gdzie poświęcimy się nauce botaniki.

Jak tylko weszły do lasu, Dora i Flora ukryły się za wielkim dębem, przekradły krętą ścieżką wśród krzewów, przebiegły przez pokryty liśćmi wąwóz ocieniony ogromnymi, starymi bukami, przeskoczyły leśny, zarośnięty rżęsą ruczaj i wkrótce były już daleko, daleko od panny Rozumek, która nie zdradzając ochoty do samotnego studiowania botaniki, wróciła do domu i poświęciła się pisaniu listów do swoich sióstr.

— Teraz — powiedziała Dora — pójdziemy poszukać Złotej Pумы i Srebrnego Sokoła.

Znalazły ich koło starego, roztrzaskanego dębu, w którym niegdyś ukryły swe ubrania. Sokół siedział nieruchomo na uschłej gałęzi w swym pięknym stroju ze śnieżystych piór, a Puma leżała wyciągnięta na trawie, grzejąc się w smudze słońca.

— Witam was! — krzyknął Sokół wznosząc swoją piękną głowę. — Witam was, drogie, szlachetne dzieci!

A Puma podniosła się wolno i podeszła do dziewczynek, nie mówiąc ni słowa. Stała przed Dorą, spojrzała na nią, a potem

lekkim, swobodnym ruchem oparła przednie łapy na jej ramionach. Najpierw z jednej, potem z drugiej strony potarła głową policzki Dory, mruczając jak ogromne kocisko. Dora poczuła dotknięcie ciepłego, miękkiego futra, długich wąsów i cienkich, ciemnych warg Pумы. Pocałowała ją w miejsce między oczami i roześmiała się głośno. Potem Puma w ten sam sposób przywitała Florę i Flora też ją pocałowała i też się roześmiała z radości, że jej oddanym przyjacielem jest piękna Złota Puma. — Dzieci — rzekła Puma — pozwólcie, że wam powiem tylko tyle: dałyście mi najwspanialszą rzecz na świecie — wolność. Dałyście mi z powrotem życie. Całą noc chodziłam po lesie, mając w nozdrzach zapach drzew i ziemi. Potem powiał wietrzyk i przyniósł nowy zapach. Nie wiedziałam, że w tym lesie są sarny i jelenie, dopiero poranny wiatr powiedział mi o tym. O brzasku ujrzałam jelenia, który pił wodę ze strumyka. Ale zdradliwy wiatr zmienił kierunek, jelen zwiertzył mnie i uciekł. Zaczęła się gonitwa, lecz biegłam początkowo zbyt wolno, bo kości moje i mięśnie zeszytywniały od długiego życia w klatce. Stopniowo jednak wróciły mi siły i sprawność mięśni. Poczulałam w nogach dawną moc, biegłam szybciej i szybciej i świeże poranne powietrze świszczało mi w uszach, a leśny grunt zdawał się płynąć szybko jak rwący potok pod moimi nogami. Dogałam jelenia. Spojrzał za siebie, jakby się zawahał, i w tym momencie skoczyłam na niego. Zwalił się z łomotem na trawę. Gdy go zabijałam, właśnie wschodziło słońce. Za tę wspaniałą chwilę, za tę cudowną poranną gonitwę — dziękuję wam. Wróciłyście mi prawdziwe życie!

Dora i Flora były przerażone tym, że Puma zaraz po odzyskaniu wolności zabiła jelenia. Sarny i jelenie były pięknymi stworzeniami i choćby dlatego szkoda je było zabijać. Wiedziały też, że wszystkie zwierzęta w Borze Ciemnaborze należały do króla. Dzieci zaczęły pojmować, że sprawa stawała się poważna. Okazało się, że skutki wypuszczenia na wolność drapieżnej Pумы mogą być bardzo nieprzyjemne. A im dłużej pozostanie ona na wolności, słuchając jedynie głosu swojej natury i starając się zaspokoić głód, tym będzie gorzej i gorzej. W lesie żyły sarny i jelenie, a na pobliskich łąkach pasło się liczne bydło i owce.

Ale przypomniały sobie — obie naraz, co im się często zdarzało — że Puma była ich przyjacielem, a nie po to ma się przyjaciół, żeby ciągle uskarżać się na ich zachowanie. Należy zrozumieć ich punkt widzenia. Puma oczywiście nie wiedziała, że wszystkie zwierzęta w lesie należą do króla. A jeśli od czasu do czasu zabije jelenia czy sarnę, no to trudno — i czy to znowu jest o tyle gorsze niż kupowanie u rzeźnika baraniny? Rzeźnik musiał przecież też zabić barana?

Wszystkie te myśli przebiegały im przez głowy i gdy Puma skończyła swą opowieść, nie powiedziały nic, co by wskazywało, że nie pochwalają jej postępowania.

Sokół powiedział im, że ma wiele ciekawych nowin. Był tego ranka w Zoo i rozmawiał z ptakami i zwierzętami. Panuje tam ogólne podniecenie. Wicehrabia i pan Piórko bardzo się przerażili, gdy odkryli, że nie tylko Puma, ale również i dwa młode kangury uciekły z Zoo. Wicehrabia oświadczył, że za dużo już dziwnych i niezwykłych rzeczy wydarzyło się ostatnio w Zoo. A pan Piórko stwierdził, że nigdy w życiu nie przytrafiło się mu coś tak niesłychanego. Wicehrabia strasznie się rozgniewał i zaczął krzyczeć:

— Zawsze starałem się jak mogłem, żeby moje zwierzęta były tu szczęśliwe i czuły się dobrze, a jeśli nie są mi za to wdzięczne, to nic już dla nich więcej nie zrobię! Niech pan otworzy wszystkie klatki i niech te, co chcą uciec, uciekają. Nie będę tu trzymał nikogo, kto nie chce zostać z własnej, nieprzymuszonej woli!

— I czy wszystkie zwierzęta uciekły? — zapytała Dora.

— Bardzo, bardzo mało — rzekł Sokół. — Niezwykle mało. Większość jest obrażona, że wicehrabia chciał je wyrzucić. Buras, pan Parker i lama Luiza czują się głęboko dotknięci i mówią, że nie ruszą się z Zoo, żeby nie wiadomo co się miało stać.

— Biedny Buras — westchnęła Dora. — Flora i ja chciałyśmy zaprenumerować dla niego gazetę, żeby nie potrzebował jej kraść wicehrabiemu. A co niedzielę przynosiłybyśmy mu cygaro. Tatusz zostawił w domu całe mnóstwo cygar.

— A powinnyśmy też przynieść jakiś ładny prezent panu Parkerowi — powiedziała Flora. — Jak myślicie, co by on najbardziej chciał mieć?

I tak sobie gawędzili o zwierzętach w Zoo i o różnych innych rzeczach. Sokół opowiedział im, jak wyglądało gniazdo, w którym się wykluł pośród pokrytych śniegiem gór Grenlandii, i jak strasznie się bał, kiedy rodzice uczyli go latać. Puma, zmęczona po nocnych łowach i ociężała po obfitym śniadaniu, wyciągnęła się na słońcu i zasnęła. A gdy zrobiło się późno, Dora i Flora wróciły do domu.

Każdego ranka miały straszliwie nudne lekcje z panną Rozumek, ale po południu często udawało im się wymknąć do lasu, żeby zobaczyć się z Pumą i Sokółem. Uczyły się od nich znacznie więcej niż od panny Rozumek. Nauczyły się naprawdę widzieć i dostrzegać rozmaite rzeczy.

Bawiły się w chowanego z Pumą. Początkowo Puma kryła się o trzy lub cztery metry od nich i nie umiały jej znaleźć. Wybierała takie miejsca, gdzie oświetlone słońcem liście miały ten sam kolor co jej sierść, i kładła się na ziemi tak nieruchoma, że nawet gdy ją widziały, zdawało im się, że to leży zbutwiała gałąź drzewa, pokryta mchem. Ale po pewnym czasie dziewczynki stały się bardziej spostrzegawcze i Puma musiała chować się przed nimi bardzo starannie. I nauczyła je, jak należy się kryć i leżeć bez ruchu i jakie miejsca wybierać na kryjówki, tak żeby kolor ich sukienek stawał się niewidoczny na tle otoczenia. Raz były to kryjówki wśród krzaków, raz wśród kamieni lub suchych liści. I czasem zdarzało się, gdy leżały obie ukryte i nieruchome, że ptaki siadały tuż przy nich, nie widząc ich wcale, albo że dziki królik przez nie przeskakiwał,

albo że łasica przemknęła o krok, nie dostrzegając ich swymi przenikliwymi oczkami. Czasem wdrapywały się na najwyższe gałęzie drzew i Sokół siadał przy nich i pokazywał im rozmaite rzeczy, które działy się w leśnych zaroślach pod nimi. Kryło się tam pełno ptaków i rozmaitych zwierzątek. W lesie działo się znacznie więcej rzeczy, niż im się przedtem zdawało, było w nim znacznie więcej życia i Sokół nauczył je to dostrzegać. Bo on sam widział wszystko. Nauczyły się przewidywać z zapachu wiatru i wyglądu nieba, czy jutro będzie ładnie, czy brzydko. Nauczyły się patrzeć na drzewa, tak jak gdyby to byli ludzie mający smutne, wesołe czy poważne twarze — i nigdy już nie groziło im, że mogą w lesie zabłądzić. Nauczyły się nawet wyciągać pewne korzyści ze straszliwie nudnych lekcji z panną Rozumek. Ale nie uczyły się ani muzyki, ani tańca, bo pan profesor Corvo wciąż jeszcze siedział zamknięty w więzieniu.

Każdego dnia Główny Sędzia Grzmot zachodził do miasteczkowego więzienia, żeby dokonać przeglądu dwunastu Członków Ławy Przysięgłych, których skazał za to, że nie mogli się między sobą zgodzić, czy pani Tasiemka, żona właściciela pasmanterii, była Winna i ukradła pończochy, czy była Niewinna i pończoch nie ukradła.

Każdego dnia dwunastu Członków Ławy Przysięgłych zbierało się na dziedzińcu więzienia: doktor Fosfor, pan i pani Żeberko, pan i pani Mieszanka, pan i pani Okruszek, pani Syrop, pani Hak, pani Filar, pan Kazimierz Corvo i pan Chmiel. Wszyscy oni gromadzili się na cienistym dziedzińcu, otoczonym murami więzienia, na którym rosły z zewnątrz pnące róże, a wewnątrz wino. Ustawiali się w szeregu i sędzia Grzmot przechadzał się przed nimi tam i z powrotem, aż zatrzymywał się nagle, ostro na nich spoglądał i krzyczał tak groźnie, jak tylko mógł:

— Czy już się na coś zdecydowaliście?

— Tak! — odpowiadali krzyżąc dwanaście razy głośniejsze niż on.

— Ale czy wszyscy zdecydowaliście się już na jedno? — ryczał sędzia groźnie.

— Nie! — ryczeli w odpowiedzi jeszcze dwanaście razy groźniej.

— A kiedy zamierzacie zdecydować się na jedno? — domagał się sędzia.

— Nigdy! — odpowiadali.

— Zatem zostaniecie w więzieniu na zawsze! — darł się wniebogłose sędzia Grzmot.

— Hura! — wołali w odpowiedzi.

— Bo jesteście upartym, zbuntowanym motłochem, nic niewartych łobuzów! — wołał sędzia.

A wówczas wszyscy skazańcy śpiewali tak głośno, jak tylko mogli:

Rządź, Brytanio! Wśród fal, Brytanio, rządź!

Brytyjczyk żaden nigdy nie da się zgiąć!

Po wysłuchaniu tej pieśni sędzia Grzmot, czerwony i nadęty jak indor, wychodził z więzienia, mieląc w ustach straszliwe groźby, a pozostali na dziedzińcu Członkowie Ławy Przysięgłych wygłaszali kolejno płomienne przemówienia.

Wszystkie te przemówienia były zawsze na ten sam temat i wszyscy mówcy zgadzali się co do tego, że każdy obywatel Wielkiej Brytanii ma prawo mieć swoje własne zdanie w każdej sprawie, jakakolwiek by ona była, i ma prawo swobodnego wyrażania swych poglądów niezależnie od tego, czy to są dobre, czy złe poglądy, mądre czy głupie, czy są one wymyślone przez niego samego, czy też usłyszał je w pociągu, tramwaju lub autobusie. Nawet profesor Corvo, który był obcokrajowcem, mieszkał już tak długo w miasteczku, że wraz z innymi wyznawał tę szlachetną wiarę w osobistą niezależność człowieka i wygłaszał na ten temat równie wspaniałe przemówienia jak inni.

Nic tak nie zaostrza apetytu jak wygłaszanie przemówień, toteż gdy już każdy się wypowiedział, udawano się na obiad. Żona dozorczy więzienia, pani Klucz, była bardzo dobrą kucharką i więźniowie zawsze dostawali doskonały obiad, który zaczynał się od zupy, a kończył na deserze, nie mówiąc o pieczeniu i przystawkach w środku. Po obiedzie więźniowie drzemali lub grali w szachy, warcaby i domino, czytali książki i gazety. Potem jedli podwieczorek. A potem rozmawiali aż do kolacji o setkach najrozmaitszych rzeczy, a po kolacji ćwiczyli się w śpiewaniu pieśni „Rządź, Brytanio” i szli spać.

Łóżka były w miasteczkowym więzieniu bardzo wygodne. Pani Klucz zmieniała każdemu więźniowi pościel raz na tydzień, a jeżeli ktoś poprosił, dawała mu butelkę z gorącą wodą, by ogrzać łóżko, gdy noc była chłodna. Każdy z jedenastu Członków Ławy Przysięgłych spał co noc smacznie i zdrowo i budził się zadowolony, że tak bardzo cierpi w obronie słusznej sprawy i szlachetnej zasady. Tej mianowicie zasady, że każdy obywatel brytyjski ma prawo uważać za słuszne to, co mu się podoba, i nikomu nie wolno narzucać mu tego, co ma za słuszne uważać.

Jeden tylko Członek Ławy Przysięgłych, profesor Corvo, sypiał źle, a gdy się budził rano, ledwo mógł powstrzymać łzy żalu, że oto znowu, jeszcze jeden dzień ma spędzić w więzieniu. Na równi z innymi uważał, że człowiek ma prawo mieć swoje

własne zdanie, i nie miał zamiaru ustąpić sędziemu Grzmotowi. Ale pragnął, ponad wszystko, znów grać na fortepianie i uczyć ludzi tańczyć, a dopóki był w więzieniu, nie mógł robić żadnej z tych rzeczy, bo w więzieniu nie było fortepianu, a Członkowie Ławy Przysięgłych woleli wygłaszać przemówienia niż uczyć się tańców. Dlatego więc pan Kazimierz Corvo był bardzo nieszczęśliwy i co noc modlił się o zwolnienie z więzienia.

Tak oto wyglądały sprawy w więzieniu miasteczka Harmider.

Pewnego pogodnego popołudnia Dora i Flora wylegiwały się na trawie w Borze Ciemnaborze, jak to ostatnio często robiły. Złota Puma leżała wyciągnięta między nimi, a Srebrny Sokół siedział opodal na spróchniałym pieńku. Dora zapytała właśnie Pumą i Sokoła, w jaki sposób dostali się do niewoli i znaleźli w Anglii.

— Przez zdradę pewnego Indianina — powiedziała Puma.

— Przez chęć zysku pewnego białego człowieka — rzekł Sokół.

Ale potem mówili o rzeczach weselszych. Puma opowiadała o życiu w gorącym brazylijskim lesie, a Sokół — o swych przygodach wśród białych skał mroźnej Grenlandii. Później znowu umilkli i każdy myślał o tym, co usłyszał.

— Ile razy słyszę opowiadania o ciekawym życiu, jakie wiodą inni — odezwała się po chwili Dora — zawsze bierze mnie chęćka, żeby samej dokonać czegoś niezwykłego.

— Już od dawna nie zrobiłyśmy niczego niezwykłego — rzekła z głębokim westchnieniem Flora. — Nic, tylko słuchamy nauk panny Rozumek, które są coraz nudniejsze i nudniejsze.

— Cały dzień mamy z nią teraz różne lekcje — dodała Dora. — Chyba że uda nam się wymknąć.

— Co często robicie — rzekł Sokół.

— Kto by tego nie robił na naszym miejscu? — zapytała Flora.

— Dawniej dwa razy na tydzień miałyśmy lekcje muzyki i tańca, które bardzo lubiłyśmy — powiedziała Dora. — Lecz niestety nasz nauczyciel pan Corvo ciągle jeszcze siedzi w więzieniu.

— Dlaczego nie wykradniecie go z więzienia? — zapytała Puma. — Pomogłyście nam uciec z Zoo, co było czynem nie lada, i na pewno, gdybyście się tylko dobrze zastanowiły, jak to zrobić, wpadłby wam do głowy jakiś pomysł ułatwienia mu ucieczki.

— Ależ on nie chciałby wcale uciekać — rzekła Dora. — Bo, widzisz, ich jest tam razem w więzieniu dwanaście osób skazanych za to, że nie mogą się między sobą zgodzić, czy pani Tasiemka chciała, czy nie chciała ukraść pończoch. Gdyby się zgodzili w tej sprawie, natychmiast by wszystkich wypuszczono.

— A czy ona chciała ukraść te pończochy? — zapytał Sokół.

— Myślę, że chciała — odparła Dora.

— A ja myślę, że nie chciała — rzekła Flora.

— Widzisz — powiedziała Dora — my też nie wiemy na pewno, ale mamy nasze zdanie w tej sprawie i nie chcemy się go za nic wyrzec. Bronimy naszych przekonań.

— Cieszę się, że nie jestem istotą ludzką — wtrąciła Puma. — Bo jak można żyć szczęśliwie, gdy ma się głowę nabitą różnymi przekonaniemami?

— Ludzie wprawdzie nie mają skrzydeł i nie mogą latać — rzekł Sokół — i nie mają piór, które by ich ogrzewały, ani ostrych dziobów, które by ich żywiły, ani oczu, które dostrzec mogą wszystko, ale mają przekonania i to im daje moc. Ludzkie istoty chwyciły nas do niewoli i ludzkie istoty wróciły nam wolność.

— Nie powiem, że bym ich nie lubiła albo nie doceniała — powiedziała Puma. — Ale czasem żal mi ich.

— Czasem same siebie żałujemy — wtrąciła Flora. — Zwłaszcza kiedy pada deszcz i nie możemy wymknąć się pannie Rozumek

— Pójdźcie porozmawiać z waszym nauczycielem muzyki — radziła Puma — i spróbujcie go nakłonić, żeby się nie upierał przy swym zdaniu. Przekonajcie go, że obowiązkiem jego jest uciec, wbijcie mu do głowy ideę ucieczki i może ta nowa idea wygna z głowy tę starą, przez którą siedzi w więzieniu.

— To strasznie skomplikowane — rzekła Dora — ale możemy spróbować.

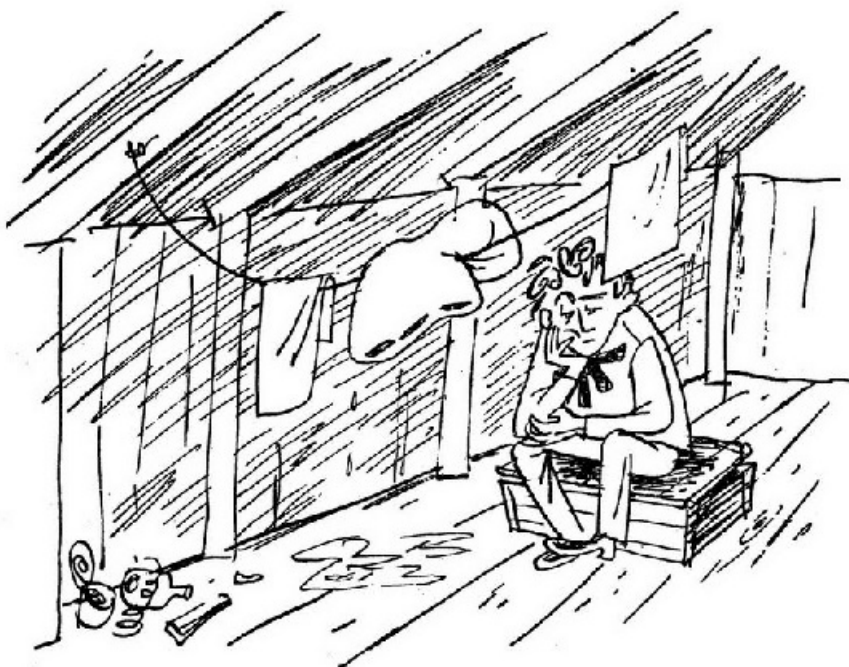
— W każdym razie będziemy miały coś ciekawego do roboty — powiedziała Flora.

Potem wszyscy razem bawili się w berka, ale zgodnie z prawidłami, które sami wymyślili. Pumie wolno było biegać tylko na tylnych nogach. Sokół mógł latać używając tylko jednego skrzydła, a Dora i Flora musiały cały czas poruszać się na czworakach. Po godzinnej zabawie obie dziewczynki musiały wracać na podwieczorek, a że miały podarte i poplamione sukienki, brudne i podrapane kolana i łokcie, dostały porządną burę od panny Rozumek.

Następnego dnia był czwartek, a wtorki i czwartki były w więzieniu dniami odwiedzin. Więc Dora i Flora wybrały się po południu z wizytą do profesora Kazimierza Corvo.

Około czterdziestu mieszkańców miasteczka również wybrało się tego dnia odwiedzić swych siedzących w więzieniu krewnych i przyjaciół, zabierając ze sobą koszyki pełne słodkich bułek, kanapek z szynką i różnych ciastek oraz termosy z gorącą herbatą i butelki lemoniady. Wszyscy rozsiadli się na zielonej trawie więziennego podwórza i piknikowali wraz z więźniami. Pan Hak, właściciel sklepu żelaznego, przyniósł gramofon, który grał pieśni narodowe, i wszyscy razem świetnie się zabawiali. Niemniej jednak uwięzieni Członkowie Ławy Przysięgłych zachowywali się przez cały czas z godnością cechującą ludzi, którzy cierpią za ideały.

Profesor Kazimierz Corvo nie brał jednak udziału w tym wesołym festynie. Dora i Flora musiały dobrze przeszukać całe więzienie, zanim go w końcu znalazły na strychu. Siedział tam na stołku pod sznurem, na którym suszyły się ciepłe pantalony pana Klucza, więziennego dozorca, fartuszek pani Klucz oraz najlepsza koszula doktora Fosfora, trzy chusteczki do nosa, ręcznik i mokra poszewka na poduszkę. Gdy zobaczył Dorę i Florę, wstał i powitał je pełnym smutku uśmiechem.



— Moje drogie, małe przyjaciółki! — rzekł. — Moje ulubione uczennice! Przyszłyście odwiedzić swego starego nauczyciela? Jak to ładnie z waszej strony!

Profesor Corvo był niewielkim człowiekiem o ładnej, gładko wygolonej twarzy, białej jak płótno. Miał duże, czarne oczy, a nad nimi gęste brwi, które poruszały się w górę i w dół, jak tylko coś go zdenerwowało lub podnieciło. Czasami lewa brew podnosiła się aż do połowy czoła, a prawa opadała prawie na oko, co razem wykrzywiało mu twarz w sposób niesłychany i nawet przerażający. Włosy miał gęste i trochę kędzierzawe, zachodzące trójkącikiem na sam środek bladego czoła. Kiedy coś mówił, gestykulował żywo swymi długimi i delikatnymi rękami; poruszał się w sposób lekki i pełen gracji.

Ludzie w miasteczku sądzili na ogół, że ubiera się on nieco dziwnie, ale Dora uważała, że w swojej ciemnozielonej, welwetowej marynarce i żółtych, sztruksowych spodniach wygląda bardzo elegancko, a specjalnie lubiła jego czerwoną kamizelkę z mosiężnymi guzikami i białą, jedwabną koszulę. Mówił bardzo dobrze po angielsku, choć wydawał przy tym czasem niezwykle, śpiewające dźwięki.

— Dziwi was pewnie — mówił dalej — że znalazłyście mnie w tym niezwykłym miejscu, gdzie ludzie wieszają mokrą bieliznę, by wyschła. Ale musiałem tu przynieść dziś rano poszewkę od mojej poduszki, bo gdy się tylko obudziłem i przypomniałem sobie, że jestem i pozostać muszę w więzieniu, ogarnął mnie taki smutek, że wybuchnąłem płaczem i całą poszewkę zmoczyłem łzami. Może wam, dzieciom angielskim, wydać się dziwne, że dorosły człowiek płacze. Ale w moim kraju każdy, kto jest smutny, płacze niezależnie od tego, czy jest duży, czy mały. A za to ludzie umieją się tam śmiać, kiedy są szczęśliwi. Wtedy śmieją się wszyscy razem, najmniejsi i najwięksi.

— To bardzo rozsądnie, że suszy pan swoją poszewkę, żeby wyschła, zanim pan znowu położy się spać — rzekła Dora.

— Gdyby pan zasnął z głową na mokrej poszewce — dodała Flora — to łatwo mógłby pan dostać kataru i byłoby panu jeszcze smutniej niż teraz.

— To właśnie sobie pomyślałem — rzekł pan Corvo — bo nie jestem tak znowu całkiem nierozsądny. Czasem nawet, kiedy myślę o rozmaitych ludziach, których znam, wydaje mi się, że jestem rozsądniejszy niż oni.

— Czy chciałby pan uciec z więzienia? — zapytała Dora.

— Niestety — nie mogę — odrzekł profesor Corvo. — Muszę tu pozostać wraz z innymi Członkami Ławy Przysięgłych. To jest moim obowiązkiem. Ale powiedzcie mi jedno: czy już zupełnie zapomnieliście grać na fortepianie i tańczyć? Czy

ćwiczycie się codziennie w tańcu i muzyce?

— Bardzo nam to źle idzie bez pańskiej pomocy — powiedziała Flora. — Ogromnie lubiliśmy nasze lekcje muzyki i tańca, których nam pan udzielał, i będzie nam bardzo smutno, póki znowu do nich nie wrócimy.

Mówiła to wszystko powoli i wyraźnie, zupełnie jakby recytowała wiersz, którego nauczyła się na pamięć. Obie dziewczynki bardzo dokładnie ułożyły sobie z góry wszystko to, co mają powiedzieć profesorowi Corvo, i kilkakrotnie powtarzały po drodze do miasteczka swoje przemówienia. Z kolei zabrała głos Dora.

— Pan ma pewne zobowiązania wobec nas, pańskich uczennic — mówiła — a zobowiązania te są nie mniejsze niż pańskie zobowiązania wobec towarzyszy niedoli. I gdyby pan się nad tym głębiej zastanowił, to doszedłby pan do wniosku, że zobowiązania wobec nas są nawet ważniejsze. A gdy pan do takiego wniosku dojdzie, to wówczas zdecyduje się pan uciec z więzienia, a my ze swej strony zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby panu w tym pomóc.

— Doskonale umiemy pomagać w uciekaniu z więzienia — rzekła Flora — i służymy panu całym naszym długoletnim doświadczeniem w tej specjalności.

— Może pan na nas całkowicie polegać — dorzuciła Dora. Obie dziewczynki stały między suszącymi się na sznurach pantalonami, rękawicami, ścierkami i pidżamami i patrzyły na pana Corvo szczerze i z niepokojem w oczach. On też stał i patrzył na nie. Jego brwi zaczęły się poruszać w górę i w dół, najpierw jedna, potem druga — i zanim przemówił, wykonał szereg pięknych gestów swymi długimi, białymi rękami. Po czym wykrzyknął:

— Nie! — i usiadł na stołku.

— Teraz twoja kolej — szepnęła Dora do Flory.

— Zapomniałam, co teraz idzie — mruknęła bezgłośnie Flora.

— „Zwracając się..Z”

— Zwracając się z ostatecznym do pana wezwaniem — recytowała Flora — polegamy na uczuciu, jakie nam pan tak często okazywał...

— Nie, nie! — zawołał pan Corvo zrywając się ze stołka i powiewając rękami, zupełnie jakby był kapelmistrzem dyrygującym orkiestrą symfoniczną. — Nie powinnyście apelować do moich uczuć! Ja tak bardzo chcę stąd uciec! Niczego tak nie pragnę, jak wydostać się stąd, by znowu uczyć was tańca i gry na fortepianie, ale moim obowiązkiem, moim strasliwym obowiązkiem jest pozostać tu i cierpieć wraz z innymi! Przysiągłem, że nigdy się nie ugnę przed sędzią Grzmotem, a gdybym uciekł, ugiąłbym się przed nim i przed całą istniejącą na świecie tyranią. Dlatego muszę tu zostać!

— W rezultacie zostanie pan w więzieniu na całe życie — rzekła rzeczowo Dora.

Profesor Corvo zamarł w bezruchu. Stał wyprostowany i sztywny, z wzniesioną dumnie głową. Długie palce lewej ręki rozczapierzył na sercu i wznosząc prawą do góry, oświadczył:

— Jeśli musi tak być, niechaj tak będzie. Lecz ja nie ugnę się przed nikim!

W chwilę potem odwrócił się i zakrył twarz suszącym się rękawikiem, wytarł nim dwa strumienie łez spływające mu po policzkach i zawołał:

— Ale mam nadzieję, że tak źle nie będzie! Pragnę jak najszybciej opuścić więzienie. Muszę jednak spełnić mój obowiązek!

— Dobrze — rzekła Dora — myśmy tu przyszły jedynie po to, żeby panu pomóc, i jeśli jest coś, co mogłybyśmy dla pana zrobić...

— Nie wolno wam nakłaniać mnie do uciezki!

— Więc co pozostaje innego? — zapytała Flora.

— Jest tylko jedna droga — rzekł pan Corvo. — Ani ja, ani żaden inny Członek Ławy Przysięgłych nigdy nie ustąpi, a zatem ustąpić musi sędzia Grzmot. Namówcie go, by zmienił wyrok, wytłumaczcie mu, że nie ma racji i że powinien nas wszystkich zwolnić. Ta tylko droga nam pozostaje.

— Ojej! — zawołała Dora. — To nie będzie takie łatwe.

— Byłoby znacznie, znacznie łatwiej po prostu wykraść pana z więzienia — powiedziała Flora.

— Pan sobie chyba zdaje z tego sprawę, że to, o co pan nas prosi, jest bardzo trudne — rzekła Dora.

— Tak trudne, że aż niewykonalne — westchnął melancholijnie pan Corvo.

— A ja bym tego nie powiedziała — rzekła z namysłem Dora.

— Już robiłyśmy takie rzeczy, które mnóstwo ludzi uważałoby za niewykonalne — dodała Flora.

— To zdumiewające, jak wiele można dokonać, gdy człowiek się raz uprze — powiedziała Dora.

— Absolutnie zdumiewające — dodała Flora. Profesor Corvo pokiwał smutnie głową i zdjął poszewkę ze sznura.

— Już wyszła — powiedział. — Do jutra rana znów będzie cała mokra od łez. Żegnajcie, moje drogie, małe przyjaciółki! Przyjdźcie kiedy znowu mnie odwiedzić!

— Następnym razem, jak pana przyjdziemy odwiedzić — rzekła pewnym głosem Dora — będzie pan już mieszkał z powrotem w swoim własnym domu przy ulicy Akacyjowej.

Pewnego sobotniego ranka panna Rozumek udała się wraz z dziewczynkami po zakupy do miasteczka. Po drodze na rynek, gdzie znajdowały się wszystkie sklepy, Flora zapytała Dory: — Czy już coś wymyśliłaś?

— Jeszcze nie — odparła Dora.

— Powiedzieliśmy mu, że następnym razem odwiedzimy go już w jego domu przy ulicy Akacyjowej — rzekła Flora. — To była prawie że obietnica.

— To była prawdziwa obietnica — stwierdziła Dora — i my jej dotrzemy. Tylko jeszcze nie wiem jak.

— Czy jak dorośniemy, to też będziemy musiały dotrzymać obietnic? — zapytała Flora.

— Tak mi się wydaje — powiedziała Dora. — Tego nie da się uniknąć.

— A ja myślałam, że życie będzie wtedy o tyle łatwiejsze! — westchnęła Flora.

— Jak będziemy już bardzo stare, staniemy się ostrożniejsze i nie będziemy nikomu niczego obiecywały — rzekła Dora. — Unikniemy przez to wielu kłopotów.

— Spójrz! — krzyknęła Flora. — Tam idzie tych dwóch panów w melonikach! Och, zapomniałam, jak się nazywają!

— Pan Hobson i pan Jobson — powiedziała Dora.

— Oni są prawnikami, prawda?

— Zdaje się, że jeden jest Radcą Oskarżającym, a drugi Radcą Obraniającym.

— Tak, tak. To oni kłócili się z sędzią Grzmotem i Członkami Ławy Przysięgłych, wtedy kiedy odbywał się proces pani Tasiemki. Możemy ich się zatem poradzić w kwestii prawnej.

— Ale trzeba im za to zapłacić — rzekła Dora. — Ile masz pieniędzy?

— Siedem szylingów w skarbonce i osiem pensów w kieszeni.

— A ja wszystkiego razem dziewięć szylingów i trzy pensy.

— To masę pieniędzy — stwierdziła Flora.

— Czy myślisz, że możemy ich poprosić, by nam pomogli?

— Oni znają się na tym, jak się trzeba kłócić z ludźmi — powiedziała Flora — a specjalnie z sędziami.

— To dobra myśl — rzekła Dora. — Ale najpierw musimy zgubić gdzieś pannę Rozumek.

Właśnie skręciły w ulicę Popielcową w kierunku rynku. Panowie Hobson i Jobson szli kawałek przed nimi.

Obaj prawnicy zatrzymywali się przed wszystkimi drzwiami i pukali w nie. Pan Jobson pukał we wszystkie drzwi znajdujące się po lewej stronie ulicy, a pan Hobson we wszystkie drzwi po prawej, a gdy tylko jakie otworzono, albo jeden, albo drugi — w zależności od strony ulicy — mówił coś szybko i długo do osoby, która je otwarła. Ale co to takiego było, co mówili, tego ani Dora, ani Flora nie wiedziały.

Panna Rozumek i obie dziewczynki szły dalej ulicą Popielcową, po czym skręciły w ulicę Kalafiorową i weszły na rynek.

Tu panna Rozumek zatrzymała się i powiedziała surowo do dziewczynek:

— Mam dużo sprawunków do załatwienia i tylko byście mi przeszkadzały. Pójdźcie więc sobie do pomnika królowej Wiktorii, obejrzyjcie go raz jeszcze i porozmawiajcie z dziećmi, które tam się bawią. Tylko pamiętajcie jedno: nie wolno wam opuszczać rynku!

— Dobrze, proszę pani, zrobimy tak, jak pani prosi — powiedziały zgodnym chórem Dora i Flora, najgrzeczniej jak mogły. Ale gdy tylko panna Rozumek znikła w najbliższym sklepie, Dora wykrzyknęła z oburzeniem: — Rzeczywiście! Nic lepszego nie mamy do roboty, tylko rozmawiać z tą okropną Kasią Okruszek!

— Albo z bliźniętami — dodała Flora.

— Chodź, poszukamy panów Jobsona i Hobsona — powiedziała Dora i pobiegły z powrotem ulicą Kalafiorową, skręciły w ulicę Popielcową i ujrzały pana Jobsona, który dzwonił właśnie do drzwi narożnego domku.

— Dzień dobry — powiedział pan Jobson do pani Weil, która otworzyła mu drzwi. — Dzień dobry szanownej pani. Czy popełniła pani może dzisiaj jakie przestępstwo? Drobną Kradzież albo Poważną Kradzież, Fałszerstwo, Błuznierstwo lub Oszczerstwo, Szantaż lub Rabunek z Włamaniem, Napaść lub Pobicie, albo Napaść wraz z Pobicie?

— Nie, dziś nie — rzekła pani Weil.

— Jest pani pewna? — zapytał pan Jobson głosem pełnym troski. — Najzupełniej pewna, proszę pani szanownej? Niech pani

pamięta, że bakcyl przestępstwa jest bardzo rozpowszechniony wśród rodzaju ludzkiego i łatwo się nim zarazić w okolicznościach sprzyjających. Czy więc jest pani najzupełniej, najpewniej pewna, że nie popełniła pani nawet najdrobniejszego oszustwka w ciągu ostatnich kilku dni? Bo gotów jestem dziś i zawsze stanąć w pani obronie przeciw wszelkiego rodzaju oskarżeniom, niezależnie od tego, czy będzie to oskarżenie o piniactwo, nielegalny handel narkotykami, podrabianie pieniędzy, złamanie obietnicy małżeństwa, czy zbrojny opór władzy. Nic takiego pani ostatnio nie zarzucano? A na przykład umyślnie podpalenie lub wprowadzenie w błąd poborcy podatków? Na pewno popełniła pani coś złego!

Pani Weil była starszą, siwowłosą kobietą o miłej twarzy. Przez chwilę zastanawiała się głęboko i rzekła z żalem w głosie: — Nie, proszę pana. Przykro mi, lecz nie popełniłam. dzisiaj niczego w tym rodzaju.

— Ależ nie ma się czym martwić — pocieszał ją wesoło pan Jobson. — Jak nie, to trudno. Może następnym razem coś się zdarzy. Zostawię pani tymczasem ten mały druczek i będzie już pani wiedziała, że kiedy tylko zajdzie potrzeba, jestem całkowicie na pani usługi. Do widzenia szanownej pani!

Druczek, który pan Jobson wręczył pani Weil, wyglądał następująco.

Czy stoisz w obliczu kary więzienia?
Jeśli tak — nie załamuj się!

PAN JOBSON

Królewski Radca Obraniający
jest
na twoje usługi!
On rozwieje widmo kary!

Niezależnie od tego, jakie
Popełniłeś(aś) Przesłępstwo!
Zaufaj mu i powierz
Swoją obronę:

PANU JOBSONOWI

!!! Najlepsze mu Prawnikowi w Anglii!!!

NASI KLIENCI ZAWSZE MAJĄ RACJĘ

P.S. Aby wykazać swą Dobrą Wolę i aby rozstawić swe imię,
pan Jobson gotów jest obronić każdego Nowego Klienta
przeciw zarzutom Obrazy, Kradzieży lub Okrucieństwa wo-
bec Dzieci za symboliczną opłatą wynoszącą

jedynie PIĘĆ SZYLINGÓW!!!

Ta niesłychana oferta może się więcej nie powtórzyć!
!!! Korzystaj z niej DZIŚ, ZARAZ!!!

Tymczasem, po przeciwnej stronie ulicy, pan Hobson dzwonił do domku pana Bella, a gdy pan Bell otworzył drzwi, pan Hobson powiedział mu „dzień dobry” i natychmiast zaczął swoje przemówienie: — Może chciałby pan wytoczyć komu jakiś cichy, spokojny i zyskowny procesik? Może ktoś pana szantażował ostatnio? Albo kradli kwiatki z ogródka? Może potracił pana cyklista na ulicy albo przejechał pana samochód, albo pociąg, tramwaj, samolot autobus czy coś takiego? Jeśli tak — to niech pan nie zasypia gruszek w popiele, ale natychmiast wniesie sprawę do sądu!

Pan Bell był starym człowiekiem, z długą, siwą brodą; chodząc, opierał się na dwóch laskach. Myślał chwilę głęboko, po czym rzekł powoli: — Nie, proszę pana. Nic podobnego nie zdarzyło mi się już od bardzo dawna.

— Nie ma się co śpieszyć — rzekł pan Hobson. — Jest mnóstwo czasu, można się nad wszystkim zastanowić, poszukać w pamięci. Jest pan zupełnie pewny, że nie ugryzł pana żaden pies ani nie ubódł byk, ani nikt pana nie pozbawił podstępnie spadku, ani majątku, ani nie oszukał, ani nie okradł?

— Nie — rzekł pan Bell — nic podobnego mi się nie przydarzyło. Być może, jestem już za stary, żeby takie rzeczy mogły mi się przydarzyć.

— A pańscy sąsiedzi? — pytał dalej pan Hobson. — Nie rzucali na pana ostatnio żadnych oszczerstw?

— Nie wiem — rzekł pan Bell — bardzo mało wychodziłem z domu.

— Trudno — rzekł pan Hobson. — Ale gdyby pan o czymś takim słyszał, to proszę zaraz dać mi znać. Zawsze miło mi będzie wystąpić w pańskim imieniu przed każdym sądem w Anglii, niezależnie od tego, czy będzie to Sąd Powiatowy, czy Najwyższy Sąd Apelacyjny Izby Lordów. I niech pan zapamięta jedno: oskarżenie kogoś przed sądem nie tylko sprawi panu prawdziwą

przyjemność, ale również może przynieść panu zysk! Niech pan pozwoli, że zostawię panu maleńki druczek. Niech pan go nie zgubi i proszę pamiętać, że zawsze jestem do pańskich usług. Moje uszanowanie panu!

Druczek, który pan Hobson zostawił panu Bellowi, wyglądał tak:

Po pewnym czasie pan Jobson i pan Hobson spotkali się na środku ulicy.

— Jak panu poszło? — zapytał pan Jobson.

— Nieźle — rzekł pan Hobson. — A jak panu?

— Tak sobie — odparł pan Jobson. — Czy obejdziemy teraz ulicę Klonową, czy przedtem zjemy obiad?

— Przedtem zjemy obiad — rzekł pan Hobson.

— Czy mogliby panowie poświęcić nam chwilę czasu? — zapytała Dora.

Obie dziewczynki cierpliwie czekały, póki panowie Jobson i Hobson nie skończą rozmawiać z panią Weil i z panem Bell; teraz podeszły do nich z tak poważnymi minami, że obaj prawnicy szybko przybrali równie poważny wyraz twarzy.

— Czy popełniłyście jakieś przestępstwo? — zapytał pan Jobson.

— Popełniłyśmy mnóstwo przestępstw — powiedziała Dora — ale nie martwimy się o to.

Najpiękniejszym angielskim słowem wywodzącym się z łaciny jest słowo

PROCESOWAĆ SIĘ

Czy rozumiesz, co ono znaczy???

Jeśli nie —

PAN HOBSON

Królewski Radca Oskarżający

powie ci to!!!

!!! PAN HOBSON WYJEDNA CI ODSZKODOWANIE !!!

Więc

jeśli sąsiedzi kaleczą twe bydło, podpalają twój dom, porywają twe dzieci, szantażują twoją matkę, kradną ci meble, tłuką ci szyby kamieniami i rzucają na ciebie oszczerstwa

NIE MARTW SIĘ — LECZ SIĘ CIESZ!

i powiedz o tym

PANU HOBSONOWI

!!! On zmusi ich, by ci za to zapłacili!!!

— Ani trochę — dodała Flora.

— Zatem ktoś wam pewnie wyrządził krzywdę, dokuczał wam, groził albo może uderzył? — zapytał pan Hobson. — Zaufajcie mi, a wszystko będzie dobrze.

— Bardzo panu dziękujemy — rzekła Dora — ale nie zabierałybyśmy panu cennego czasu, gdyby chodziło tylko o takie drobiazgi. Pragniemy pomocy panów w sprawie o wiele ważniejszej.

— Nie traćmy więc ani chwili — powiedział pan Jobson. — Mówcie wyraźnie, otwierając szeroko usta, i powiedzcie nam, o co wam chodzi.

— Nie wahajcie się i niczego nie ukrywajcie — rzekł pan Hobson. — Mówcie wszystko, pełnymi zdaniami, lecz krótko; W sposób naturalny i bez niepotrzebnych upiększeń. Możecie na nas polegać.

— Chcemy wiedzieć, w jaki sposób można zmusić sędziego Grzmota, by zmienił swą decyzję! — rzekła Dora.

— Coś podobnego! — wykrzyknął pan Jobson.

— A to dopiero! — zawołał pan Hobson.

— Żaden sędzia — rzekł pan Jobson — nigdy nie zmienia swej decyzji.

— Nigdy — rzekł pan Hobson. — To nie leży w naturze żadnego sędziego na świecie.

— Ale sędzia Grzmot musi zmienić swoją decyzję — powiedziała Flora — bo myśmy komuś obiecały, że zmieni.

— A w każdym razie obiecałyśmy, że zrobimy coś, czego nie możemy zrobić, póki on tego nie zrobi. Więc sami panowie widzą, jakie to jest szalenie ważne — dodała Dora.

— Chcecie, żebyśmy dokonali czegoś niemożliwego — rzekł pan Jobson.

— Ale my — powiedział pan Hobson — nie boimy się trudności.

— Prawdziwy prawnik — stwierdził pan Jobson — nie boi się nigdy żadnych trudności.

— Nie odstrasząją go nawet niemożliwości — powiedział pan Hobson.

— Lecz rzadko się trafia — stwierdził pan Jobson — by zwracano się do Radców Królewskich z tak niesłychanie trudną i poważną sprawą jak ta.

— Jeśli uda nam się zwyciężyć — powiedział pan Hobson — zdobędziemy nieśmiertelną sławę.

— Jak pięknie pan to wyraził! — rzekł pan Jobson. — Zmuszenie sędziego do zmiany decyzji byłoby osiągnięciem historycznym!

— A więc chodźmy na rynek — zaproponował pan Hobson — usiądźmy sobie wygodnie na ławce koło pomnika królowej Wiktorii i porozmawiajmy o wszystkim dokładnie i szczegółowo.

W wyniku tej rozmowy panowie Jobson i Hobson udali się jeszcze tego samego dnia do sędziego Grzmota, którego dom znajdował się na północnym brzegu rzeki Błysk. Pewnym i zdecydowanym krokiem podeszli do drzwi i zapukali w nie. Ale otworzono im dopiero po dłuższej chwili, bo dwie pokojówki przyglądały się partii golfa, którą sędzia Grzmot rozgrywał właśnie ze swoją kucharką. Ułynęło jeszcze dwadzieścia minut, zanim gra się skończyła. Wreszcie w drzwiach gabinetu, do którego wprowadzono panów Jobsona i Hobsona, ukazał się sam sędzia we własnej osobie.

Sędzia Grzmot wygrał partię golfa, co go wprawiło w doskonały humor. Na głowie nosił białą, sędziowską perukę, a na nogach — równie białe spodnie, przepasane czerwonym paskiem. Poczęstował pana Jobsona znakomitym cygarem, a pana Hobsona, który nie palił — cukierkiem nadziewanym orzechami.

— Chcielibyśmy, żeby udzielił nam pan odpowiedzi na kilka niezmiernie ważnych pytań — rzekł pan Jobson zaciągając się cygarem.

— Z największą przyjemnością — odpowiedział z uśmiechem sędzia. — A o co zamierzają mnie panowie zapytać?

— Przede wszystkim chcielibyśmy wiedzieć — rzekł pan Hobson — jak często zmienia pan koszule?

— Codziennie — odparł pewnym głosem sędzia.

To nie było takie zupełnie prawdziwe, ale sędzia Grzmot chciał być dla innych przykładem niewzruszonych zasad i nienaganej czystości.

— A skarpetki? — rzucił pan Jobson.

— Codziennie — rzekł sędzia, którego w dalszym ciągu nie opuszczał doskonały humor.

— A kamizelkę? — zapytał pan Hobson.

— A chusteczkę do nosa?

— Codziennie — odparł sędzia, który chciał wyrzeć na obu swych gościach jak najlepsze wrażenie. — Codziennie — powtórzył — a czasem nawet dwa razy dziennie.

— No, no, no! — rzekł pan Jobson, niby to nie posiadając się z podziwu.

— A prześcieradła? A poszewki? — pytał dalej pan Hobson. — Jak często pan je zmienia?

— Musieliby się panowie o to zapytać moich dwóch pokojówek — rzekł sędzia odrobinę wyniośle. — Ale możecie mi wierzyć, że zmienia je się często i regularnie.

— Nadzwyczajne! — rzekł pan Jobson. — Może nam pan teraz powie, panie sędzio, czy zjadł pan dziś dobry obiad?

— Oczywiście — rzekł sędzia. — Zawsze jadam dobre obiady. Dziś miałem na obiad zupę szparagową, kotlety baranie z groszkiem i młodymi kartofelkami, ciasto z wiśniami i kawałek sera. Może to nie jest dobry obiad, co?

— W samej rzeczy, bardzo dobry obiad — przyznał pan Hobson. — A czy jadł pan to wszystko na jednym talerzu?

— Ależ skąd! — wykrzyknął sędzia. — Zmieniłem co najmniej cztery talerze.

— A zatem zmienia pan talerze częściej niż skarpetki? — zapytał pan Jobson.

— Tak z tego wynika — stwierdził sędzia,

— Ciekawe, bardzo ciekawe — rzekł pan Hobson. — Niezwykle interesujące, prawda, panie Jobson?

— Absolutnie zdumiewające — powiedział pan Jobson. Następnie pan Hobson wskazał książkę leżącą na stoliczku przy fotelu sędziego i rzekł głosem, który w dalszym ciągu był pełen podziwu i uznania:

— Przypuszczam, że jest pan zapalonym czytelnikiem książek, szanowny panie sędzio?

— Tę właśnie książkę — mówił sędzia Grzmot — czytam ostatnio z ogromnym zainteresowaniem. Jest to dzieło opisujące historię starożytnego Egiptu. A być może starożytnej Grecji czy nawet Mezopotamii. Nie wiem na pewno, bo nie przeczytałem jej jeszcze do końca.

— A czy pan zawsze czyta jedną i tę samą książkę? — zapytał pan Jobson.

— Ależ skąd! — wykrzyknął sędzia. — Jak tylko skończę czytać jedną, natychmiast zabieram się do drugiej.

— A więc zmienia pan książki, które pan czyta? — pytał pan Hobson. — Zmienia je pan nawet bardzo często, prawda?

— Oczywiście — rzekł sędzia. — Każdy przecież tak robi.

Zapanowała chwila ciszy. Sędzia Grzmot zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie panowie Hobson i Jobson chcieli tak dokładnie wiedzieć, jakie są jego osobiste przyzwyczajenia. Obaj zaś jego goście oparli się wygodniej w fotelach i patrzeli uważnie na sufit, jakby nad czymś głęboko rozmyślali. Nagle pan Jobson niespodziewanie zapytał:

— Czy pamięta pan sprawę pani Tasiemki?

— Pamiętam — rzekł chłodno sędzia Grzmot.

— Członkowie Ławy Przysięgłych siedzą w dalszym ciągu w więzieniu — zauważył niby obojętnie pan Hobson.

— I zostaną tam — oświadczył sędzia głośno i z gniewem. — Zostaną tam dopóty, dopóki nie postanowią jednogłośnie, czy pani Tasiemka jest Winna, czy Niewinna.

— Czy to jest pańska niewzruszona decyzja? — zapytał pan Jobson.

— To jest moja niewzruszona decyzja — rzekł sędzia.
— A dlaczego pan nie zmienia swej decyzji? — zapytał pan Hobson.
— Nigdy nie zmieniam raz powziętej decyzji! — krzyknął sędzia.
— Nigdy? — zdziwił się pan Jobson.
— Nawet raz na miesiąc? — zapytał pan Hobson.
— Powiedziałem już, że NIGDY! — wrzasnął sędzia.
— To po prostu okropne! — rzekł pan Jobson.
— I niehigieniczne! — powiedział pan Hobson.
— Zmienia pan koszule i skarpetki — rzekł pan Jobson.
— Prześcieradła i poszewki — dorzucił pan Hobson.
— Talerze i chusteczki do nosa.
— Książki i kamizelki.
— A nigdy nie zmienia pan decyzji! — powiedział pan Jobson. — Po prostu trudno w to uwierzyć, czy nie tak, panie Hobson?
— Musiała się już bardzo zabrudzić — rzekł pan Hobson.
— Czuję jakiś dziwny zapach w tym pokoju — powiedział pan Jobson.
— Nie ma żadnego zapachu! — ryknął sędzia.
— Okropny zapach! Po prostu smród — rzekł pan Hobson zatykając sobie nos.
— Precz z mojego domu! — zagrzmiął sędzia Grzmot.
— Wyjdziemy stąd z wielką przyjemnością — rzekł pan Hobson.
— Odetchnąć świeżym powietrzem — powiedział pan Jobson.

Po czym obaj wstali, włożyli na głowę meloniki i wyszli z godnością, zamykając za sobą starannie drzwi. A sędzia po ich wyjściu wpadł w taką wściekłość, że zerwał z głowy swą białą, sędziowską perukę, rzucił ją na ziemię i podeptał.

Dora i Flora leżały już w łózkach, ale jeszcze nie spały, gdy nagle doszedł je cichy gwizd. Szybko zerwały się z łóżek i w szlafrokach i nocnych pantoflach zbiegły na dół do jadalni, a stamtąd przez okno wydostały się do ogrodu, gdzie ukryci w cieniu rododendronów czekali na nie panowie Jobson i Hobson.

Prawnicy opowiedzieli im szczegółowo o swej wizycie u sędziego. Dora i Flora wysłuchały wszystkiego z ogromnym zainteresowaniem i pełne były podziwu dla ich niezwykłej przebiegłości.

— Uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy — rzekł na zakończenie pan Hobson. — Teraz od was tylko zależy, czy to, czego dokonaliśmy, wyda odpowiednie rezultaty.

— My jedynie, że się tak wyrażę, ukrajaliśmy kromkę chleba — dodał pan Jobson. — Wy ją musicie posmarować masłem, a sędzia Grzmot zjeść.

— Niezupelnie rozumiem, co to znaczy — rzekła Dora.

— Udało się nam zaszczepić w umyśle sędziego ideę, że człowiek, który nie zmienia swych decyzji, jest takim samym brudasem, jak ten, który nie zmienia koszul i skarpetek — wyjaśnił pan Jobson.

— Wy zaś — dodał pan Hobson — musicie pokazać mu, jak straszliwe mogą być tego skutki.

— Aha! — rzekła Dora. — Teraz już wszystko doskonale rozumiem.

— Ja też już wszystko rozumiem — powiedziała Flora — a nawet już coś wymyśliłam. Coś, co Dora i ja możemy zrobić.

— Wobec tego — rzekł pan Jobson — udamy się teraz z panem Hobsonem do domu, by rozpocząć pracę nad następną sprawą.

My, prawnicy, jesteśmy ludźmi niesłychanie zajętymi.

— Bardzo, bardzo, bardzo panom dziękujemy — powiedziała Dora — i proszę nam powiedzieć, ile wynosi panów honorarium?

— A ile macie pieniędzy? — zapytał pan Jobson.

— Szesnaście szylingów i jedenaście pensów — rzekła Dora. — Czy zabrałaś ze sobą pieniądze, Floro? — zwróciła się do siostry.

— Mam je tutaj — odparła Flora wyjmując z kieszeni szlafrocza pieniądze zawinięte w chusteczkę do nosa.

— Szesnaście szylingów i jedenaście pensów wynosi nasze normalne honorarium za tego rodzaju sprawę, jak ta — rzekł bardzo taktownie pan Jobson.

Flora rozłożyła na ziemi chusteczkę z pieniędzmi.

— Boję się, że będzie trudno panom podzielić tę sumę na dwie równe części — powiedziała.

Panowie Jobson i Hobson ukłękli obok.

— Ależ nic łatwiejszego — rzekł pan Jobson.

— Nie sprawi nam to najmniejszej trudności — powiedział pan Hobson.

— Jak wiadomo, w każdym szylingu jest dwanaście pensów — rzekł pan Jobson. — Jeśli więc z każdego szylinga ja wezmę sześć pensów i pan Hobson sześć, to wszystkie znajdujące się tu szylingi zostaną równo podzielone między nas dwóch.

— W samej rzeczy — przyznał pan Hobson.

— Ale zostało jeszcze jedenaście pensów — wtrąciła Dora. — Jak panowie podzielą jedenaście pensów na dwie połowy?

— Każdy pens dzieli się na dwie półpensówki — odparł pan Jobson — jeśli więc z każdego z tych jedenastu pensów ja wezmę pół pensa i pan Hobson pół pensa, to... O Boże! A to co takiego?

Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno i pan Jobson ujrzał tuż przed sobą dwa małe, złote światełka, niby dwie malutkie lampki.

— Proszę się nic nie bać — rzekła Flora — to tylko nasza przyjaciółka, Puma. — I cicho zawołała: — Dobry wieczór, Pumo! Odpowiedział jej dziwny dźwięk, niby warczenie i miauczenie jednocześnie, a w tej samej chwili załopotowało coś w ciemnościach, zatrzepotało i wzbiło się z powrotem w górę.

— A to — zapytał pan Hobson drżącym głosem — co takiego?

— To też nasz przyjaciel — objaśniła Dora i przykładając do ust zwiniętą w trąbkę dłoń, zawołała prosto w niebo: — Sokole! Sokole!

Panowie Jobson i Hobson szybko podnieśli się z ziemi.

— Sądzę — rzekł pan Jobson — że już czas nam iść.

— Robi się późno — dodał pan Hobson i spojrział nerwowo na dwie małe lampki płonące w mroku krzewów.

— A więc dobranoc — powiedział pan Jobson — życzymy wam szczęścia.

— Jesteśmy panom szalenie wdzięczne — rzekły razem Dora i Flora. — Bardzo, bardzo wdzięczne! — wołały w ślad za oddalającymi się prawnikami, którzy biegli tak szybko jak mogli.

Po chwili z wysokiego, ciemniejącego nieba spadł Sokół niby kamień i zwalniając w ostatniej chwili lot, opuścił się leciutko jak piórko na ramię Dory. Puma zaś wysunęła się bezszelestnie z zarośli i delikatnie położyła łeb na kolanach Flory. Cała czwórka przyjaciół rozsiadła się wygodnie na trawie i narada 4 się rozpoczęła.

Dora i Flora opowiedziały dokładnie o swoich dotychczasowych staraniach wydobycia pana Corvo z więzienia i oświadczyły, że mają już gotowy plan dalszej akcji. Dora poprosiła w związku z tym Sokoła, żeby im jak najszybciej dostarczył pół tuzina myszy.

— Żywych czy nieżywych? — zapytał uprzejmie Sokół.

— Nieżywych, koniecznie nieżywych — szybko powiedziała Dora. — Najzupełniej nieżywych.

— Wy, ludzie, jesteście niezwykle czynnymi istotami — rzekła ziewając Puma. — Zawsze coś planujecie, za czymś się uganiacie, o czymś tam radzicie. To musi być szalenie męczące.

— A coś ty robiła przez cały dzień? — zapytała Flora.

— Nic — rzekła Puma. — Absolutnie nic, z wyjątkiem tego, że żyłam.

— Piękny był dzisiejszy dzień — powiedział Sokół. — Słoneczny i pogodny.

— Naprawdę? — zapytała Dora. — Musiałyśmy myśleć o tylu najrozmaitszych sprawach, że nawet tego nie zauważyłyśmy.

— To bardzo głupio — rzekła Puma.

— Niesłychanie głupio — dodał Sokół. — Nie wolno marnować pięknej pogody, tak jak nie wolno marnować jedzenia ani picia.

— Musiałyśmy dziś dokonać mnóstwa rzeczy — powiedziała Dora.

— To jest właśnie najgorsze u ludzi — rzekła Puma. — Zawsze muszą robić mnóstwo rzeczy od razu.

— Daleko na północnym krańcu lasu — mówił Sokół — jest wysoka góra, z której roztacza się piękny widok. Tam właśnie spędziłyśmy z Pumą cały dzień. Puma leżała na gałęzi wysokiego drzewa i grzała się w promieniach prześwitującego przez liście słońca, a ja siedziałem obok i patrzyłem na daleki, rozświetlony krajobraz.

— Może kiedyś — rzekła Puma — kiedy już się wam znudzi robienie tylu rozmaitych rzeczy naraz, przyjdziecie tam i razem spędzimy cały dzień. Nie będziemy nic robić — będziemy po prostu istnieć. Wczoraj było tam rozkosznie.

— A nie chciało ci się jeść? — zapytała Flora.

— Zjadłam wczoraj doskonałą kolację — rzekła Puma. — Udało mi się zabić smaczną, tłustą owieczkę.

— Czyją? — zapytała Dora.

— Skąd ja mogę wiedzieć? Gdy ją zabiłam, należała już do mnie.

Porozmawiali jeszcze chwilę, po czym Puma i Sokół wrócili do lasu, a Dora i Flora położyły się do łóżek. Ale nie zasnęły od razu. Niepokoiło je bardzo to, że Puma zaczęła zabijać owce.

— Na nic się nie zda tłumaczyć jej, że nie wolno zabijać owiec, które są czyjąś własnością — rzekła Dora. — Ona tego po prostu nie rozumie.

— Czy może żałujesz, żeśmy ją wypuścili z Zoo?

— Nie, naturalnie, że nie. Musiałyśmy to zrobić, choćby dlatego, że okazała nam tyle przyjaźni. Ale to dziwne: kiedykolwiek człowiek zrobi coś, co mu się wydaje słuszne, to zaraz wynikają z tego kłopoty. Ach, życie jest takie trudne! ; — Ona nie da się nikomu schwytać — rzekła Flora. Stawały się coraz bardziej śpiące, aż zasnęły nie wiedząc kiedy, a gdy się rano obudziły, przekonały się, że Sokół już je odwiedził, bo za oknem leżało sześć zdechłych myszy, o które wczoraj prosiły.

— Przynieś dużą chustkę do nosa z pokoju tatusia — powiedziała Dora — zawiniemy w nią zdechłe myszy.

Flora poszła do opuszczonego pokoju ojca i w szufladzie szafy znalazła chustkę. Przez chwilę stała rozmyślając nad czymś głęboko. Nagle przyszedł jej do głowy pewien znakomity pomysł i zadowolona z siebie, pobiegła z powrotem do dzieciennego pokoju.

— Doro! — wykrzyknęła. — Już wiem, gdzie je powinnyśmy wsadzić!

— Gdzie? — zapytała Dora.

— Powiem ci, jak tam będziemy. Nikt się nigdy nie domyśli!

Czy pamiętasz — zapytała zaraz po śniadaniu Flora Dorę — że kiedyś, dawno temu, na długo przedtem jak tatuś wyjechał, poszliśmy nad rzekę i udało nam się złapać dwa węgorze na widelec?

— A potem wsadziłyśmy je do pustej butelki — powiedziała Dora.

— I ty zakorkowałaś ją, żeby nie uciekły.

— A ty schowałaś ją za szopą na podwórzu.

— Te węgorze muszą już być nieżywe — rzekła Flora.

— Absolutnie nieżywe — powiedziała Dora. — Żal mi ich trochę. Ale teraz mogą nam się przydać.

— To samo sobie pomyślałam.

— A te dwa śledzie, które kupiłyśmy wczoraj, też już zaczynają trochę cuchnąć.

— Już wszystko mamy przygotowane z wyjątkiem pocztówek — rzekła Flora. — Napiszemy je w czasie lekcji.

Po południu poszły przez pola do domu sędziego, położonego na przeciwległym brzegu rzeki. Starannie ominęły miasteczko, bo nie chciały, żeby paczuszki, które zabrały ze sobą, zwróciły czyjąś uwagę. Specjalnie wybrały się po południu, wiedząc, że o tej porze sędzia gra jak zwykle w golfa ze swoją kucharką i dwiema pannami służącymi. Okno jadalni w jego domu było szeroko otwarte i z łatwością dostały się przez nie do środka.

Potem szybko i cichutko wbiegły schodami na górę i odszukały sypialnię sędziego. Domyśliły się od razu, że to jego sypialnia, bo znajdowały się w niej trzy biusty: Szekspira, Cezara i księcia Wellingtona. Każdy z tych biustów miał na głowie jedną z zapasowych peruk sędziego.

— Powiedz mi teraz — szepnęła Dora do Flory — co chcesz zrobić ze zdechłymi myszami?

— Chodź tu — rzekła Flora i wpełzła pod łóżko, a gdy Dora zrobiła to samo, pokazała jej sprężyny, na których opierał się materac. — Te sprężyny wyglądają zupełnie jak pułapki na myszy, prawda? — powiedziała. — Wsadzimy w nie myszy i nikt ich tam nigdy nie znajdzie.

Dora przyznała jej rację i zaraz wepchnęła sześć zdechłych myszy w sześć spiralnych sprężyn materaca, potem wypęzły spod łóżka, wyrwały przez okno, przypatrując się chwilę, jak sędzia gra w golfa, i znów zabrały się do roboty.

W rogu stała ogromna szafa. Dora otworzyła ją.

— Spójrz, ile on ma ubrań! — wykrzyknęła zaglądając do środka.

— I całe tuziny koszul — rzekła Flora wysuwając szuflady stojącej obok komody.

Przyniosły ze sobą pocztówki, na których wypisywały coś w czasie przeznaczonym na odrabianie lekcji. Niektóre z nich włożyły pomiędzy porządnie złożone koszule, a niektóre powpychały do kieszeni garniturów sędziego. Potem zeszły po schodach na dół do gabinetu i tam od razu wpadły im w oko dwie greckie wazy stojące na kominku.

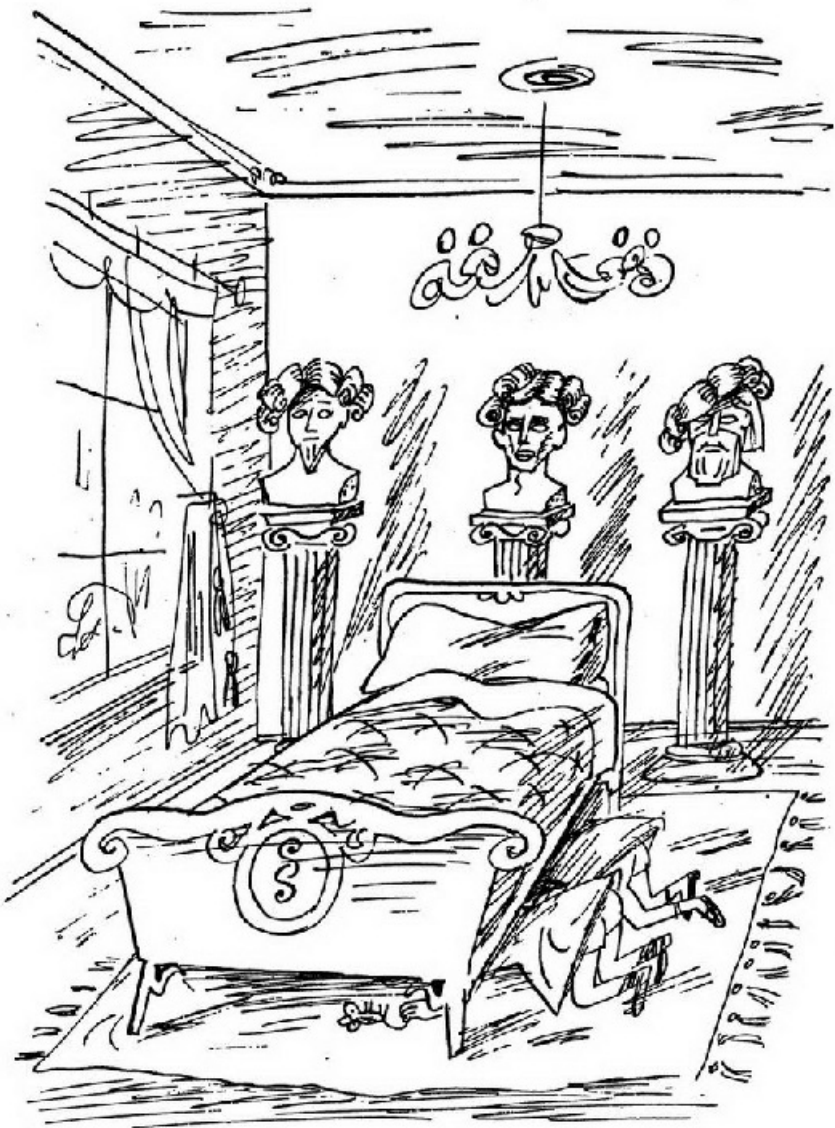
— Znakomite miejsce! — zawołała Dora, przysunęła krzeselko do kominka, wdrapała się na nie, odkorkowała butelkę, w której znajdowały się zdechłe węgorze, i do każdej wazy wrzuciła jednego.

— Okropny zapach! — zawołała Flora.

— Straszliwy! — przyznała Dora. — Jeśli nawet to nie zmusi go do zmiany decyzji, to już nic nie poradzimy!

— A jeszcze mamy przecież śmierdzące śledzie — przypomniała Flora.

— Schowamy je w jadalni. Pamiętasz obraz, który tam wisi, przedstawiający owce pasące się na wzgórzu? Zatkniemy za niego nasze śmierdzące śledzie.



Po dokonaniu tego dzieła uznały swoje zadanie za skończone i przez otwarte okno jadalni wyskoczyły na ulicę. Nie poszły jednak wprost do domu, ale skręciły do miasteczka, bo chciały zobaczyć się z Kasią Okruszek, córką piekarza. Obie dziewczynki bardzo Kasi nie lubiły i jeszcze dotąd nie mogły jej wybaczyć, że wtedy gdy tak dużo jadły i zrobiły się podobne do baloników, pokłuła je szpilkami. Ale teraz Kasia mogła im pomóc w ich planach, bo przepadała za robieniem złośliwych psot i figłów.

Kasia bardzo się zdziwiła i nawet zlekła, kiedy Dora i Flora przyszły do niej, mówiąc, że mają jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. A kiedy opowiedziały jej o wszystkim, czego dokonały, i wtajemniczyły w swe dalsze plany, blada twarzyczka Kasi poczerwieniała z zachwytu, a jej czarne oczy zabłyśły z podniecenia.

— Możecie polegać na mnie w zupełności — oświadczyła, gdy wysłuchała do końca ich opowieści. — Wszystkie dzieci w miasteczku robią, co ja im każę. A jeśli potem jeszcze sędzia nie zmieni swej decyzji, to będziecie mogły kłuć mnie szpilkami tak długo, jak się wam spodoba.

— Dziękuję ci — rzekła Dora z odrobiną wyniosłości w głosie — ale my nie mamy zwyczaju kłuć ludzi szpilkami.

Przez kilka następnych dni Dora i Flora niecierpliwie czekały na skutki tak starannie przygotowanej intrygi; wkrótce też doszły je pierwsze dobre wieści. Ci, co ostatnio widzieli sędziego Grzmota, utrzymywali, że ma bardzo nieszczęśliwą minę, a jego kucharka podobno skarżyła się, że całkowicie stracił apetyt.

Owego popołudnia, kiedy Dora i Flora ukryły zdechłe myszy, śledzie i węgorze w jego domu — sędzia, po skończonej partii golfa, rozsiadł się wygodnie w fotelu w swoim gabinecie, zapalił cygaro i już sięgał po książkę, którą zamierzał czytać, gdy nagle zdał sobie sprawę, że w pokoju coś bardzo nieprzyjemnie pachnie. Natychmiast zadzwonił na jedną ze swych pokojówek, a gdy przyszła, kazał jej pociągnąć nosem. Zrobiła to, co kazał, wyraz zdumienia odmalował się na jej twarzy i powiedziała:

— Czuję tylko zapach pańskiego cygara.

Wówczas sędzia znowu zadzwonił, a gdy przyszła druga pokojówka, też kazał jej pociągnąć nosem i powiedzieć, czy czuje jakiś zapach.

— Nie czuję nic — odparła — oprócz przyjemnego zapachu książek.

Sędzia zrobił się czerwony z gniewu i zadzwonił trzeci raz, a gdy przyszła kucharka, kazał jej obwąchać cały swój gabinet.

— Nic zupełnie nie czuję — oświadczyła — oprócz zapachu róż, które sama ścięłam i włożyłam do wazonu na biurku.

A mówiąc prawdę — każda z nich czuła dziwny, nieprzyjemny zapach panujący w pokoju, ale żadna nie chciała się do tego przyznać, bo wszystkie trzy ciężko pracowały starając się utrzymać cały domek sędziego w czystości; po prostu nie chciało im się wierzyć, że może się w nim znaleźć coś, co mogłoby tak brzydko pachnieć.

Sędzia został w pokoju sam i usiłował wytłumaczyć sobie, że ulega jakiemuś dziwnemu złudzeniu i że nic w jego gabinecie brzydko nie pachnie. Ale gdy następnego ranka udał się na śniadanie do jadalni, znowu zaczął pociągać nosem i wąchać i natychmiast wezwał do siebie kucharkę i obie panny służące.

— W tym pokoju także coś strasznie czuć. Jak się to stało? Jak mogłyście do tego dopuścić? — oświadczył z gniewem.

Kucharka i panny służące wyglądały czyściutko i schludnie w białych, świeżo wypranych fartuszkach i czepeczkach na głowie. Stwierdziły zgodnie, że w pokoju pachnie tak ładnie jak w ogrodzie pełnym kwiatów. Sędzia znowu dał się im przekonać, szybko skończył śniadanie i udał się do Sądu. Ale po drodze przez miasteczko co krok prawie natykał się na małego chłopca lub małą dziewczynkę, którzy widząc go, ostentacyjnie chwytały się za nosy i uciekali niby to w popłochu.

Tego wieczora zapach w gabinecie stał się jeszcze znacznie

gorszy, więc sędzia położył się wcześniej spać. Ale całą noc nie zmrzążył oka i od czasu do czasu pociągał tylko nosem i mruczał do siebie:

— To mi się tylko tak wydaje, to mi się tylko tak wydaje!

Rano zapach zdechłych myszy w sypialni był tak straszny, że sędzia zerwał się z łóżka i zaczął po całym pokoju szukać jego źródła. Nic jednak nie mógł znaleźć. Za to między czystymi koszulami w komodzie znalazł pocztówkę, na której widniał napis:

„CZY ZMIENIŁŚ DZIŚ SWOJĄ DECYZJĘ?”

Rozgniewało go to bardzo, a gdy zszedł do jadalni na śniadanie, opanowało go zdumienie jeszcze większe niż złość. W pokoju rozchodził się straszliwy zapach zepsutej ryby. Szybko sięgnął do kieszeni, chcąc zatkać nos chusteczką, gdy nagle wypadła z niej inna pocztówka z napisem:

„CZY ZMIENIŁŚ DZIŚ SWĄ DECYZJĘ?”

I znowu kiedy przechodził przez ulice miasteczka, co najmniej trzydziestu chłopców i tyleż dziewczynek zatykało na jego widok nosy i uciekało w popłochu, a dwukrotnie słyszał głos Kasi Okruszek, która głośno mówiła:

— On zmienia co dzień koszule, ale swojej decyzji nigdy nie chce zmienić!

I tak to trwało jeszcze przez kilka dni. Sędzia stawał się coraz bardziej i bardziej niespokojny, zdechłe myszy, węgorze i śledzie pachniały coraz okropniej i okropniej i choć kucharka i dwie pokojówki czyściły i pucowały cały dom od rana do zmierzchu — nic nie pomagało. Szukały wszędzie, gdzie tylko mogły, źródła tego zapachu, ale nigdy im nie przyszło do głowy zajrzeć do wnętrza greckiej wazy albo pod łóżko do sprężyn materaca, albo za obraz przedstawiający stado owiec na wzgórzu. Sędzia stracił całkowicie apetyt, schudł i snuł się po ulicach miasteczka ponury i posępny, a gdziekolwiek się ukazał, słyszał tajemnicze głosy:

— On zmienia co dzień koszule, ale nigdy nie zmienia decyzji!

I sam zaczął się poważnie zastanawiać, czy to właśnie nie jest istotnym powodem nieprzyjemnych zapachów panujących w jego domu.

Aż pewnej nocy nie mógł w ogóle zasnąć, bo w całym domu panował tak obrzydliwy zapach, że już w ogóle nie można było wytrzymać. Usiadł na łóżku, zapalił światło i spojrzął na zegarek. Była godzina czwarta rano.

„Niedługo już — pomyślał — będę musiał wstać, ubrać się i przejść przez ulice miasteczka i znowu wszystkie dzieci będą na mój widok zatykać nosy i uciekać”.

— Ach, co mam robić, co mam robić? — wykrzyknął głośno w rozpaczy. I nagle doszedł go jakiś tajemniczy głos:

— Zmień swą decyzję! Zmień swą decyzję! Zmień swą decyzję! — Sto pięćdziesiąt siedem razy powtórzył ów tajemniczy głos to zdanie, aż w końcu sędzia zawołał:

— No dobrze, dobrze! Zmienię swoją decyzję, ale tylko dlatego, że nie mogę dłużej już wytrzymać tego smrodu!

Zerwał się z łóżka, ubrał się jak najszybciej i poszedł prosto do więzienia, które znajdowało się na przeciwległym krańcu miasteczka.

Właśnie wschodziło słońce, gdy przechodził przez rynek, i okna domów połyskiwały w świetle poranka. Błękit nieba był niemal przezroczysty, jak delikatna filiżanka z chińskiej porcelany, a stadko obłoczków zatrzymało się nieruchomo nad rynkiem niby stadko owiec, które nagle przelękły się obcego psa. Sędzia Grzmot poczuł się szczęśliwy i radosny i biegł jak na skrzydłach, żeby wyzwolić z więzienia nieszczęsnych Członków Ławy Przysięgłych.

— Ach, jakże się oni ucieszą! — mrucał do siebie. — Na pewno, jak tylko się dowiedzą, że zmieniłem decyzję, krzykną trzy razy „wiwat” na moją cześć!

Dobiegł wreszcie zadyszany do więzienia i pociągnął za sznur wiszący przy bramie.

„Bim-bam-bum, bim-bam-bum” — zadzwieczał dzwon. Nikt się nie zjawił, żeby otworzyć bramę, więc znowu pociągnął za sznur i znowu dzwon zadzwonił.

Po chwili uchyliło się na górze jedno okienko, potem drugie i trzecie, i czwarte i wszyscy więźniowie wychylili na zewnątrz głowy, krzycząc:

— Kto tam tak hałasuje o tej porze?

— To ja! — zawołał sędzia. — Przyszedłem powiedzieć wam, że zmieniłem decyzję i że wszyscy możecie wracać do domu. Możecie natychmiast opuścić więzienie!

— Ani mi się śni iść do domu o tak wczesnej porze! — krzyknął na to pan Chmiel, rozwoziciel piwa. — Nikt mnie do tego nie zmusi!

— Czy nie wolno nam nawet wyspać się jak należy?! — wrzasnęła pani Żeberko i zatrasnęła z hukiem okno.

— Niech się panu nie zdaje, że ruszymy się stąd bez śniadania! — zawołał z oburzeniem pan Mieszanka i też zamknął okno tak gwałtownie, że aż szyby zadzwieczały.

Wyraz głębokiego smutku odmalował się na twarzy sędziego, ale postanowił uzbroidać się w cierpliwość. Siadł na trawie naprzeciw więziennej bramy, zapalił cygaro i zdecydował się czekać do dziewiątej rano, o której to godzinie podawano w więzieniu pierwsze śniadanie.

Kiedy tak siedział pogrążony w zadumie, wielki, piękny sokół przeciął lotem niebo, zawrócił łukiem i przez chwilę nad nim kołował, potem szybko odleciał w kierunku domu, w którym mieszkały Dora i Flora, i głośno zapukał dziobem w okno ich pokoju.

Obie dziewczynki natychmiast się obudziły i wpuściły go do środka.

— Zdaje się, że wasz plan się udał — rzekł Sokół, gdy tylko przywitał się z nimi. — Sędzia Grzmot siedzi pod murem więzienia, czekając, aż dozorca się obudzi i otworzy mu bramę.

— A więc zmienił wreszcie swą decyzję! — wykrzyknęła Dora.

— I profesor Corvo odzyska wolność! — zawołała Flora klaszcząc w ręce.

— Musimy natychmiast iść do domu sędziego — rzekła Dora — i zabrać stamtąd wszystkie zdechłe myszy, węgorze i śledzie, zanim on wróci. Spiesz się, Floro! Do widzenia, kochany Sokole! Dziękujemy ci za dobrą nowinę. Niedługo znów się zobaczymy.

Sokół odleciał do lasu, a Dora i Flora ubrały się i pośpieszyły skrótem przez pola do domu sędziego.

Zanim tam jeszcze dobiegły, zobaczyły kucharkę i dwie panny służące sędziemu, które szły w kierunku więzienia. I ze wszystkich domów też wychodzili pośpiesznie ludzie i wszyscy szli w tę samą stronę, bo dobra nowina o tym, że sędzia zmienił decyzję, rozeszła się szeroko i każdy chciał widzieć, jak Członkowie Ławy Przysięgłych zostaną wypuszczeni na wolność. W domu zostały tylko małe dzieci i ludzie chorzy.

Tak więc Dora i Flora mogły bez większych trudności dostać się przez okno do domu sędziego. Wyciągnęły zdechłe myszy ze sprężyn łóżka, węgorze z greckiej wazy i śledzie spod obrazu i szybko zakopały wszystko razem w klombie przed wejściem. Potem porządnie umyły ręce i pobiegły do więzienia.

Było jeszcze mnóstwo czasu, bo ławnicy wciąż jeszcze nie chcieli opuścić więzienia i czekali na śniadanie. Nie pozwolili nawet dozorczy, żeby im je podał o pół godziny wcześniej niż zwykle.

Dopiero więc o wpół do dziesiątej wyszli wszyscy razem przez bramę więzienną z niezwykle poważnymi i obrażonymi minami, a sędzia Grzmot wdrapał się na specjalnie przyniesione krzeselko i oświadczył bardzo grzecznie, że zmienił swoją decyzję i że Członkowie Ławy Przysięgłych zostają niniejszym zwolnieni z więzienia i mogą robić, co im się podoba — w granicach rozsądku oczywiście.

— W granicach rozsądku — powtórzył dobitnie, kończąc swoje przemówienie.

Każdy z Członków Ławy Przysięgłych chciał również wygłosić przemówienie na temat Wolności i Sprawiedliwości, i Prawa Angielskiego — ale pastor już uformował chór i zaintonował pieśń zwaną „Lilliburlero” Po czym wszyscy razem pomaszrowali w kierunku rynku, śpiewając wesołego „Marsza tureckiego” Mozarta. Policjant Gwizdź szedł z boku

maszerującej kolumny, wołając:

— Lewa, prawa, lewa, prawa! W nogę, w nogę!

A na rynku wszyscy zgromadzili się wokół pomnika królowej Wiktorii i śpiewali chórem rozmaite pieśni tak długo, aż zachrypli i nie mogli już dłużej śpiewać.

Jeden tylko profesor Corvo wiedział, jak ważną rolę odegrały Dora i Flora w całej akcji zwolnienia Członków Ławy Przysięgłych, i tak pięknie im za to podziękował, że wynagrodziło to w pełni obu dziewczynkom wszystkie poniesione trudy. Nie było im też ani trochę przykro, że nikt inny ze zwolnionych więźniów nawet się nie domyślał, komu naprawdę zawdzięcza wolność. Każdy twierdził, że to właśnie on złamał upór sędziego Grzmota, i nie miał najmniejszej ochoty na okazywanie komukolwiek jakiegokolwiek wdzięczności. Przyznać należy, że Kasia Okruszek wszystkim opowiadała, jak to Dora i Flora dzielnie ukryły w domu sędziego zdechłe myszy, węgorze i śledzie, i o tym, jak wszystkie dzieci zatykały sobie nosy na widok sędziego, ale Kasia znana była z tego, że zawsze strasznie kłamała, i nikt nigdy nie wierzył ani słowa w to, co mówiła. Tak więc, ze wszystkich dorosłych mieszkańców miasteczka, jeden tylko profesor Corvo znał całą najprawdziwszą prawdę.

I gdy po paru dniach Dora i Flora przyszły do niego na lekcje tańca, wygłosił do nich następujące przemówienie; — Gdybym jeszcze parę dni dłużej pozostał w więzieniu, to bym na pewno zwariował, a gdybym zwariował, to bym wyskoczył przez okno, a gdybym wyskoczył przez okno, to bym złamał kark, a gdybym złamał kark, to bym stracił życie. Lecz dzięki wam jestem zdrow i cały, i pełen życia, i skaczę, i śpiewam z radości. Kochana Doro, najmiłsza Floro — pamiętajcie, że gotów jestem zrobić dla was wszystko, że mam wobec was dług wdzięczności. A teraz zabierzmy się do naszej lekcji. Nauczę was wspaniałego tańca hiszpańskiego zwanego bolero. Tańcząc go, musicie być szybkie jak burza, leciutkie jak bańki mydlane i wesołe jak wróbelki. *Un, deux, trois!* hop, trala!

Profesor Corvo nigdy nie uczył ich żadnego z tych nudnych tańców, co to nie są niczym więcej jak chodzeniem tam i z powrotem do taktu. Uwielbiał stare tańce angielskie, i hiszpańskie, szkockie i polskie, francuskie i rosyjskie — pełne życia, a zarazem godne i wspaniałe. Wkładał w ich naukę mnóstwo zapału, i po trzech lub czterech lekcjach jego uczniowie byli tak wyczerpani, że rodzice musieli ich wysyłać na długi wypoczynek do miejscowości kuracyjnych. Ale Dora i Flora, które wtedy kiedy były kangurami, doskonale nauczyły się skakać, a teraz czuły się zdrowo i silnie, mogły tańczyć jeden taniec po drugim — hiszpańskie fandango, irlandzkiego dziga, matelota, mazura i polkę — bez najmniejszego zmęczenia.

Przepadały za lekcjami tańca z profesorem Corvo. I przez cały następny miesiąc żyły sobie bardzo przyjemnie. Mama pojechała na jakiś czas do Londynu, a panna Rozumek miała ciągle katar i siedziała całymi dniami zamknięta w swoim pokoju i kichała — mogły więc bez żadnych przeszkód spędzać po parę godzin dziennie w towarzystwie Pumi i Sokoła, którzy uczyli je, jak należy nic nie robić. Nicnierobienie bowiem jest znacznie trudniejsze, niż się to na pozór wydaje, i jedynie zwierzęta zgłębiły do dna tajniki tej umiejętności. Dora i Flora czyniły jednak szybkie postępy w swych studiach i w niedługim czasie umiały już prawie, prawie nic nie robić.

Wreszcie mama dziewczynek wróciła. Dora i Flora poszły po nią na stację, ale gdy ją tylko zobaczyły, od razu poznały, że jej coś dolega. Kiedy pociąg wjeżdżał na peron, pani Palfrey wychyliła się przez okno i jej długi sznur niebieskich i żółtych koralii zaplątał się wokół klamki drzwiczek wagonu. Wiele czasu upłynęło, zanim z pomocą konduktora i maszynisty pociągu udało się wreszcie rozwikłać zaplątane korale. A gdy tylko pociąg odjechał, okazało się, że pani Palfrey zostawiła w nim wszystkie bagaże z wyjątkiem jednej leciutkiej walizki, w której były same strusie pióra i która wcale do niej nie należała.

„Biedna mama!” — pomyślały dziewczynki. Zaprowadziły ją do domu i dały jej herbaty.

W domu mama powiedziała im, że bardzo się niepokoi, bo już od dawna nie miała listu od ojca. Starła się w Londynie uzyskać jakieś wiadomości o jego losie, ale nikt jej nie umiał powiedzieć, co się z nim dzieje.

— Nie zaznam chwili spokoju — mówiła — póki nie dostanę listu pisanego jego własną ręką, w którym donosi, że czuje się dobrze, jest bezpieczny i wraca do domu.

Dora i Flora często myślały o swym tatusiu, ale nigdy nie martwiły się jego losem. Uważały, że zawsze jakoś da sobie radę. Ale gdy zobaczyły, że mama bardzo się o niego niepokoi, same też się zaczęły niepokoić i odtąd co dzień ze wzrastającą niecierpliwością oczekiwały listonosza.

Pewnego dnia zobaczyły, jak szedł wolno w kierunku ich domu. Wybiegły naprzeciw i spotkały go, gdy stał przed furką, trzymając w ręku jeden jedyny list. Spojrzał na nie w jakiś dziwny sposób i wręczył list Dorze, nie odzywając się ani słowem, co było dosyć niezwykle, bo był to człowiek przyjacielski i bardzo rozmowny.

Koperta listu była wymięta i brudna, a w jej rogu widniała ciemnoczerwona plamka.

— To jest krew — powiedziała Dora.

— Poznając pismo tatusia — rzekła Flora.

— Ja też poznaję — powiedziała Dora i obie patrzyły z niepokojem na małą, czerwoną plamkę. Twarzyczki im zbladły i każda z nich słyszała, jak drugiej bije serce.

— Otworzę ten list — postanowiła Dora.

— Ale on jest do mamy.

— A jeśli to jakaś zła wiadomość? Mama może się rozchorować ze zmartwienia.

— Ale jeżeli to jest zła wiadomość, to i tak będziemy musiały jej o tym powiedzieć.

— Może uda nam się coś przedtem poradzić? — rzekła Dora i rozdarła kopertę.

List był krótki. Ojciec ich pisał:

„Chociaż to nie są dobre wiadomości, nie powinnaś się o mnie martwić. Trzy tygodnie temu dostałem się do niewoli i przebywam teraz w lochach zamku Bombardan. Czuję się dobrze i pewny jestem, że wkrótce zostanę zwolniony. Nie jest tu bardzo wygodnie, ale nikt mi nic złego nie robi. Najgorsze jest to, że zabroniono mi pisać i otrzymywać listy. Tę wiadomość przesyłam przez przyjaciela, który udaje się do Anglii i zgodził się z narażeniem życia zabrać mój list. Jeszcze raz proszę, żebyś się o mnie nie bała. Troszkę cierpliwości, a wszystko skończy się dobrze. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w momencie gdy mnie aresztowano, miałem na sobie zimową bieliznę, więc jest mi zupełnie ciepło, mimo że loch, w którym siedzę, nie jest ogrzewany”. Upłynęła długa chwila, zanim Dora i Flora były w stanie coś powiedzieć. Przeraziły się tym, co przeczytały, i ze zgrozą myślały o ojcu zamkniętym w zimnym lochu. Wyobraziły sobie panującą tam ciemność, spleśniałą, piwniczną woń, wilgoć ściekającą po kamiennych ścianach, wążutką smugę światła wdzierającą się przez zakratowane okienko wysoko w górze. Biedny tatuś i A jak dzielnie starał się zlekceważyć swoje cierpienie, by jedynie podnieść na duchu mamę! I zupełnie możliwe, że nawet go przykuto łańcuchem do ściany!

— Musimy go wyratować — rzekła nagle Dora.

— Ale on jest bardzo stąd daleko — powiedziała Flora.

— Bombardan jest stolicą Bombardii.

— Bombardia jest to kraj przemysłowy, którego głównymi produktami są instrumenty muzyczne, porcelana, hełmy wojskowe i piwo — rzekła Flora. — Panna Rozumek uczyła nas tego wszystkiego.

— Przecież nasz profesor Corvo pochodzi z Bombardii! — przypominała sobie Dora. — Poradzi nam, jak tam się dostać!

— Racja, zupełnie zapomniałam — rzekła Flora. — O, on na pewno nam pomoże. Jeszcześmy nigdy nikogo nie wyzwoliły z zamknięcia w lochu. Jego pomoc bardzo nam będzie potrzebna.

— Parę miesięcy temu ani nam się śniło wyzwalanie kogokolwiek skądokolwiek. Ale teraz nabrałyśmy już doświadczenia.

— Ale nie jeśli chodzi o lochy — rzekła Flora. — Lochy muszą być bardzo trudne. Może Pani Wiedźma zna się na wyzwalaniu z lochów?

— Może — powiedziała bez przekonania Dora. — Ale Pani Wiedźma nie bardzo lubi pomagać ludziom.

— Mogłaby nam dać butelkę jakiegoś płynu, który sprawiłby, że stałybyśmy się niewidzialne?

— Lecz gdybyśmy się obie stały niewidzialne, to jedna by nie mogła znaleźć drugiej i wszystko byłoby na mc — oświadczyła Dora. — A poza tym, co byśmy zrobiły z naszymi sukienkami? Czy one też by się stały niewidzialne, czy musiałybyśmy je przedtem zdjąć i pójść do strasznie zimnego lochu nie mając nic na sobie? I musiałybyśmy też wziąć ze sobą butelkę takiego płynu dla tatusia, żeby też się stał niewidzialny. A sama butelka nie mogłaby być niewidzialna, a gdyby mogła, to stałaby się niczym, a ze i ty byłabyś niczym, i ja tak samo, to nic by z tego me wyszło, butelka musiałaby być widzialna. I co by powiedzieli strażnicy pilnujący zamku, gdyby nagie zobaczyli samą butelkę lecącą w powietrzu?

— Pierwszy, który by ją spostrzegł, pomyślałby, że mu to się śni — rzekła Flora — albo udawałby, że nic me widzi, i nic by innym nie powiedział, bo Dałby się, że go wyśmieją. I tak samo drugi i trzeci. Każdy bałby się, że wszyscy będą się z niego śmieli, gdy nagle powie: „O, tam leci sama butelka w powietrzu!”

— A ja jestem pewna, że każdy od razu by się domyślił, co się stało — rzekła Dora. — Bo każdy człowiek chociaż raz w życiu marzy o tym, jak by to było śmiesznie, gdyby się nagie stał niewidzialny. I gdyby kilku strażników zobaczyło naraz butelkę lecącą w powietrzu, to zaraz by wykrzyknęli: „Ona nie może tak lecieć sama, musi ją nieść niewidzialny człowiek!” I zaczęliby strasznie zazdrościć, że ktoś inny jest niewidzialny, a nie oni, i biliby w powietrze swoimi strzelbami i mogliby uderzyć mnie albo ciebie.

— A czy jak się jest niewidzialnym, to czuje się bicie? — zapytała Flora.

— Może tak, a może nie — rzekła Dora. — Jeśli człowiek staje się tylko przezroczysty jak szkło, to chyba czuje. A jeśli się zmienia w coś takiego jak mgiełka, to chyba nie. Zdaje mi się jednak, że będziemy musiały wymyślić jakiś inny sposób uratowania ojca.

— Mówisz tak, bo nie masz ochoty stać się niewidzialną — powiedziała Flora czując się dotknięta tym, że Dora nie zgodziła się na jej pomysł.

— Chodźmy lepiej porozmawiać z panem Corvo — rzekła Dora stanowczo.

Flora dąsała się jeszcze chwilę i całą drogę kopała przed sobą okrągłą puszkę po soku pomarańczowym, która jej się nawinęła pod nogi.

Wchodząc do domu pana Corvo, minęły w drzwiach grubego chłopca i pyzată dziewczynkę, dyszących ciężko, zlanych potem i tak zmęczonych, że ledwo mogli chodzić. Pan profesor Corvo skończył właśnie z nimi lekcję kozaka.

Z głębi domu dochodziły dźwięki wesołej piosenki, śpiewanej przez profesora Corvo w jakimś obcym języku, do której sam sobie bardzo ładnie akompaniował na fortepianie. Gdy tylko ujrzał wchodzące dziewczynki, przestał grać i śpiewać, powitał je gorąco i niezwykle uprzejmie, zupełnie jakby były wykwinnymi damami, które przyszły złożyć mu oficjalną wizytę. Oczywiście były to tylko żarty z jego strony; wkrótce jednak spoważniał widząc, że Dora i Flora mają bardzo zasmucone miny, i, zapytał, co się stało i czy mógłby im pomóc. Dora bez słowa pokazała mu list.

Profesor Corvo przeczytał go raz i drugi bardzo uważnie, po czym rzekł:

— Ja sam urodziłem się w Bombardanie. Jest to piękne miasto i cała Bombardia jest bardzo piękna. Lecz cóż z tego! W moim kraju sprawuje teraz rządy człowiek niezwykle okrutny, tyran i satrapa, i wszyscy moi rodacy cierpią niesłychanie pod jego rządami. Obawiam się, że waszemu ojcu grozi wielkie niebezpieczeństwo.

— Chcemy go wyratować — rzekła Flora. Profesor Corvo uśmiechnął się tylko smutnie.

— To nie jest możliwe — powiedział. — W całej Bombardii wiele tysięcy ludzi siedzi zamkniętych w różnych więzieniach, a drugie tyle marzy o tym, żeby ich wyswobodzić. Te marzenia nigdy się nie spełniają. Więzienia są tam wielkie i potężne, straż więzienna — okrutna i przebiegła, a cały kraj rządzony jest bezlitosną, żelazną dłońią strasznego tyrana, księcia Hulagu. Niestety nic nie będziecie mogli pomóc swemu ojcu, moje drogie dzieci.

— A przecież pana samego wyswobodziłyśmy z więzienia, więc mamy już trochę praktyki — rzekła Dora.

— A Złotą Pumę i Srebrnego Sokoła wykradłyśmy z ogrodu zoologicznego wicehrabiego Marmolady — dodała Flora.

— Nie powinnaś o tym wspominać — powiedziała Dora marszcząc czoło.

— Dlaczego?

— Bo to jest sekret.

— Ale teraz już nie jest — rzekła Flora i opowiedziała panu Corvo całą historię o tym, jak stały się kangurami i mieszkały w Zoo.

Dora czuła się bardzo nieswojo, słuchając tej opowieści, bo uważała, że cała ta przygoda dotyczyła jedynie jej, Flory. Pumi i Sokoła — i nikt inny na świecie nie powinien o niej wiedzieć. A jeśli ktoś inny jeszcze dowie się o wszystkim, to w jakiś dziwny sposób pryśnie cały urok tej przygody. Wspaniale jest, jeśli ma się jakąś tajemnicę, ale jeśli ktoś niewtajemniczony o niej się dowiaduje, to wszystko na nic. „Flora — myślała sobie w duchu Dora — zepsuła wszystko”.

Ale czy rzeczywiście? Bo jak sama zauważyła, profesor Corvo bardzo się przejął opowiadaniem Flory. Z początku nie chciał po prostu wierzyć uszom. Potem zaczął słuchać z napiętą uwagą i bardzo poważną miną, marszcząc czoło i patrząc na Florę jasnym, pytającym wzrokiem. A gdy usłyszał wstrząsającą opowieść o śmierci pytona, klasnął w dłonie i wykonał solo taniec triumfalny plemienia Siuksów.

Jedno było pewne: opowiadanie Flory wywarło na profesorze Corvo głębokie wrażenie i Dora zdała sobie sprawę, że wywieranie jak najgłębszego na nim wrażenia jest jedyną drogą prowadzącą do zapewnienia sobie jego pomocy. Flora wiedziała więc dobrze, co robi wtajemniczając profesora Corvo w ich niezwykle przeżycia, i Dora słuchała teraz ze wzrastającym podziwem opowiadania swej siostrzyczki.

A gdy opowieść dobiegła końca, profesor Corvo zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, nie mówiąc ni słowa. Wreszcie zatrzymał się i rzekł:

— Kiedy byłem małym chłopcem, często słyszałem opowiadania o ludziach, którzy zamieniali się w zwierzęta. Na wsi opowiadano, że niektórzy bardzo źli ludzie zamieniali się w wilki w czasie pełni miesiąca i uciekali do lasu. Opowiadano też o starych kobietach, które zmieniają się we wrony, żeby podsłuchiwać, co ludzie o nich mówią. A mój brat, który uciekł z domu na morze, opowiadał, gdy wrócił po wielu latach, o wielkich ptakach towarzyszących okrętom pływającym z dala od lądu. Ptaki te, jak sam mówił, są w rzeczywistości duszami zatopionych marynarzy i lecą za okrętem, żeby przekonać się, czy młodzi marynarze są tak samo dzielni, jak oni kiedyś byli, i czy umieją tak odważnie stawić czoło wichrom i burzom, jak oni kiedyś umieli. Zapomniałem zupełnie o tych opowieściach — mówił profesor Corvo. — I dopiero gdy dowiedziałem się, że ostatnio byłyście kangurami, wiele, wiele mi się przypomniało. Jestem teraz tak samo skromny i nieśmiały jak wtedy, kiedy byłem małym chłopcem; ale czuję w sobie moc i potęgę, bo być może prawdą jest, jak wtedy uważałem to za prawdę, że nie ma na świecie niczego niemożliwego!

I profesor Corvo zgrabnie wykonał kilka dalszych „pas” triumfalnego tańca.

— A więc pomoże nam pan dostać się do Bombardii i wyratować ojca? — spytała Flora.

— To będzie bardzo trudne i niebezpieczne — powiedział. — Och, jak trudne! Ach, jak niebezpieczne!

— Gdy wyratowałyśmy pana z więzienia, mówił pan, że ma pan wobec nas dług wdzięczności — rzekła cichutko Dora.

Profesor Corvo zatrzymał się na środku pokoju i stał tak chwilę bez ruchu. Potem umieścił lewą rękę na sercu — a raczej na tym kawałku żółtej kamizelki, który znajdował się najbliżej serca — wznosił drugą dłoń do góry i wskazując na sufit, rzekł drżącym ze wzruszenia głosem:

— I teraz spłacę mój dług! Słuchajcie uważnie, a powiem wam, jak dostaniemy się do Bombardii i wędzemy choćby nawet do samego zamku Bombardan, w którym żyje okrutny tyran, książę Hulagu!

Książę Hulagu ział nienawiścią do wszystkich narodów świata, oprócz swego własnego, którym za to pogardzał. A pogardzał nim z dwóch powodów. Po pierwsze — dlatego, że jego współziomkowie nie poznali się w czas na tym, że jest zły i przebiegły, a po drugie — bo nigdy nie wpadło im do głowy, jak łatwo mogliby się go pozbyć, gdy już stał się tyranem Bombardii, i pozwalali mu rządzić sobą w sposób okrutny i podstępny.

Nienawidził Anglii i Francji, i Rosji, i Ameryki, i Polski, i Holandii, i Włoch, i Hiszpanii, i Szwecji, i Szwajcarii, i Turcji, i Chin, ale mimo to kupował angielskie buldogi, francuskie wina, rosyjski kawior, amerykańskie samochody, polskie wędliny, holenderskie tulipany, włoskie lody, hiszpańskie sombrero, szwedzkie zapalki, szwajcarskie sery, tureckie makagigi, chińskie lampiony i co tylko mógł gdziekolwiek kupić. Bo był szalenie bogaty i chciał wszystko mieć.

Właśnie ostatnio postanowił zmienić umeblowanie w całym swoim zamku, od strychu do piwnic — z wyjątkiem oczywiście lochów — i dowiedział się, że podupadły hrabia Głodomór, który bardzo potrzebował pieniędzy i mieszkał niedaleko miasteczka Harmider, chce sprzedać całe urządzenie swojego pałacu. Więc natychmiast przysłał mu telegram, w którym oświadczył, że wszystko chce kupić. Hrabia Głodomór od razu się na to zgodził i w tydzień później przyjechał do miasteczka specjalny wysłannik księcia Hulagu, zapłacił osiemdziesiąt pięć tysięcy czterysta siedemdziesiąt jeden funtów, sześć szylingów i dziewięć pensów hrabiemu Głodomorowi za meble, dywany, obrazy i srebro z jego pałacu i teraz pakował to wszystko w skrzynie, żeby wysłać do Bombardii.

Wysłannikiem tym był profesor Morvo. Profesor Morvo i profesor Corvo znali się doskonale, bo kiedy byli jeszcze dziećmi, mieszkali w tym samym domu obok siebie. Toteż nic dziwnego, że jak tylko profesor Morvo przyjechał do miasteczka, zaraz przyszedł odwiedzić profesora Corvo, żeby opowiedzieć mu ostatnie nowiny z Bombardii.

Wszystko to właśnie profesor Corvo wytłumaczył Dorze i Florze, po czym dodał:

— Niebawem mój przyjaciel wraca do Bombardii, zabierając ze sobą krzesła, stoły, komody, szafy, obrazy i wszystko, co dotąd należało do hrabiego Głodomora. Zapakuje to w pięć ogromnych jak domy skrzyń, które załaduje na pięć ogromnych wagonów towarowych. Skrzynie te są tak wielkie, że na pewno znajdzie się w nich miejsce dla mnie i dla was i będziemy się mogli w nich ukryć. W ten sposób razem ze wszystkimi meblami dostaniemy się do zamku księcia Hulagu. A gdy już tam będziemy, to na pewno coś wymyślicie, żeby wyzwolić waszego tatusia z lochu, tak jak wymyśliście, żeby uwolnić mnie z więzienia, a Złotą Pumę i Srebrnego Sokoła z Zoo. Nie pytajcie mnie, co macie robić. To należy do was. Powiem wam tylko, że kiedy wszystkie meble zostaną już wyładowane, profesor Morvo odeśle te wielkie skrzynie z powrotem do Anglii i na każdej z nich przylepi ogromny napis: „PUSTE. ZWRÓCIĆ WŁAŚCICIELOWI”. Ale one nie będą puste. W jednej z nich, jak wszystko pójdzie dobrze, ukryjecie się wy, wasz tatuś i ja!

— Wydaje mi się, że to nam bardzo łatwo pójdzie — rzekła Flora. — To będzie znacznie łatwiejsze, niż wszystko, co dotąd zrobiliśmy.

— O, nie, nie! — powiedział profesor Corvo. — Nie oszukujmy się! Zrobię, co będzie w mojej mocy, żeby mój przyjaciel profesor Morvo zgodził się nam pomóc — ale to jeszcze nie wszystko! Dostaniemy się do Bombardii — znakomicie! Uda nam się wdrzeć do zamku — wspaniale! Ale jak wyratować waszego ojca z lochu? Jak wydostać się z powrotem z zamku? To będzie bardzo trudne i poważnie będziecie się musiały zastanowić, jak to zrobić!

— Czego profesorem jest profesor Morvo? — zapytała Dora.

— Profesorem Wrózenia z Ręki — rzekł profesor Corvo. — Wygląda przy tym zupełnie jak żaba.

— Czy to znaczy, że przepowiada przyszłość?

— Tak. Z linii na dłoniach — powiedział profesor Corvo. — Moim zdaniem, to zupełnie nie ma sensu, ale nasz tyran, książę Hulagu, wierzy w to święcie i profesor Morvo cieszy się jego bezgranicznym zaufaniem.

— A czy sam profesor Morvo wierzy w tę przyszłość, którą przepowiada?

— Byłoby bardzo nieuprzejmie pytać go o to — rzekł profesor Corvo. — A poza tym, muszę was ostrzec, że profesor Morvo mógłby się rozplakać, gdybyście go o to zapytały. On bardzo łatwo płacze. Pierwszy raz rozplakał się, kiedy był jeszcze małym chłopcem i zobaczył w lustrze, że wygląda zupełnie jak żaba. Jego rodzice tłumaczyli mu, że wygląda jak żaba właśnie dlatego, że tak dużo płacze. Ale on twierdził, że wyglądał jak żaba jeszcze przedtem, nim zaczął płakać. Bardzo smutna historia. A teraz idźcie przygotować się do naszej wyprawy, a ja siądę i napiszę list do profesora Morvo.

Następnego dnia Dora poszła zobaczyć się z Panią Wiedźmą. Flora błagała, żeby ją ze sobą zabrała, ale Dora po głębokim namyśle odmówiła stanowczo. Z Panią Wiedźmą, twierdziła Dora, trzeba bardzo ostrożnie postępować, bo łatwo może się obrazić. A na pewno jeszcze łatwiej może się obrazić, gdy zobaczy kogoś obcego. To była najzupełniejsza prawda, ale Dora nie chciała się zgodzić na zabranie ze sobą Flory jeszcze z dwóch innych powodów, których nie wyjawiała. Przede wszystkim bała się, że Flora nie będzie umiała powstrzymać śmiechu, gdy zobaczy Panią Wiedźmę. Bo Pani Wiedźma miała dziwny sposób mówienia. Najpierw zamykała lewe oko i mówiła prawą stroną ust, a po pewnym czasie zamykała prawe oko i mówiła lewą stroną ust. Twierdziła, że w ten sposób mniej się męczy jej twarz, bo kiedy jedna jej połowa się rusza — druga wypoczywa. Ludzie, którzy nie byli do tego przyzwyczajeni, łatwo mogli się roześmiać widząc przemawiającą Panią Wiedźmę. A Flora śmiała się bardzo łatwo.

Ale Dora powinna się wstydzić drugiego powodu, dla którego nie pozwoliła Florze pójść do Pani Wiedźmy. Dora była strasznie dumna z tego, że jest z Panią Wiedźmą w zażyłych stosunkach, i nie chciała, żeby jeszcze ktoś inny z nią się przyjaźnił. Zdawała sobie sprawę, że było to bardzo samolubne i nieładne — mimo to jednak nie mogła się tak od razu zmienić. Obiecała tylko Florze, że zabierze ją do Pani Wiedźmy zaraz po powrocie z wyprawy do Bombardii.

— Święcie ci to przyrzekam — zapewniła Florę. — I obiecuję też, że zapytam ją, czy ma jakiś płyn, przy pomocy którego można stać się niewidzialnym.

Flora długo i cierpliwie czekała na powrót Dory. Wreszcie Dora wróciła, ale nie była ucieszona rezultatem swej wizyty.

— Pani Wiedźma była bardzo niezadowolona, kiedy mnie ujrzała — zaczęła opowiadać — a gdy ją zapytałam, czy zna jakiś sposób na to, żeby stać się niewidzialnym, powiedziała, że zna tylko jeden: trzeba zdjąć ze siebie całą skórę, odwrócić na lewą stronę i założyć z powrotem.

— I nic więcej ci nie powiedziała? — zapytała Flora.

— Zjadła obiad i poszła spać — mówiła dalej Dora. — Po godzinie obudziłam ją w ten sposób, że łechtalam się w nos trawką tak długo, aż trzy razy kichnęłam. Pani Wiedźma obudziła się i opowiedziałam jej wtedy wszystko o tatusiu. Ale nie wiem, czy słuchała, bo kiedy skończyłam, otworzyła jedno oko i spytała, czego ja chcę. Więc poprosiłam ją, żeby nam pomogła uwolnić tatusia z lochu, a wtedy strasznie się rozżłościła i powiedziała, że każdy powinien radzić sobie sam, a nie przychodzić do starej kobiety, która ma dziewięćdziesiąt osiem lat, i zawracać jej głowę. W końcu jednak zrobiło jej się żal naszego tatusia i powiedziała tak: „Dam ci dwie rzeczy: dobrą radę i mały woreczek, w którym coś będzie. Moja rada jest następująca:

Pamiętaj, że miód
 Jest słodszy niż lód,
 I czerwień się, kiedy się wstydzisz —
 Od śpiących w dzień sów
 Ucz czujnych się snów
 I zawsze patrz dalej, niż widzisz!
 Ćwicz rozum, lecz różg
 Nie stosuj na mózg
 I czerwień się, kiedy się wstydzisz —
 Wytężaj w przód wzrok,
 Lecz czasem spójrz w bok
 I zawsze patrz dalej, niż widzisz!
 W ogródku swym piel,
 Łóżeczko swe ściel
 I czerwień się, kiedy się wstydzisz —
 Lecz tęsknij do mórz
 Dalekich i wzgórz

I zawsze patrz dalej, niż widzisz!
Gdyś upadł na grzbiet,
Sam podnoś się wnet
I czerwień się, kiedy się wstydzisz —
Od młodych swych lat
Goń prawdę, co świat
Skrzył dalej i dalej,
I jeszcze wciąż dalej, niż widzisz!”

— Czy rozumiesz, co to znaczy? — zapytała Flora.

— Niezupełnie — rzekła Dora. — W każdym razie wydaje mi się, że dobra rada nigdy nie jest tak pomocna, jak myślą ci, którzy jej udzielają. Dobra rada nigdy ci nie powie, co masz zrobić, a tylko zmusza do myślenia i zastanawiania się. A to jest okropnie nudne.

— Nie lubię dobrych rad — powiedziała Flora. — A gdzie jest ten woreczek, który ci dała? I na co on może nam się przydać?

— Zostawiłam go w ogrodzie, bo on strasznie dziwnie pachnie. I prawdę mówiąc, nie wiem, na co nam się przyda. Ale Pani Wiedźma powiedziała mi, że dziś po podwieczorku musimy natrzeć nim bardzo dokładnie ziemię wokół naszego domu.

— Ale po co?

— Nie wiem — rzekła Dora. — Pani Wiedźma powiedziała, że będzie nam potrzebny w naszej wyprawie silny i dzielny przyjaciel i że to, co jest w tym woreczku, zapewni mu całkowicie bezpieczeństwo.

— I nic ci więcej nie powiedziała?

— Już kiedy odchodziłam, zawołała mnie i wyszeptala do ucha: „Złotej Pumie grozi niebezpieczeństwo. Zabiła już jedno prosię, dwie owce i cielątko. Ludzie postanowili zemścić się za to i urządzają specjalne polowanie z psami. Jeśli ty i twoja siostra pomożecie jej umknąć, stanie się jeszcze wierniejszą waszą przyjaciółką niż obecnie. Pamiętaj o tym i nie zwracaj mi już głowy, bo jestem stara i zmęczona i chcę mieć spokój”.

— To bardzo źle, że Puma tyle już zwierząt nazabijała — rzekła Flora. — Ona wprawdzie uważa, że ma takie samo prawo to robić, jak ludzie, i że te zwierzęta tak samo należą do niej, jak i do nich — ale to bardzo niedobrze. Chyba jej nie złapią, prawda?

— Mam nadzieję, że nie.

— Nikt jej nie dogoni. Nawet najszybszy koń albo pies.

— Tu, w okolicy, ludzie trzymają całe sfory psów — rzekła Dora. — Kapitan Bilbo ma specjalne psy myśliwskie, wyżły, a pan Hag psy gończe. A poza tym są całe setki terierów i seterów, i owczarków, i buldogów, i pudli. Jeśli te wszystkie psy razem będą ją goniły, to nie wiem, czy uda jej się wymknąć. Biedna Puma! To nasza wina, że grozi jej teraz niebezpieczeństwo, bo to my wypuściliśmy ją z Zoo. Bardzo się o nią niepokoję!

— Sokół jej na pewno pomoże i ostrzeże o niebezpieczeństwie — pocieszała ją Flora.

Po zjedzeniu podwieczorku dziewczynki wzięły ze sobą woreczek, który zawierał coś, co tak dziwnie i mocno pachniało, i nacierając nim ziemię, okrążyły dokoła cały dom i ogród. Zabrało im to bardzo dużo czasu i później niż zwykle poszły do łóżek.

Ale nim jeszcze zdążyły zasnąć, usłyszały trzepot skrzydeł Sokola, który siadł na otwartym oknie i wzywał je. Flora szybko zerwała się z łóżka, odchyliła zasłonę i wpuściła go do środka. Razem z nim wtargnął do pokoju księżyc, nasycając blaskiem srebrne piórka Sokola.

— Złota Puma jest w niebezpieczeństwie — rzekł Sokół. — Dziś wieczór urządzono polowanie i otoczono cały las. W pościgu biorą udział setki psów i ludzie na koniach ze strzelbami. Widziałem to wszystko, gdy wzbiłem się wysoko w powietrze, i w czas ostrzegłem Pumę. A ona prosiła mnie, żebym do was poleciał i zapytał, czy może się tu schronić.

— Naturalnie! — zawołały razem Dora i Flora.

— Słuchajcie! — rzekł Sokół. — Słuchać już wrzawę polowania.

Wśród cichej, księżycowej nocy dochodził jeszcze z dala chór szczekających psów. Brzmiało w nim podniecenie, dzikość i okrucieństwo — aż Dorze serce zaczęło bić mocniej i szybciej, a Flora dostała gęsiej skórki, zupełnie jakby ją nagle przewiał zimny wiatr.

— Szybko! — zawołał Sokół. — Zejdźcie na dół i otwórzcie drzwi, ale tak cicho, żeby nikt nie mógł słyszeć.

Zbiegły ze schodów, otworzyły drzwi wejściowe z klucza i uchylły je delikatnie. Troszkę niespokojnie spojrzały w głąb pustego, mrocznego ogrodu. Szczekanie psów słychać było teraz znacznie wyraźniej. Pogoń się zbliżała.

Nagle, szybko i bezszelestnie, gibki cień smyrgnął przez trawnik i w drzwiach ukazała się zdyszana Puma.

— Czy dacie mi schronienie? — zapytała cicho.

— Tak, tak — szepnęły dziewczynki.

— Gdzie mam się ukryć?,

— W naszym pokoju — rzekła Flora i zaprowadziła Pumę na górę, podczas gdy Dora zamykała i ryglowała drzwi.

— Teraz jesteś już bezpieczna — powiedziała, a właśnie gdy to mówiła, dał się słyszeć głośny wrzask zbliżającej się pogoni, gwałtowny i okrutny.

Ten hałas dochodził od tyłu domu, a po chwili taki sam: hałas dał się słyszeć od frontu. Noc wypełniło ujadanie psów. Było to szczekanie i wycie, skomlenie i sapanie, i warczenie cienkie i grube, piskliwe i dudniące, jednostajne i urywane jak kaszel, i śmiech, i płacz, i chichot, i jęk. Coś okropnego.

— Gdy tu biegłam, zatrzymał mnie nagle dziwny i ostry zapach — mówiła Puma. — Nie wiedziałam, co to jest. Zupełnie jakby jakiś mur zapachu!

— Pani Wiedźma dała nam woreczek — tłumaczyła Dora — w którym było coś, co bardzo mocno pachniało, i kazała nam natrzeć tym woreczkiem ziemię wokół naszego domu. Nie wiedziałyśmy po co, ale zrobiłyśmy, jak kazała.

— Czy zrobiłyście to dokładnie? Nie zostawiłyście żadnych luk? — dopytywała się Puma.

— Absolutnie dokładnie — zapewniła ją Dora,

— Spójrz, jak się podrapaliśmy w krzakach — rzekła Flora.

— Ten zapach zatrzyma pogoń! — powiedział Sokół.

— Miejmy nadzieję — szepnęła Puma. Podniosła się z dywanu i zaczęła krążyć po pokoju. Sierść na jej karku nastroszyła się, oczy jej błyszczały.

Tymczasem setki psów otoczyły dom, a ich straszliwe ujadanie dochodziło ze wszystkich stron. Można było już odróżnić ich poszczególne głosy — niektóre grube, niektóre cienkie, jeden gardłowy i potężny jak syrena okrętowa, inny przeciągły jak wycie wilka, który wpadł w pułapkę. I prawdę mówiąc, wszystkie te psy dostały się w rodzaj pułapki.

Bo gdy natrafiły węchem na zapach, który otaczał dom, zaczęły biec za tym zapachem, wężąc uparcie, jakby ich nosy przykleiły się do niego. I zaczęły biec za nim i biec wokół domu raz i dwa, i trzy: sfera foksterierów lorda Livery i sfera pekińczyków barona Vortixa i spanieli pułkownika Bluta i wiele, wiele innych. Ludzie na koniach, którzy cwałowali za psami, też zaczęli krążyć wokół domu, ale szybko zorientowali się, że psy zmyliły trop. Zaczęli więc wołać na nie i grozić im, i bić je — ale na nic to się nie zdało i psy, z przytkniętymi do ziemi nosami, biegały w kółko i w kółko, drżąc z podniecenia i ochoty i myśląc, że są coraz bliżej i bliżej tropionej zwierzyny. W końcu nadbiegły psy gończe kapitana Bilbo i wyżyły pana Haga, które polują wprawdzie wolniej niż inne psy, ale za to skuteczniej, bo rozważniej. Gdy wywęszyły biegnący wokół domu trop, pobiegły za nim, ale w przeciwnym kierunku niż wszystkie pekińczyki i spaniele, foksteriery i pudle. Katastrofa była nieunikniona. Dwie osobne gromady psów wpadły na siebie, depcząc się i gryząc, i kłębiąc, i ludzie na koniach też na siebie powpadali. Zapanował zgiew i wrzask, i hałas, i tumult zupełnie niesłychany.

Dora i Flora przyglądały się z okna temu widowisku w towarzystwie Sokoła, który siadł na otwartym oknie, i Pumi, która wspięła się na tylne łapy, a przednie oparła między Dorą i Florą. Noc była jasna i wszystko było dokładnie widać.

Wkrótce na pobojuwisku zostało tylko czterdzieści psów, które wciąż jeszcze walczyły ze sobą — reszta zaś rozpierzchła się po okolicznych polach, staczając osobne potyczki, goniąc się wzajemnie i uciekając.

— Jak to dobrze, że mama pojechała do Londynu! — powiedziała Dora. — Strasznie by ją to wszystko zdenerwowało!

— Ciekawa jestem, czy panna Rozumek bardzo się przejęła — zastanawiała się Flora. — Na pewno schowała głowę pod poduszkę!

Ale panna Rozumek, choć przeraziła się jak jeszcze nigdy w życiu, nie straciła przytomności umysłu. Zatelefonowała do policjanta Gwiżdż i powiedziała mu, że wszystkie psy z całego powiatu oszalały i gonią się wokół domu i że ich panowie też oszaleli i biją się między sobą.

Policjant Gwiżdż miał głęboko zakorzenione poczucie obowiązku i jasny umysł. Natychmiast udał się do remizy straży ogniowej, obudził komendanta i kazał mu przyszykować największą pompę strażacką.

Dora i Flora z daleka już usłyszały dźwięk jej dzwonu, ale Sokół pierwszy ją dostrzegł, jak pędziła drogą w kierunku ich domu.

Wreszcie pompa strażacka zatrzymała się, policjant Gwiżdż szybko rozwinął wąż, komendant straży pompował wodę i wkrótce silny strumień runął na walczące jeszcze psy, wywracając je na ziemię. Z piskiem i skomleniem rozbiegły się do domów z podwiniętymi ogonami. Ich panowie, którzy wciąż jeszcze kłócili się i poszturchiwali między sobą, też zostali zmoczeni do nitki i wkrótce również się rozpierzchli. Wówczas policjant Gwiżdż zawołał z triumfem:



— Wygraliśmy tę bitwę! Ja, policjant, i ty, strażak, jesteście dzielnymi i nieustraszonymi ludźmi! Chwała nam! .
Zwinęli strażackiego węża, i odjechali do miasteczka bardzo z siebie zadowoleni, dzwoniąc głośno wśród nocy wielkim dzwonem strażackiej pompy.

Następnego dnia Dora wstała wcześniej rano, żeby wypuścić Złotą Pumę, która spała na dywaniku przed kominkiem.

— Tylko nie oddalaj się zbyt — ostrzegła ją.

— Może lepiej by było, gdybym w ogóle stąd zniknęła? — rzekła Puma poważnie. — Może lepiej by było, gdybyście mnie już nigdy nie zobaczyły? Sprawiam wam i wszystkim wiele kłopotu i zmartwienia.

— Znacznie bardziej martwiłaby nas myśl, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo, a my nic nie możemy na to pomóc — odparła Dora.

— Pożegnajmy się lepiej na zawsze — mówiła dalej Puma. — Może znajdę gdzieś w Anglii jakieś miejsce, gdzie mogłabym mieć więcej swobody niż tu, gdzie mogłabym polować, aby zdobyć żywność dla siebie, bez obawy, że będę ciągle tropiona przez psy i ludzi?

— W Anglii nie znajdziesz takiego miejsca — rzekła Dora. — A poza tym są jeszcze inne sprawy, nad którymi musimy razem pomyśleć. Czy nie zastanawiało cię to, że Pani Wiedźma z góry wiedziała o grożącym ci niebezpieczeństwie? I o tym, że będzie ci potrzebna nasza pomoc? Dlatego właśnie dała mi ten woreczek.

— Ona jest bardzo przewidująca.

— Ale ja poszłam do Pani Wiedźmy prosić ją, żeby pomogła nam, a nie tobie. Żeby pomogła mnie, Florze i panu Corvo uratować mojego ojca, który siedzi zamknięty w lochu.

— Opowiadałaś mi o tym — rzekła Puma — i nie myśl, że o tym zapomniałam. Sama kiedyś byłam zamknięta w klatce.

— Tak, ty wiesz, co to jest niewola — powiedziała Dora. — Ale nad jednym musimy się zastanowić: czy Pani Wiedźma chciała nam pomóc w uwolnieniu tatusia w ten sposób, że przedtem pomogła nam pomóc tobie, żebyś ty nam potem mogła w zamian pomóc? Rozumiesz, o co chodzi?

— Doskonale rozumiem — rzekła Puma. — Lecz jak ja wam mogę pomóc, gdy sprawiam wam tylko same kłopoty?

— Jesteś bardzo silna i zręczna i umiesz walczyć. A gdy znajdziemy się już w zamku księcia Hulagu, na pewno będziemy musieli stoczyć walkę.

— Będę tam z wami! — wykrzyknęła Puma.

— Nie powinnam cię o to prosić — rzekła Dora — bo to bardzo niebezpieczna wyprawa.

— Ofiarowałyście mi wolność — powiedziała Puma — jestem waszym wiernym i wdzięcznym przyjacielem. Dzięki wam nie zostałam wczoraj rozszarpana przez psy. Uratowałyście mi życie i dlatego należy ono do was. Tu, gdzie teraz jestem, grozi mi niebezpieczeństwo, może nawet większe. Zamienię więc tylko jedno niebezpieczeństwo na drugie... O, spójrz tam wysoko! Nie, nie tu, bardziej na lewo, gdzie ta chmura oświetlona przez słońce. Tam szybuje Sokół, Niech on też się z nami wybierze. Na pewno zwyciężymy, gdy będziemy się trzymać razem i wzajem siebie wspierać! . Dora pochyliła się i objęła Pumę za szyję.

— Kochana Pumo! — wykrzyknęła. — Jak mam ci za to dziękować?

— Nie potrzebujesz mi dziękować. Jesteśmy przyjaciółmi i to wystarcza — powiedziała Puma. Jednym susem przesadziła trawnik, skoczyła przez żywopłot i pobiegła na pole, nad którym kołował czekający na nią Sokół.

Dora wróciła do pokoju, obudziła Florę i powiedziała jej, jakich to potężnych będą miały sprzymierzeńców w swej niebezpiecznej wyprawie.

W trzy dni później Dora i Flora otrzymały od profesora Corvo pocztówkę następującej treści:

„Bądźcie u mnie dziś po południu. Zapadły poważne decyzje, o których dowiecie się na miejscu”.

Te pełne powagi słowa wywarły na dziewczynkach głębokie wrażenie, ale jeszcze bardziej były zdumione, gdy przybywszy po południu do profesora Corvo zastały go, jak spacerował tam i z powrotem po obszernej sali, gdzie odbywały się lekcje tańca, ubrany w zielony kapelusz z piórkiem, podpierając się grubą laską.

— Siadajcie i patrzcie — powiedział, gdy tylko ujrzał wchodzące dziewczynki. I dalej zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, udając, że niby spotyka znajomych, którym kłania się uprzejmie kapeluszem...

Nagle straszonym głosem wykrzyknął:

— A ty nikczemniku, wybiła twoja ostatnia godzina! — i wyciągnął z laski, niby z pochwy szabli, długą, cienką szpadę i przeszył nią niewidzialnego wroga.

Koniec szpady utknął w wiszącym na ścianie obrazie przedstawiającym wazon z kwiatami i przez jeden króciutki moment Dora myślała, że woda wytryśnie z przedziurawionego wazonu. Była troszkę rozczarowana, że to się nie stało. Flora zaś zapytała bardzo grzecznie:

— Kto jest tym nikczemnikiem, panie profesorze?

— Spotkamy ich wielu w Bombardii — odparł profesor Corvo.

I dalej kontynuował rozpoczęty pokaz fechtunku, udając, że przeszywa jednego po drugim niewidzialnych wrogów. Gdy już pokonał ich z pół tuzina, kłując ściany, drąc portrety i firanki wiszące w pokoju, odrzucił szpadę i wykrzyknął:

— Myślicie pewnie, że jestem teraz bezbronny? Otóż nic podobnego!

I z kieszeni kamizelki wyciągnął wieczne pióro.

— O, jakie ładne pióro! — zawołała Dora.

— Czy to tym piórem napisał pan do nas pocztówkę? — spytała Flora.

Profesor Corvo uśmiechnął się z dumą i rzekł:

— To pióro nie jest wypełnione atramentem, lecz straszliwą trucizną! Nie dotykajcie go, gdyż jego stalówka niesie śmierć!

Dziewczynki przeraziły się nie na żarty.

— Czy pan myśli, że będziemy musieli tam ciągle z kimś walczyć? — zapytała Flora.

— Trzeba być na wszystko przygotowanym — rzekł poważnie profesor Corvo.

— To ucieszy się pan pewnie, że Puma jedzie razem z nami! Pan wie, ta Złota Puma, którą uwolniłyśmy z Zoo.

— Nigdy jeszcze nie podróżowałem w towarzystwie pum — rzekł profesor Corvo. — To może być bardzo interesujące.

— Kiedy wyjeżdżamy? — zapytała Flora.

— Już bardzo niedługo.

— A czy profesor Morvo pozwoli nam jechać w jednym ze swych wagonów z meblami?

— Profesor Morvo jest moim wielkim przyjacielem — rzekł profesor Corvo. — Byłem pewny, że zgodzi się zabrać nas ze sobą, i nie omyliłem się. Opowiedziałem mu o was, a gdy wymieniłem nazwisko waszego ojca, wykrzyknął: „Zrobię wszystko, co w mej mocy, dla dzielnego majora Palfreya! Przywiozłem do Anglii list od niego, który przesłałem jego żonie! Major Palfrey jest moim drogim przyjacielem. I opowiedział mi, że wasz tatuś uratował mu życie i jak to się stało. Otóż kiedyś wyróżył z ręki jakiegoś człowiekowi, że uda się on niebawem w daleką podróż samolotem. Człowiek ten strasznie bał się lecieć samolotem, wpadł we wściekłość i zaczął bić biednego profesora Morvo, który uciekł przed nim aż na ulicę. Ale ów człowiek dogonił go i dalej go bił. Wtedy właśnie przechodził wasz tatuś i wybawił profesora Morvo z opresji, wybijając jednym uderzeniem wszystkie zęby temu okropnemu człowiekowi, który go gonił. I wtedy ten człowiek uśmiechnął się tylko i powiedział: „A widzi pan, źle mi pan wyróżył, bo zamiast lecieć samolotem, będę musiał chodzić do dentysty”. Profesor Morvo uważa, że wasz tatuś ocalił mu życie, i powiedział, że gotów jest zrobić dla niego wszystko. Obiecał mi, że w jednej ze swych ogromnych skrzyń ustawi meble w ten sposób, że będziemy się tam czuli zupełnie jak w pokoju. Racja! Zapomniałem wam powiedzieć, że jedziemy do Bombardii w najbliższą środę!

Dora i Flora, siedząc obok siebie przy stole, sporządziły listę najpotrzebniejszych rzeczy, jakie powinny zabrać ze sobą na długą i niebezpieczną wyprawę do Bombardii. Na wydartej z zeszytu kartce wypisały już następujące pozycje:

1 prymus 3 małe talerzyki
1 patelnia 3 duże talerze
1 garneczek 3 kubki
1 czajnik 1 miska dla Pumpy

1 imbryczek

— A jak będziemy zmywać naczynia? — zapytała Flora. — Nie zabierzemy przecież z sobą tyle wody, ile będzie trzeba.
— Jeśli weźmiemy mnóstwo ścierek, to damy sobie jakoś radę, nawet nie mając dużo wody — powiedziała Dora i napisała w zeszycie:

1 prześcieradło na ściereki

Wszystkie butelki i termosy, jakie znajdziemy, napełnione wodą

pieprz i sól

12 jajek

— Po cóż aż tyle jajek? — zapytała Flora.

— Profesor Corvo powiedział, że podróż będzie trwała trzy dni. On będzie dostawał na śniadanie dwa jajka, a my po jednym. To razem cztery jajka dziennie. A cztery pomnożone przez trzy jest dwanaście. Lecz co Puma będzie jadła?

— Pierwszego dnia baraninę, drugiego dnia wieprzowinę, a trzeciego wołowinę — zaproponowała Flora.

— To będzie kosztować masę pieniędzy.

— Może poprosić ją, żeby zabiła jeszcze jedną owcę na drogę?

— Jakoś nie bardzo wypada prosić ją o to — rzekła Dora — a poza tym nie będzie nam przyjemnie podróżować z nieżywą owcą. Ile weźmiemy chleba?

— Ja wolę herbatniki niż chleb.

— Musimy wziąć trochę chleba — rzekła Dora i zapisała:

1 bochenek chleba

2 pudełka mieszanych herbatników

1 funt masła

12 par parówek

— Kakao i dżem, i mleko kondensowane — rzekła Flora.

— I pasta do zębów, i mydło, i pasztet, i trochę jabłek — rzekła Dora.

— I czekolada — rzekła Flora.

— Książki, talia kart i otwieracz do puszek — rzekła Dora.
— Po co otwieracz do puszek?
— Do otwierania puszek.
— Ale nie mamy puszek.
— Zaraz będziemy miały — rzekła Dora i zapisała:

3 puszki gruszek w puszcze

3 puszki śliwek w puszcze

3 puszki truskawek w puszcze

— I sardynki — rzekła Flora — i ja wezmę moje spodnie sztruksowe i musimy także zabrać nasze palta, bo może być zimno w tym lochu.
— Ale my wcale nie mamy siedzieć w lochu! — oburzyła się Dora.
— Tak? A może będziemy musiały?
— W takim razie trzeba wziąć więcej książek do czytania i jakieś poduszki, żeby nam było miękko siedzieć — rzekła Dora.
— Miejmy nadzieję, że w tym wagonie będzie dosyć miejsca na to wszystko.
— Strasznie dużo różnych rzeczy bierzemy ze sobą, a i tak na pewno zapomnieliśmy o czymś najważniejszym. Sprawdźmy jeszcze raz naszą listę.
— A cukier? — rzekła Flora. — A łyżki?
— A ręczniki? — rzekła Dora.
— Może nam prześcieradło wystarczy?
— Może... Ale musimy wziąć mapę.
— I pilnik — rzekła Flora.
— Po co pilnik?
— Bo w tym lochu może być zakratowane okno. Pilnikiem przepiłujemy kraty.
— Bardzo dobry pomysł — pochwaliła Dora. — I musimy wziąć także latarkę elektryczną i świece, i zapaliki, na wypadek gdyby latarka nie chciała się palić.
— I ser.
— Ja nie bardzo lubię ser.
— Ja też nie, ale w tym lochu na pewno będą myszy, a myszy lubią ser i będziemy je mogły oswoić i bawić się z nimi.
— Zabraknie nam na to czasu — rzekła Dora — bo będziemy musiały przygotowywać plany ucieczki.
— Ale gdybyśmy cały czas nic tylko układały różne plany ucieczki, to miałybyśmy ich tak wiele, że trudno by nam było któryś wybrać!
— No dobrze — zgodziła się Dora. — Jeśli koniecznie chcesz oswojać myszy, to nie ma na to rady. Ale nie zapominaj, że udajemy się do Bombardii po to tylko, by wyswobodzić naszego ojca, który siedzi zamknięty w lochu. Nie uważam więc za stosowne takie przygotowanie się do naszej wyprawy, jakby miały nas tam czekać jakieś rozrywki i zabawy.
— Po co więc bierzemy tyle książek?
— Z książek można się dowiedzieć wielu ciekawych i potrzebnych rzeczy.
— Najwięcej można się dowiedzieć od zwierząt. A myszy są zwierzętami!
— Ale bardzo małymi.
— Największym zwierzęciem w Zoo był pan Parker — rzekła Flora. — A musisz przyznać, że był najgłupszym ze wszystkich. Nie można więc gardzić kimś dlatego tylko, że jest mały.
— Może masz rację — przyznała Dora.
— Oswoję sobie kilka myszek, jeśli się zdarzy okazja — rzekła Flora i biorąc od Dory ołówek napisała w zeszycie: „Ćwierć funta sera”.

Potem przez kilka minut obie siedziały w milczeniu, zastanawiając się, co by jeszcze mogło im się przydać w czasie podróży do Bombardii.

— To już chyba wszystko — powiedziała w końcu Dora. — Pokażemy teraz naszą listę profesorowi Corvo.

Profesor Corvo też starał się zrobić listę najpotrzebniejszych rzeczy, jakie należy zabrać do Bombardii, ale szło mu to jakoś niesporo i napisał tylko pięknym, kaligraficznym pismem z zawijasami na kawałku ślicznego papieru listowego:

1 para pantofli nocnych

Oliwa

— Po co nam oliwa? — zapytała Dora.

— Na oliwie można gotować i smażyć znakomite rzeczy — rzekł profesor Corvo.

— Ale co pan będzie smażył i gotował? — zapytała z zaciekawieniem Flora.

— Nie wiem — odparł profesor Corvo. — Nie znam się na gotowaniu i nie mam pojęcia, co się jada w czasie podróży wagonem meblowym.

— My już mamy gotową listę wszystkich potrzebnych rzeczy — powiedziała Dora i pokazała mu, co obie z Florą napisały.

— Wspaniale! — wykrzyknął profesor Corvo. — Pomyślałyście o wszystkim! Jesteście obie bardzo przewidujące! Ja się cały dzień zastanawiałem, co należy wziąć ze sobą, i oprócz pantofli nocnych, oliwy i moich śmiercionośnych narzędzi nic nie mogłem wymyślić. I oto wy przychodzicie z dokładnym i doskonałym spisem wszystkiego, co nam może być potrzebne! Jesteście obie nadzwyczajne! Podziwiam was, wielbię was i wyrażam wam swoje największe uznanie!

To mówiąc, profesor Corvo skłonił się przed nimi niezwykle szarmancko i najpierw Dorę, a potem Florę pocałował uroczyście w rękę.

— Będzie dosyć trudno postarać się o te wszystkie rzeczy i porządnie je zapakować — rzekła Dora. — Wiele z tego zabierzemy naturalnie z domu, ale resztę trzeba będzie kupić.

— Nic się o to nie martwcie — powiedział profesor Corvo. — Ja załatwię wszystko. Przyjdźcie tutaj w środę po południu. Będzie już czekać samochód, który zabierze nas do pałacu hrabiego Głodomora, i stamtąd ruszymy w naszą podróż. Ach, Bombardio, mój biedny kraju! Serce mi się łamie! A gdy mnie zobaczy ten straszny tyran, książę Hulagu, może się na mnie rzucić i złamać mi kark! Lecz odwagi! Musimy być dzielni i zdecydowani na wszystko! Idźcie teraz, bo muszę ćwiczyć się w fechtunku szpadą ukrytą w lasce!

— Jakie sukienki powinnyśmy ze sobą zabrać? — zapytała Dora.

— Takie, które mają jak najmniej guzików — odparł profesor Corvo. — Bo to tylko kłopot, jak guziki odpadają.

Profesor Corvo dobił już szpady i zaczął swoje ćwiczenia, więc dziewczynki zrozumiały, że nie interesuje go zupełnie kwestia ubrań, jakie należy zabrać na drogę. Pożegnały go i wróciły do domu.

Wieczorem odwiedził je Sokół pytając o nowiny. Wysłuchał wszystkiego, co mu opowiedziały o swych przygotowaniach do podróży, po czym rzekł:

— Ja też udam się z wami do Bombardii. Chciałem co prawda wracać już niedługo do Grenlandii, ale nie mogę opuścić ani was, ani Pumy, gdy wybieracie się na tak pełną niebezpieczeństw wyprawę. Nie, nie dziękujcie mi. Winien wam jestem wolność i nigdy wam nie będę w stanie odwdziżyć się za ten wspaniały dar! Podróżowanie na dalekie odległości nie sprawia mi najmniejszego kłopotu i z przyjemnością zwiedzę jeszcze jeden obcy kraj. Kiedy wrócę do domu, będę miał przynajmniej o czym opowiadać. Powiedzcie mi jeszcze, czy macie jakieś polecenia do Pumy?

— Powiedz jej, żeby czekała na nas w środę o szóstej po południu na skrzyżowaniu dróg, po drugiej stronie miasteczka. Będziemy przejeżdżały tamtędy samochodem z profesorem Corvo do pałacu hrabiego Głodomora i zabierzemy ją po drodze.

— Będziemy tam na pewno! — rzekł Sokół. — Dobranoc, moje drogie przyjaciółki! Śpijcie dobrze!

Lecz ani Dora, ani Flora nie mogły spać tej nocy ni żadnej z następnych. W niecierpliwości i podnieceniu czekały na wyjazd. Panna Rozumek gniewała się na nie coraz bardziej, bo nie uważały zupełnie na lekcjach z wyjątkiem lekcji geografii, bo chciały się jak najwięcej dowiedzieć wszystkiego o Bombardii.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mama dziewczynek znowu przebywała w Londynie, więc nie było im tak bardzo przykro, że wyjadą nie pożegnawszy się z nią. W środę po południu napisały do niej list i zostawiły go na toaletce w jej sypialni. List ten był treści następującej:

„Kochana Mamo, jedziemy do Bombardii, bo tatuś jest teraz w więzieniu. Nie martw się o nas, wszystko nam dobrze pójdzie. Mamy wielką wprawę w wyzwaniu ludzi i zwierząt z rozmaitych więzień. Całujemy Cię, Dora i Flora”.

Potem poszły do profesora Corvo, przed którego domem czekał już samochód. Ale profesor wciąż jeszcze był zajęty pakowaniem swoich rzeczy. Nie mógł domknąć walizki, w której usiłował zmieścić cztery bochenki chleba, trzy koszule, trzy pary skarpetek, budzik, brezentowe wiaderko, wielki słoik malinowego dżemu, żółtą kamizelkę, gruby kolejowy rozkład jazdy i ogromną patelnię.

— Wszystkie te rzeczy będą nam koniecznie potrzebne — oświadczył dziewczynkom. — Usiądźcie na walizce i może uda mi się ją teraz zamknąć. Raz, dwa, trzy! Doskonale, udało się! A teraz — w drogę!

Samochód ruszył i gdy dojechał do skrzyżowania dróg, zatrzymał się na chwilę. Flora odwróciła uwagę szofera, częstując go cukierkiem, a Dora szybko otworzyła drzwiczki i wpuściła do środka Pumę, która czekała na nich, przyczajona w rowie. Profesor Corvo, chociaż w momencie, gdy dziewczynki przedstawiały go Pumie, był trochę niespokojny, szybko się z nią zaprzyjaźnił i reszta drogi do pałacu hrabiego Głodomora upłynęła im bardzo przyjemnie.

Gdy przybyli na miejsce, powitał ich profesor Morvo. Był to otyły, niski człowiek, który prawie wcale nie miał szyi. Jego

małe oczka, niezwykle szerokie usta i zielonkawa cera czyniły go rzeczywiście podobnym do żaby. Umiał kilka słów po angielsku i słowa te ciągle powtarzał. Gdy Dora i Flora przedstawiły mu się, uklonił się i rzekł:

— Zachwycony, zachwycony. Wy, dzieci ojca, wy, dzieci ojca. Ojciec przyjaciel, przyjaciel. Przyjemnie pomóc, przyjemnie pomóc.

Po czym spojrzął na zegarek i wykrzyknął:

— Późno, późno! Szybko, szybko. Do wozu z meblami, do wozu z meblami.

Pięć ogromnych ciężarówek czekało już przed pałacem hrabiego Głodomora. Na każdej z nich stała ogromna skrzynia z meblami w środku. Szoferzy i robotnicy, którzy je załadowali, jedli właśnie podwieczorek i nikogo z obcych nie było w pobliżu.

Gdy profesor Morvo zobaczył Pumę, wrzasnął z przerażenia i zaczął uciekać, ale profesor Corvo uspokoił go, tłumacząc, że Puma jest zaprzyjaźniona z nim i z dziewczynkami i nikomu nie robi nic złego. To jednak tylko częściowo uspokoiło profesora Morvo, który od tego momentu cały czas chodził na palcach, żeby nie zwracać na siebie uwagi Pumi. Ale znowu się okropnie przestraszył, kiedy nagle Sokół spadł z nieba jak pocisk.

— On także jest naszym przyjacielem — wytłumaczył mu profesor Corvo.

Profesor Morvo powiedział kilka słów po bombardyjsku, czego ani Dora, ani Flora nie mogły zrozumieć, ale jasne było, że bardzo się rozgniewał. W końcu jednak otworzył szeroko drzwi jednej ze skrzyń i wskazał na coś w rodzaju tunelu wiodącego w głąb między stosami mebli, które wypełniały ją całą od góry do dołu.

— Na czworakach, na czworakach — powiedział. Pierwszy ruszył profesor Corvo, za nim Flora, za Florą Puma, a za Pumą Dora. A gdy Dora wpełzła do środka, profesor Morvo zatrzaskał drzwi, założył na nie poprzeczną sztangę i zamknął je na kłódkę.

„Teraz — pomyślała Dora słysząc trzaśnięcie drzwi i dźwięk żelaznej sztangi — teraz musimy już jechać do Bombardii, czy chcemy, czy nie chcemy. Nie mamy już wyboru! O Boże — mówiła dalej w myślach do siebie — jak to się stało, że zdecydowałyśmy się na coś tak strasznie niebezpiecznego i okropnie trudnego, jak ta nasza wyprawa? To wszystko — szeptała do siebie — wina tego wiatru, co wiał z księżycą! On zrobił z nas złe, niegrzeczne dzieci! Bo nie ma co zaprzeczać! Grzeczne dzieci nigdy by nie opuściły domu bez pozwolenia mamy i nawet policji nie bardzo by się podobało, gdyby się dowiedziały, że oto szmuglujemy się do obcego kraju w skrzyni pełnej mebli. Ale jeśli uda nam się uratować tatusia i wrócić z nim razem do domu — nikt nie będzie mówił, że jesteśmy niegrzeczne i niedobre, bo spełnimy dobry uczynek. Co jest więc dobre, a co niedobre? Kiedy jesteśmy grzeczne, a kiedy niegrzeczne? Naprawdę nie wiem. I nie wiem, czy ktoś wie”. Nagle usłyszała wołanie Flory:

— Dora! Dora! Gdzie jesteś!

— Jestem! Jestem! — zawołała i za chwilę znalazła się w małym pokoiku, którego ścianami były krzeselka i stoły ustawione jeden na drugim, puste szafy i komody. W pokoiku mieściła się kanapa, a oświetlała go lampa naftowa, która wisiała na haku wbitym w dach skrzyni.

— To jest pokój profesora Corvo — rzekła Flora. — Nasz jest trochę dalej.

Obie przecisnęły się przez wąską szparę między meblami i znalazły się w troszkę większym pokoju. Jedna z jego ścian była jednocześnie ścianą skrzyni, a na drugiej wisiał oprawiony w złote ramy, wielki portret przodka hrabiego Głodomora ubranego w piękne szaty kawalera Orderu Podwiązki. Ogromna, mahoniowa szafa opierała się o przeciwległą ścianę. Na podłodze leżał miękki dywan, stały tu też dwie otomany z poduszkami i mały stoliczek.

— I mamy tu prawdziwe okno! — zawołała Flora. Otworzyła szafę, wyjęła z niej wszystkie, znajdujące się jedno nad drugą szuflady, przez co wytworzyło się coś w rodzaju drabinki, po której wspięła się tak wysoko, że mogła otworzyć małe, wycięte w dachu skrzyni okienko. — W nocy będziemy mogły tędy wychodzić na dach i rozmawiać z Sokołem.

— A gdzie będzie spała Puma? — zapytała Dora.

— W szafie — powiedziała Flora. — Są tam dwa koce, tak że powinno jej być zupełnie wygodnie. A my będziemy spały na tych otomanach. Profesor Morvo wypakował już wszystkie nasze zapasy i włożył do tej komody. To bardzo ładnie z jego strony. Nie uważasz, że mamy bardzo miły i wytwornie urządzonej pokój?

— Będzie nam znacznie wygodniej, niż przypuszczałam.

— Zaczyna się nasza podróż! Słuchajcie! — wykrzyknął profesor Corvo, który przyszedł je odwiedzić.

Słychać było niewyraźnie warkot motoru i ściany skrzyń zaczęły drgać.

— Ruszamy! — zawołał profesor Corvo. — Hura! Samochód nagle szarpnął, profesor Corvo zatoczył się gwałtownie, wpadając na portret przodka hrabiego Głodomora.

— Na pewno by się na mnie obraził, gdyby był żywy! — rzekł profesor. — Bardzo przepraszam jaśnie pana! — dodał kłaniając się portretowi.

— Jestem strasznie głodna — powiedziała Flora. — Zjedźmy już kolację.

Zapalili prymus, ugotowali sobie kakao, ukrajali chleb, otworzyli puszkę owoców i zjedli mnóstwo czekoladowych herbatników. Potem otworzyli jeszcze jedną puszkę owoców i zjedli jeszcze po kawałku ciasta ze śliwkami, które profesor Corvo kupił w ostatniej chwili na drogie.

— Kupiłem też kilka puszek sardynek i parę butelek lemoniady — powiedział — a ponieważ to jest uroczysta chwila, więc proponuję, żebyśmy zjedli sardynki i popili lemoniadą!

Kolacja była rzeczywiście znakomita. Tylko Puma nic nie dostała, bo bardzo się na drogę najadła i spała już w swojej szafie. Wkrótce też wszyscy poszli za jej przykładem.

Było już trochę po północy, gdy ciężarówka zatrzymała się nagle. Dora przebudziła się i usłyszała głos profesora Corvo.

— Czy mogę wejść? — mówił profesor Corvo, który oświetlając sobie drogę elektryczną latarką precyzyjnie się do pokoju dziewczynek. — Zdaje się, że jesteśmy już na stacji w Dover. Teraz nasza skrzynia zostanie razem z nami załadowana na wagony towarowe, które z kolei wjadą na statek-prom. W ten sposób przepłyniemy kanał La Manche.

Usłyszeli na zewnątrz wiele nawołujących się głosów, ktoś chodził po dachu ich skrzyni, potem coś tam huknęło. Był to potężny hak dźwigu. Zamocowano go do lin, którymi owiązano całą skrzynię. Wkrótce usłyszeli jakieś okrzyki i cały ich pokój zaczął się ruszać i kołysać, i podskakiwać najpierw w górę, potem do przodu i znowu w dół. Coś pod nimi stuknęło raz i drugi i potem znowu coś huknęło i ktoś wdrapał się na dach i chodził nad ich głowami, pogwizdując: „Daisy, Daisy, kiedy mi powiesz tak?”

W końcu wszystkie hałasy ucichły i profesor Corvo wszedł na szafę, ostrożnie uchylił okienko i rozejrzył się dokoła. Noc była bardzo ciemna.

— Nikogo w pobliżu nie widać — powiedział. — Mogłybyście się trochę przejść, gdybyście miały ochotę. Tylko nie odchodźcie zbyt daleko.

Dora i Flora ubrały się pośpiesznie, weszły na dach skrzyni i zsunęły się na ziemię po drabince, zwieszającej się z boku wagonu. Pociąg zatrzymał się na dworcu towarowym. W ciemnościach nocy wielkie wagony z załadowanymi na nie potężnymi skrzyniami wyglądały dziwnie i groźnie, a opustoszały dworzec robił obce i nieprzyjemne wrażenie. Od morza powiał zimny wiatr i obie dziewczynki poczuły się nieswojo.

— Wolałabym, żebyśmy nie jechały do tej Bombardii — powiedziała Flora.

— Ja także — przyznała Dora.

— Może lepiej nie jechać? — zastanawiała się Flora. — Jeszcze nie jest za późno, jeszcze możemy wrócić do domu.

— Już jest za późno! — oświadczyła z naciskiem Dora. — Pomyśl tylko, jak bardzo byśmy rozczarowały profesora Corvo. Pomyśl o tym wszystkim, co zrobił dla nas profesor Corvo przygotowując nam tak wygodne pomieszczenie. I czy możliwe byłoby wytłumaczyć Pumi i Sokołowi, że się po prostu boimy? I pomyśl o naszym tatusiu...

— O Boże! — westchnęła Flora. — Zawsze jest tyle rzeczy naraz, o których trzeba myśleć! A ja nienawidzę myślenia!

Dora ujęła Florę za rękę i zaprowadziła z powrotem do wagonu. Szybko wdrapały się na górę po drabince i przez okienko dostały się do swego pokoju. Zastaly w nim profesora Corvo, który wycinał w podłodze wagonu dziurę, posługując się młotkiem i dłutem.

— Znalazłem skrzynkę z narzędziami — powiedział. — Przez tę dziurę będziemy mogli wylewać brudną wodę na zewnątrz.

Gdy dziura już była gotowa, profesor Corvo nakrył ją pokrywką od blaszanego pudełka z herbatnikami i na wszystkim razem położył dywan, który poprzednio odchylił.

— Chodźmy teraz z powrotem do łóżek i postarajmy się przespać resztę nocy — powiedział.

Dziewczynki słyszały przez sen turkotanie przetaczanych wagonów, gwizd parowozów, stuk uderzających o siebie buforów, nawoływania ludzi i wycie syreny okrętowej, ale były zbyt zmęczone ostatnimi przeżyciami i żadna z nich się nie obudziła. Dopiero gdy stojący w ich pokoju stół ześliznął się po pochylonej podłodze i uderzył z hukiem o szafę, siadły na łóżkach i szeroko otworzyły oczy. Zobaczyły wówczas, że ściany przechylają się to w tę stronę, to w tamtą, że szuflady komód otwierają się same i zamykają, że drzwi od szafy kołyszą się w powietrzu. Usłyszały setki odgłosów, trzeszczenie drzewa, pisk naciągniętych lin, szuranie przesuwających się mebli, wycie wiatru i huk uderzających o boki statku fal. Dora odniosła dziwne wrażenie, jakby jej żołądek kurczył się i rozszerzał, zrobiło jej się mdło i musiała z powrotem się położyć.

— Och, Floro! — jęknęła Dora.

— Och, Doro! — jęknęła Flora. — Zaraz dostanę morskiej choroby!

Jeszcze jeden cichy jęk dobiegł z szafy, w której spała Puma.

— Oj, oj! — skarżyła się. — Po co mi to było? Nie znoszę pływania po morzu! O jojojo j!

— Biedna Puma — westchnęła Dora.

— My też jesteśmy biedne — rzekła Flora.

— Nie wolno ci chorować na morską chorobę, Floro!

— Ale muszę!

Fale uderzały o statek, ściany pochylały się to w tę stronę, to w tamtą, meble trzeszczały i szurały, wył wiatr. Przez całą godzinę Dora i Flora czuły się okropnie i były bardzo nieszczęśliwe, potem morze się uspokoiło i Dora powiedziała słabym głosem:

— To było bardzo ładnie i mądrze ze strony profesora Corvo, że wyciął tę dziurę w podłodze.

— Bardzo, bardzo się przydała — zgodziła się Flora.

— Czy mogę wejść? — dał się słyszeć znikomy głos profesora.

I za chwilę on sam wypełznął na czworakach do pokoju i położył się na podłodze. .

— Tak się lepiej czuję — powiedział. — Przyszedłem dowiedzieć się, czy chcecie już śniadanie?

— Nie! — krzyknęła Flora. — Nie, nie, nie!

— To wracam do siebie, bo ja też nie chcę! Spróbowali się trochę przespać, co im się świetnie udało po nocnych przygodach, i nie zwracali najmniejszej uwagi na hałasy dobiegające z zewnątrz ani na głosy ludzi mówiących teraz po francusku. Statek przybył tymczasem do portu i wagony wiozące ogromne meblowe skrzynie doczepiono do pociągu udającego się do Bombardii. Dora pierwsza poczuła równy rytm kół wagonu sunącego po szynach.

— Floro! — zawołała w podnieceniu. — Jesteśmy za granicą! Czy ty rozumiesz? Jesteśmy w obcym kraju!

— Jestem głodna — stwierdziła budząc się Flora.

— A czy jest coś do jedzenia? — zaniepokoiła się Puma i ziewnęła.

— Czy mogę wejść? — zapytał profesor Corvo.

— Idę popatrzeć przez okno — rzekła Dora, wdrapała się na szafę i otworzyła okienko w ciachu.

I wszyscy nagle stali się znów weseli i szczęśliwi, i głodni, i ciekawi oczekujących ich przygód. Zjedli wspaniały posiłek. Potem każdy po kolei wdrapywał się na szafę, żeby wyjrzeć na zewnątrz i podziwiać piękne widoki Francji.

Nadeszła noc i pociąg zatrzymał się na małej stacji, gdzie oddzielono ich wagony od innych i przetoczono je na boczny tor. Tam czekali około trzech godzin. Korzystając z tego, udali się na mały spacer. A gdy tylko wyszli na zewnątrz, powitał ich Sokół, który cały czas szybował za pociągiem.

Następny dzień dłużył im się niesłychanie. Pociąg biegł przez lasy, wśród wzgórz i nad brzegami rzek. Gdzieniedzie widać było wieżyczkę zamku lub kościoła, mijali miasta, miasteczka i wioski. Byłaby to bardzo przyjemna i ciekawa podróż, gdyby wszyscy razem, siedząc przy oknie, mogli przez nie wyglądać i dzielić się wrażeniami. Ale samotne obserwowanie najpiękniejszych nawet widoków przez otwarte w dachu okienko, gdy stoi się na szczycie szafy i ciągle trzeba uważać, żeby nie spaść — staje się po pewnym czasie męczące, zwłaszcza kiedy węgielki z komina parowozu wpadają do oka i trzeba je potem rogiem chusteczki wyławiać.

Dzień był gorący, w skrzyni było duszno, ustawiczne skrzywienie mebli ciasno wypełniających przestrzeń stawało się nieznośne. Dora ziewała, Flora narzekała na wszystko — obie dziewczynki były coraz bardziej niecierpliwe. Chciały już być jak najszybciej w Bombardii i w jej stolicy Bombardanie, opuścić tę duszną, skrzypiącą skrzynię, ujrzeć swego ojca. A jednocześnie, w miarę jak pociąg zbliżał się do Bombardii, czuły się coraz bardziej niepewnie, coraz bardziej się bały tego, co je tam czeka. Starły się wyobrazić sobie, jak wygląda zamek księcia Hulagu i jacy mieszkają w Bombardii ludzie. Spoglądały na profesora Corvo i zastanawiały się, czy są tacy jak on, czy jak profesor Morvo.

— O czym najczęściej mówią ludzie w Bombardii? — zapytała nagle Flora.

— Kiedy byłem małym chłopcem, mówili najczęściej o zakopanych skarbach — rzekł profesor Corvo. — Bo zdarzyło się, że pewien stary pasterz chciał raz pochować psa, który mu zdechł, i wykopał dół, a w dole znalazł mnóstwo złota i różnych monet. Potem wszyscy zaczęli kopać doły i cała Bombardia pełna była dołów, ale nikt nigdy nic więcej nie znalazł.

— A potem o czym mówili?

— O tych dołach, że trzeba je zakopać.

— A zakopali je?

— Nie.

— A o czym teraz mówią? — pytała dalej Flora.

— Niewiele teraz mówią — rzekł profesor Corvo. — Stali się narodem milczącym. Księżę Hulagu ma wszędzie tysiące szpiegów, którzy podsłuchują, co kto mówi i jak ktoś coś złego o nim powie — aresztują go i wsadzają do więzienia. A każdego aż język świerzbi, by skarżyć się na uczynki tego straszliwego tyra. Więc żeby się nie narażać i żyć sobie spokojnie i bezpiecznie — wolą milczeć. W Bombardii panuje teraz cisza.

Nadszedł wieczór, a potem jeszcze jedna noc. Pociąg zatrzymał się na długo na bocznym torze wśród pól. Mieli dosyć czasu, by wyjść i przejść się trochę i porozmawiać z Sokółem. Położyli się znowu spać w dusznej, pełnej kurzu skrzyni. Dora i Flora zasnęły ciężkim snem. Zbudził je ruch pociągu.

— Już na pewno jesteśmy bardzo blisko Bombardii — rzekła Dora.

— Czy boisz się tego, co będzie? — zapytała ją Flora.

— Nie, nie boję się. To znaczy niezupełnie się nie boję. Ale to nie znaczy, żebym się bała.

— Ja też się nic nie boję — rzekła Flora. — Tylko mnie trochę w brzuchu kręci, zupełnie jak wtedy, kiedy się boję. I może byłoby nam przyjemniej spać, gdybyśmy zsunęły razem nasze kanapki.

Puma usłyszała szuranie mebli po podłodze, uchyliła drzwi szafy i zapytała, co się dzieje.

— Będziemy razem spały — powiedziała Dora.

W chwilę potem ujrzały bliźniutko dwoje błyszczących oczu; jednym zwinnym susem Puma znalazła się przy nich. Ułożyła się wzdłuż, między dziewczynkami, i rzekła:

— Dotknijcie moich mięśni. Czy nie są twarde i sprawne? Dotknijcie moich zębów i obnażonych pazurów. Czy nie są ostre i mocne? Nieraz w życiu musiałam walczyć, walczyć okrutnie i nigdy nikomu nie uległam. Raz tylko zostałam pobita, gdy

podstępnie schwytano mnie do niewoli. Pamiętajcie: chroni was cała moja siła, sprawność i czujność. Nie bójcie się niczego, jesteście pod moją opieką!

Te słowa i tak bliska obecność Puma uspokoiły i pocieszyły obie dziewczynki, wkrótce też zasnęły smacznie i spały długo. Obudził je profesor Corvo, który przygotował już dla nich wyśmienite śniadanie składające się z chleba, masła i bułeczek, owoców z puszki, dżemu i herbaty z mlekiem, Puma zaś dostała na śniadanie całą nogę prosiaka.

Profesor Corvo poczekał, aż dziewczynki i Puma zjadły śniadanie, po czym rzekł:

— Jesteśmy już w Bombardii. Za cztery godziny dojedziemy do Bombardanu. Potem przewiozą nas razem z meblami do zamku, który jest oddalony o siedem mil od stacji. Według moich obliczeń znajdziemy się tam około ósmej wieczór. Będzie już zbyt późno na wyładowywanie mebli. Profesor Morvo też jest tego zdania. Skrzynie z meblami pozostaną na dziedzińcu zamkowym aż do rana. A gdy się zrobi już zupełnie ciemno, wydostaniemy się na zewnątrz, wdrzemy do zamku i zaczniemy szukać waszego ojca. Dziedziniec zamkowy jest otoczony wysokim murem i w nocy będzie tam tak mroczno, że nikt nas nie spostrzeże. Pewny jestem, że znajdziemy jakieś drzwi do zamku otwarte, bo my, Bombardczycy, jesteśmy bardzo roztrzępani, często zostawiamy otwarte drzwi i gubimy klucze.

Z początku wszystko poszło tak, jak przewidział profesor Corvo. Po przyjeździe do Bombardanu, ogromne żurawie zdjęły skrzynie z wagonów towarowych, złożyły na potężnych samochodach i rozpoczął się ostatni etap wędrówki. Droga szła ostro pod górę zakosami, ciężarówki jechały bardzo wolno i ostrożnie. Motory huczały i sapały z wysiłku. W końcu zamilkły. Byli już na dziedzińcu zamkowym. Usłyszeli miarowy stuk butów maszerujących żołnierzy, krzyk rozkazów rzucanych w obcym języku. Nagie zapanowała cisza, a po chwili zabrzmiała fanfara odegrana przez dwudziestu czterech trębaczy na dwudziestu czterech srebrnych trąbkach. Zagrała orkiestra wojskowa i znowu zabrzmiały fanfary, a potem wojskowe komendy. Zaciągano nocną wartę. Muzyka, fanfary, miarowy stuk butów o bruk, krzyki rozkazów — wszystko to powtarzane tysięcznym echem tworzyło groźny i ogłuszający koncert.

— To jest Capstrzyk Wieczorny — szepnęła profesor Corvo, — Niedługo już będzie zupełnie ciemno.

Wkrótce zaległa absolutna, niepokojąca cisza. Wewnątrz skrzyń robiło się coraz ciemniej. Dziewczynki, profesor Corvo i Puma z gorączkową niecierpliwością czekali nadejścia nocy.

Profesor, który nie spuszczał oczu z fosforyzującej tarczy swego zegarka, podniósł się w końcu, bardzo ostrożnie wszedł na szafę i uchylił okienko w dachu skrzyni. Niebo było ciemne, przez otwór widać było tylko jedną samotną gwiazdkę. Profesor Corvo zsunął się bezszelestnie z powrotem na podłogę.

— Ja wyjdę pierwszy — szepnął — i poszukam otwartych drzwi do zamku. Będziecie czekały, dopóki nie zastukam trzy razy w ścianę. Wtedy pośpiesznie i cichutko wyjdziecie na zewnątrz.

— Niech pan szybko wraca — powiedziała cicho Flora.

— Wrócę najszybciej, jak będę mógł — rzekł profesor. Wdrapał się na szafę i zniknął.

Dora, Flora i Puma, która się ocierała o nie swoim gibkim ciałem, czekały w najwyższym podnieceniu.

— Ile już czasu upłynęło, odkąd poszedł? — wyszeptwała po chwili Flora.

— Około pięciu minut.

— Może nie znajdzie żadnych otwartych drzwi? Co się wtedy stanie?

Zanim Dora zdążyła odpowiedzieć, rozległ się nagły stuk. Odsuwano zasuwę mocnych, żelaznych drzwi, które się gwałtownie otworzyły, dały się słyszeć głośne krzyki i niebo stało się nagle jasne od reflektorów. Gęsta jasność rażącego oczy światła wlała się do wnętrza skrzyni.

Dora zdążyła jeszcze rzucić szybkie spojrzenie na Florę, a Flora na Dorę — i twarze ich stały się białe jak papier.

Zamek księcia Hulagu stał na szczycie skalistej góry i wyglądał mniej więcej jak korona na głowie króla, a raczej jak mała korona włożona na sam czubek wielkiego, łysego, żółtawego łba z nabitymi guzami. Miasto leżało poniżej, na rozległej równinie: stłoczone, różnokolorowe dachy, wyrastające ponad nie wieże, zielonkawe kopuły kościołów i wierzchołki drzew rosnących wzdłuż głównych ulic, które wyglądały z oddali jak żywopłoty. Stroma, kręta droga, prowadząca do zamku, też wysadzana była drzewami. Rozchodziły się od niej, jak unerwienie liścia, boczne drogi i alejki, przy których stały domy i wille należące do bogatych ludzi.

Sam zamek był ogromny, groźny i bardzo brzydki. Dwie kwadratowe wieże zakończone spiczastymi wieżyczkami chroniły wejścia; ponad łączącą je bramą znajdowały się mieszkania oficerów gwardii. Zewnętrzny podwórzec, prawie tak duży jak boisko piłki nożnej, był cały wybrukowany kocimi łbami. Po obu jego stronach mieściły się koszary gwardzistów, a na wprost, naprzeciw bramy, znajdowały się potężne odrzwia wiodące do głównej części zamku. Był to kwadratowy budynek okalający małe wewnętrzne podwórze. Z każdego z czterech jego rogów wyrastała wysoka wieżyca. Północny i wschodni stok wzgórza, na którym stał zamek, był stromy i urwisty, i tam właśnie były lochy.

Nad głównym wejściem frontowym znajdowała się ogromna sala bankietowa, a obok, po prawej stronie, mieściły się prywatne apartamenty księcia Hulagu. Wzdłuż ścian sali bankietowej stały błyszczące zbroje i pancerze, a nad nimi wisały ogromne i brzydkie portreciska kolejnych władców Bombardii. Dalej mieścił się prywatny salonik księcia Hulagu obwieszony ohydными obrazami torturowanych ludzi, skórami tygrysów, lwów, niedźwiedzi i lampartów, których ścięte i wypchane łby patrzyły wylupiastymi, szklanymi oczyma na pokój, odsłaniając nagie, żółte kły. W jednym rogu pokoju stały rozmaite przyrządy gimnastyczne i ciężary do podnoszenia, a w drugim — półka na książki, z jedynym dziełem pod tytułem: „Jak Zyskiwać Przyjaciół i Jak Im Imponować”.

Książę Hulagu był człowiekiem w średnim wieku. Miał pociągłą, żółtą twarz, grube wargi atramentowego koloru, małe, zielonkawe lśniące oczka, długi, zakończony brodawką nos i owłosione uszy. Nosił zwykle biały mundur ze złotymi epoletami, przepasany purpurową wstęgą i ozdobiony mnóstwem orderów.

Tego wieczoru, kiedy Dora i Flora przybyły do zamku w ciężarówce z meblami, książę Hulagu był w bardzo złym humorze. Chodził po swym salonie zmarszczony i gniewny, od czasu do czasu zatrzymywał się i uderzał pięścią w stojący pośrodku stół. Był znudzony i mdliło go troszkę, bo zjadł na podwieczorek za dużo czekoladowych ciastek z kremem. Próbował czytać, ale książka, która stała na półce, nudziła go. Pomyślał, że może dobrze by było posłać kilka osób na tortury, mogłoby go to trochę rozerwać — ale na szczęście miał migrenę i doszedł do wniosku, że od ich krzyków głowa by go jeszcze bardziej rozboleła. Więc krążył, tam i z powrotem po pokoju, patrzył na swe obrazy i na skóry lwów, tygrysów, niedźwiedzi i lampartów wiszące na ścianach. Obrazy, jak teraz dopiero dostrzegł, były źle namalowane, skóry zwierząt — zakurzone i pogryzione przez mole. Zdecydował, że każe je wyrzucić i powiesić nowe. I nagle przypomniał sobie, jak to parę tygodni temu posłał do Anglii profesora Morvo, by zakupił całe urządzenie pałacu hrabiego Głodomora.

Wyciągnął z kieszeni rewolwer i sześć razy strzelił w sufit. Był to znak przywołujący lorda szambelana. Jednym strzałem przywoływał swego paza, dwoma — pannę służącą, trzema — lokaja, czterema — kamerdynera, pięcioma — dowódcę gwardii, a sześcioma — lorda szambelana. Wszystkie sufity w pokoju księcia Hulagu były wyłożone płytami pancernymi półcalowej grubości i kule nie mogły ich przebić.

Lord szambelan był wysokim mężczyzną o pięknej twarzy, ale usta zawsze drżały mu nerwowo i po trzech miesiącach służby na dworze księcia Hulagu zaczął się jękać. Jego poprzednik był mniej wytrzymały i zaczął się jękać już po tygodniu. Książę Hulagu wyrzucił go więc z zamku i skazał na zesłanie.

Lord szambelan otworzył bezszelestnie drzwi, skłonił się nisko i rzekł:

— Czego sobie Wasza Ek-ek-ekscelencja życzy, proszę Waszej Ek-ek-ekscelencji?

— Nowych obrazów i mebli! — wrzasnął książę Hulagu. — Tych, które kupiłem w Anglii od hrabiego Głodomora. Gdzie się podział ten cały profesor Morvo? Dlaczego jeszcze go tu nie ma!

— Wła-wła-właśnie przy-przyjechał, proszę Waszej Ek-ek-ekscelencji. Cię-cię-żarówki sto-stoją już na podwórzu.

— Dlaczego mi o tym od razu nie powiedziano? Wyładować je! Natychmiast! Chcę przemeblować mój pokój! Chcę mieć tu moje nowe meble!

— Ale już jest za cie-ciemno, proszę Waszej Ek...ek...

— Oświetlić podwórze reflektorami z wieży! Niech będzie jasno jak w dzień! Prędeż, prędeż!

Lord szambelan szybko wybiegł spełnić rozkaz księcia, a sam książę tymczasem strzelił trzy razy w sufit, by przywołać lokaja, któremu kazał podać sobie płaszcz; potem wystrzelił pięć razy, a gdy zjawił się na ten znak dowódca gwardii, wydał mu rozkaz, by wszyscy gwardziści zabrali się do wyładowywania mebli.

Potem udał się na podwórzec zamkowy oświetlony już jasno reflektorami. Ze szczękiem i chrzęstem otwierano właśnie skrzynie — a w małym, wciśniętym między meble pokoiku Dora, Flora i Puma czekały z drżeniem w sercu, co się stanie. Straszliwe myśli przebiegały im przez głowę. „Co teraz z nami będzie, co teraz z nami będzie? — szeptały każda do siebie. — I co się stało z profesorem Corvo?”

Słyszały, jak otwierano z hałasem skrzynie, słyszały szorstkie głosy wykrzykujące coś w nieznanym języku, trzeszczenie i skrzypienie wyładowywanych mebli.

— Zaczynają wynosić meble — szepnęła Dora

— Znajdą nas, na pewno nas znajdą — cicho jęknęła Flora. — Ach, co robić, co robić?

— Ukryjmy się — syknęła Puma.

— Gdzie? — spytała Dora.

— W szafie!

— Ale oni zobaczą resztki jedzenia i nasze rzeczy! — szepnęła Flora.

— Schowamy wszystko w komodzie — powiedziała cicho Dora. — Szybko, szybko!

— Ja się ukryję w dolnej szufladzie szafy. Zamkniecie mnie na klucz, który weźmiecie ze sobą — szepnęła Puma. —



Same zaś staniecie w szafie i przytrzymacie drzwi od wewnątrz, żeby się nie otworzyły!

Była to wielka, dwudrzwiowa szafa podzielona na dwie części. W prawej części szafy schowała się Flora. Dora zamknęła ją

na klucz, sama też ukryła się w szafie, zatraskując drzwi. Ludzie wyładowujący meble pracowali bardzo szybko. Wkrótce poruszyli szafę, w której ukryły się Dora, Flora i Puma, przechylili ją na jeden bok i skarżąc się, że jest tak okropnie ciężka, wyciągnęli ze skrzyni. Ale dziewczynki, które tylko z tonu głosów ludzi dźwigających szafę domyślały się, o co im chodzi, nie mogły im współczuć. Miały własne zmartwienia. Odwracano szafę to na jeden bok, to na drugi, popychano i przechylano, i przekręcano i Dora z najwyższym wysiłkiem starała się nie dopuścić do tego, żeby drzwi się otwarły.

W końcu wysunięto szafę z ciężarówki i mocno postawiono na ziemi, a dziewczynkom zdawało się, że im kości popękają. Lord szambelan zapytał księcia Hulagu, gdzie szafa ma stać, i po chwili znowu ją poruszono.

Ośmiu gwardzistów niosło teraz szafę wolno, na górę po schodach, potem wzdłuż korytarzy i wreszcie delikatnie postawili ją na podłodze. Dziewczynki czekały w ciszy i nasłuchiwały. Do pokoju wniesiono jeszcze jakieś inne meble, w końcu ucichły i oddaliły się wszystkie odgłosy i zapanowała cisza. Dora cichutko zapukała w ściankę oddzielającą ją od Flory.

— Czy dobrze się czujesz? — spytała z niepokojem.

— Już lepiej — odpowiedziała Flora. — Gdzie my jesteśmy?

— Nie mam pojęcia — rzekła Dora. — Liczę teraz bardzo wolno do tysiąca, a potem, jeśli będzie cały czas spokojnie i cicho, wyjdę na zewnątrz.

Liczyła i liczyła nie opuszczając niczego, w końcu wyszeptała: „998, 999, 1000” — i delikatnie uchyliła drzwi szafy. Przez wąziutką szparkę zobaczyła wiszący na przeciwległej ścianie pokoju ogromny portret, przedstawiający kogoś w kapeluszu z piórami i szkarłatnym płaszczu, siedzącego na ognistym rumaku. Człowiek ten wyglądał okrutnie i groźnie, ale jego koń miał łagodne oczy i dobrotliwy wyraz twarzy. Obok obrazu stała oparta o ścianę piękna zbroja. Cały pokój był bardzo słabo oświetlony.

Otworzyła drzwi szafy trochę szerzej i zobaczyła, że wisiało tam jeszcze więcej obrazów i że znajdowało się w nim jeszcze dużo więcej różnych zbroi i mnóstwo bezładnie poustawianych mebli.

Ostrożnie wysunęła się z szafy i idąc na palcach, rozglądała się, by sprawdzić, czy nikt się nigdzie nie ukrył.

Potem otworzyła kluczem drzwi tej części szafy, gdzie siedziała Flora.

— Chyba nie dostałaś znowu morskiej choroby? — zapytała ją Dora.

— Prawie, prawie — rzekła Flora. — O, spójrz, Doro! Tam!

Spoza zbroi stojącej naprzeciw szafy wysunęła się czyjaś postać.

— Więc na szczęście spotkaliśmy się — rzekł profesor Corvo. — Teraz już będzie wszystko dobrze!

Przestraszył pan nas — powiedziała Dora z wyrzutem. — I czym pan sobie tak strasznie umazał twarz?

— Kurzem, błotem i oliwą — rzekł profesor. Corvo — bo kiedy znalazłem już otwarte drzwi do zamku i wracałem, żeby wam dać o tym znać, nagle zrobiło się jasno jak w dzień od świateł reflektorów, szybko więc wskoczyłem pod samochód ciężarowy. Drżałem, co z wami będzie, ale pomyślałem sobie, że na pewno ukryjecie się w szafie. W chwilę potem spostrzegłem dwóch ludzi wynoszących ciężki, zwinięty dywan. Wychyliłem się spod ciężarówki i ukłułem lekko moją szpadą tego, który był z tyłu. Krzyknął tylko, upuścił swój koniec dywanu i pobiegł gdzieś, pewnie szukać tego, co go ukłuł. Wtedy ja podniosłem dywan, który rozwinął się trochę, zasłaniając mnie niemal całkowicie, i krzyknąłem do człowieka, który odwrócony tyłem do mnie, trzymał na ramieniu przedni koniec dywanu: „Sipszeięs, okleog, sipsze!” co znaczy: „Śpiesz się, kolego, śpiesz”. I ruszyliśmy z naszym dywanem, postępując wolno za ciężką szafą, którą dźwigało ośmiu ludzi. Potem korzystając z nieuwagi wnoszących meble, schowałem się za tę zbroję i oto jestem.

— To bardzo przyjemnie znowu pana widzieć! — rzekła Flora.

— I bardzo sprytnie pan to zrobił! — powiedziała Dora. Profesor Corvo skłonił im się grzecznie, dziękując za uznanie, i zapytał, gdzie jest Puma.

— O Boże — krzyknęła Dora — zupełnie zapomniałam! Szybko otworzyła szufladę szafy i Puma ziewając podniosła swój ociężały łeb.

— O mało się nie udusiłam — powiedziała.

Pomału wyszła z szuflady, przeciągnęła się, położyła na podłodze i wkrótce zasnęła.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Dora.

— Ty i Flora będziecie tej nocy spały w łóżku samego księcia Hulagu!

— O, nie! — krzyknęła Dora.

— A gdzie on wtedy będzie? — zapytała rzeczowo Flora.

— Daleko stąd — rzekł profesor Corvo. — Właśnie gdy stałem ukryty za tą zbroją, księżę Hulagu i lord szambelan zatrzymali się tuż, tuż przy mnie i zastanawiali się, jak rozstawić meble. I nagle przyszedł dowódca gwardii i powiedział, że w mieście Lodoban, znajdującym się w odległości dwustu mil stąd, złapano spiskowców planujących zamach na życie księcia. Księżę Hulagu postanowił natychmiast tam jechać i wstrzymać wyładowywanie mebli. Wróci dopiero jutro około drugiej po południu. A że nikt nigdy nie ośmiela się wejść do apartamentów księcia bez jego rozkazu — więc będzie to najbezpieczniejsze miejsce w całym zamku. — Mówiąc to, profesor Corvo wyciągnął pęk kluczy.

— Do niedawna stanowiły one własność lorda szambelana — rzekł z dumą. — Są to klucze do apartamentów księcia!

— Jak je pan zdobył? — spytała zdumiona Flora.

— Kiedy księżę Hulagu i lord szambelan rozmawiali ze sobą, weszli żołnierze gwardii dźwigając z trudem fortepian. Księżę Hulagu zaczął na nich wrzeszczeć, żeby się śpieszyli, i lord szambelan, chcąc popisać się przed księciem, zrzucił marynarkę, powiesił ją na zbroi, za którą stałem ukryty, i zaczął im pomagać. I tak klucze stały się moją własnością.

— Jak świetnie! — ucieszyła się Dora.

— Obudźcie teraz Pumę i idziemy do pokojów księcia! Przed pójściem spać ułożymy jeszcze plan działania na jutro! W każdym razie jak dotąd wiedzie nam się znakomicie, prawda? A jutro, być może, urządzimy zasadzkę na tego straszego tyrana! Złapiemy go i weźmiemy do niewoli! Przydałoby się to zrobić, ale nie będzie to takie łatwe!

Sypialnia księcia Hulagu była duża i wspaniała. Ogromne łóżko, w którym mogłoby się wygodnie zmieścić z osiem osób, wykute było ze srebra. Prześcieradła i powłoczki utkane były z najcieńszego jedwabiu, kołdry i poduszki wypchane najłżejszym puchem. Nakrywała je piękna, atlasowa kapa, na której widniał haftowany złotem herb tyrana. W pokoju znajdowało się troje drzwi, z których jedno wiodło do saloniku, drugie do ślicznej marmurowej łazienki ze srebrną wanną, a trzecie do garderoby pełnej luster i szaf, w których wisiały dziesiątki wspaniałych mundurów księcia. Z szerokich okien rozciągały się cudowne widoki na leżące poniżej miasto, na dalekie pola, lasy i rzeki.

Dorę i Florę najbardziej zachwyliło wspaniałe łóżko księcia i wyznały, że nie bardzo mają ochotę na omawianie planów działania na jutro, a za to chętnie położyłyby się spać.

— Ale przedtem wykąpiemy się w srebrnej wannie — powiedziała Dora.

— Dobrze więc — zgodził się profesor Corvo. — Idźcie spać, a jutro rano zastanowimy się, co dalej robić.

— Patrzcie, co znalazłam — rzekła nagle Flora otwierając dużą torbę leżącą na stoliczku nocnym. — Cukierki miętowe! I jakie mnóstwo, chyba z cztery funty!

— Księżę Hulagu przepada za słodyczami — rzekł profesor Corvo. — Przepada za słodyczami i za zabijaniem ludzi. To bardzo dziwny i okrutny człowiek. Nie trzeba o tym zapominać! Dobranoc wam! Puma i ja będziemy spali obok w saloniku, więc nic się nie bójcie i śpijcie dobrze.

— My tu sobie leżymy we wspaniałym łóżku, a nasz biedny tatuś męczy się okropnie i marznie w tym strasznym lochu — rzekła Dora, gdy już zostały same.

— To już nie potrwa długo — powiedziała Flora. — Profesor Corvo na pewno coś wymyśli. Zjem jeszcze jedną miętówkę przed snem.

— Tylko się znowu nie rozchoruj — ostrzegła ją sennym głosem Dora.

Dziewczynki spały doskonale. O ósmej rano obudził je profesor Corvo i od razu spostrzegły, że jest bardzo z siebie zadowolony.

— Udało mi się zdobyć niezwykle cenne wiadomości — oznajmił — ale powiem wam wszystko dopiero po śniadaniu. I nic się nie bójcie, że zaraz zacznę strzelać.

Profesor Corvo wyjaśnił dziewczynkom, w jaki to sposób księżę Hulagu przywołuje do siebie swoją służbę.

— Ten straszny tyran — mówił — wyjechał wczoraj bardzo szybko i jego lokaj na pewno nic o tym nie wie. Możemy więc bezpiecznie zamówić sobie śniadanie w jego imieniu. Znalazłem mnóstwo nabitych rewolwerów. Strzelę cztery razy w sufit i natychmiast zjawi się kamerdyner księcia. My tymczasem schowamy się do łazienki i puścimy wodę. A on będzie myślał, że księżę Hulagu właśnie się kąpie, i znajdzie na stoliczku nocnym to polecenie, które napisałem drukowanymi literami na karteczce.

Z dumą pokazał dziewczynkom skrawek papieru, na którym były napisane następujące słowa:

„Jda im arzaz dašenanii. Mjetse zdorab ygdnoł. Jda im zseć jekaj oźdu sykzin, oźdu akwa, czibełuk, lymramoda, ałosan i njede zdorab uźdy ktyfszeb”. Profesor Corvo objaśnił, że znaczy to: „Daj mi zaraz śniadanie. Jestem bardzo głodny. Daj mi sześć jajek, dużo szynki, dużo kawy, bułeczek, marmolady, masła i jeden bardzo duży befszyk”.

— Wspaniałe śniadanie — rzekła Flora. — A na deser zjemy jeszcze trochę miętówek. Ten befszyk to pewnie dla Pумы?

— Naturalnie — rzekł profesor Corvo. — A teraz uwaga!

Podniósł do góry rewolwer, cztery razy wystrzelił w sufit, po czym wszyscy szybko schowali się w łazience i odkręcili wodę. Dora i Flora, które patrzyły przez dziurkę od klucza, zobaczyły, jak do sypialni wbiegł kamerdyner, przeczytał kartkę i szybko wybiegł. W zdumiewająco krótkim czasie on i panna służąca wnieśli ogromną tacę pełną jedzenia. Jak tylko wyszli, profesor Corvo wysunął się z łazienki, zamknął na klucz drzwi sypialni i zabrali się do śniadania.

A kiedy już wszystko zjedli, wyciągnął z kieszeni duży arkusz papieru.

— Znalazłem to wczoraj w biurku księcia Hulagu! — rzekł z dumą. — To jest lista więźniów znajdujących się w lochach! Zawiera ona dziewięćset czterdzieści dwa nazwiska. Wasz ojciec zamknięty jest w lochu numer 200!

— Jak się tam dostaniemy? — zapytała Dora.

— To nie będzie łatwa sprawa — rzekł profesor Corvo. — Ale mam plan zamku, który dał mi mój przyjaciel Morvo.

Oznaczone jest na nim tajne przejście wiodące wprost z apartamentów księcia do lochów. Ale nie wiadomo, gdzie się to przejście zaczyna.

— Ja wiem gdzie! — wykrzyknęła Flora. — W łazience, tam gdzie wiszą ręczniki! Tam jest taki srebrny pręt przymocowany do ściany i jak go nacisnąć, kawałek ściany się otwiera i widać takie schodki schodzące w dół. Odkryłam to, jak się wczoraj wieczorem gimnastykowałam w łazience przed pójściem spać i robiłam mostek w tył. O mało nie upadłam i okropnie się przestraszyłam, kiedy te drzwi się nagle otworzyły. Zupełnie o tym zapomniałam!

Szybko wbiegli do łazienki. Rzeczywiście po naciśnięciu srebrnego pręta, marmurowa ściana łazienki otwierała się wolno i zaraz za nią szły w dół wąskie schodki.

— Tajne przejście do lochów! — wykrzyknął profesor Corvo. — Czy wszystko gotowe? Możemy ruszać?

— Musimy pościelić łóżko, nawet jeśli to jest łóżko tyrana, i zostawić porządek w pokoju — rzekła Dora.

— Ja tymczasem wezmę latarkę elektryczną, którą też widziałem w biurku księcia — rzekł profesor Corvo.

Po chwili weszli do łazienki i zastali tam Pumę, która patrzyła w zadumie na wąskie, ciemne przejście.

— Mam złe przeczucia — powiedziała. — Nienawidzę takich mrocznych i ciasnych korytarzy i tych grubych murów, które nas otaczają. Czuję się ciągle jak w więzieniu. Śniłam w nocy o mych rodzinnych lasach, gorących, otwartych równinach i rzekach płynących szerokim nurtem. Obudziłam się i wiem, że nigdy już tam nie wrócę!

— Ale wrócisz, wrócisz na pewno! — zaprzeczyła gorąco Dora. — Tylko wyratujemy tatusia, a on potem wszystko już urządzi! Wyśle cię okrętem tam, gdzie będziesz chciała, i odzyskasz wolność. Prawdziwą wolność, w twojej własnej ojczyźnie!

— Nie — powiedziała smutno Puma. — Nigdy już tam nie wrócę.

— Jak tatuś się dowie, ile nam pomogłaś, wszystko dla ciebie zrobi! — rzekła Flora. — Ach, nie bądź taka smutna!

— Każde stworzenie jest smutne, gdy już wie, co je czeka. Ale nie zwracajcie na mnie uwagi! Myślcie o waszym ojcu!

— Nie zjadłaś śniadania — powiedziała Dora. — Wiedziałam, że coś jest nie w porządku.

Ale już zjawił się profesor Corvo z latarką w jednej ręce i szpadą ukrytą w lasce w drugiej.

— Naprzód! — wykrzyknął.

— Chwileczkę — powiedziała Dora.

Wbiegła szybko do pokoju i zaraz wróciła niosąc zawinięty w serwetkę befszytk Pumpy i torbę z cukierkami miętowymi, którą dała Florze.

Weszli na kręte schody i profesor Corvo zatrzasnął za nimi marmurowe drzwi.

Kamienne stopnie były bardzo wąskie, niewygodne i wydeptane w środku. Znaleźli się w ciemnym, pachnącym wilgocią i pleśnią korytarzu, który doprowadził ich do spiralnych, niby korkociąg, stopni. Zeszli nimi w dół i stanęli przed wielkimi żelaznymi drzwiami, w których tkwił klucz. Otworzyli je. Zaraz za drzwiami wisiała na ścianie tabliczka z napisem:

ODWLOCOH

— To znaczy „do lochów” — rzekł profesor Corvo. Uszli jeszcze z pięćdziesiąt kroków i natrafili na dwa rozwidlające się korytarze.

U wejścia do prawego korytarza wisiała tabliczka z napisem:

LOCYH

1 — 100

Na tabliczce wiszącej na ścianie lewego korytarza napis głosił:

LOCYH

101 — 200

Szybko ruszyli dalej schodzącym w dół, wyciosanym w skale korytarzem. Panowała w nim całkowita ciemność, przecięta jedynie jasną smugą latarki. Wreszcie snop światła padł na drzwi znajdujące się na samym końcu, opatrzone numerem 200.

Dora i Flora drżały z podniecenia, a profesor Corvo był tak zdenerwowany, że upłynęła długa chwila, zanim zdołał znaleźć odpowiedni klucz, wśród pęku kluczy zabranych lordowi szambelanowi. W końcu znalazł ten, który otwierał wszystkie drzwi lochów mające numery parzyste, i drżącymi palcami otworzył drzwi. Samotnie siedząca w kącie na wiązce słomy postać nie poruszyła się nawet.

— Tatusiu! — krzyknęły jednocześnie Dora i Flora. — Tatusiu!

Zanim major Palfrey zdążył wstać, obie dziewczynki były już przy nim, obejmując go i ściskając, a jednocześnie starając się opowiedzieć o tym, jak go szukały i znalazły, i o Pumie, i o profesorze Corvo, i o wszystkich swoich niezwykłych przygodach, i mnóstwo jeszcze innych rzeczy.

Dopiero po upływie dłuższego czasu i po zadaniu kilku rzeczowych pytań major Palfrey zaczynał coś z ich opowiadań rozumieć, ale wciąż nie mógł własnym oczom uwierzyć, że je widzi. Był bardzo wzruszony i dumny ze swoich córek. Ale gdy usłyszał, że udały się w tak daleką podróż bez pozwolenia mamy i nawet się z nią nie żegnając, bardzo się zmartwił.

— To nieładnie z waszej strony — rzekł surowo.

— Ale wszystko będzie dobrze i wspaniale, kiedy cię tylko stąd wyratujemy! — zawołała Flora.

— Biedna mama — mówił major Palfrey. — Jak można było tak ją zwieść i zmartwić! I tak ma dosyć zmartwień! Naprawdę nie rozumiem, jak mogłyście to zrobić!

— Zupełnie jakbyśmy byli w domu — rzekła ponuro Dora. — Ile razy zdaje się nam, że robimy coś bardzo dobrego, to potem zawsze okazuje się, że to jest bardzo złe.

— Tak — potwierdziła Flora. — Nasze życie jest pełne rozczarowań. Ale dlaczego zapuściłaś, tatusiu, brodę? Nie jest ci z nią do twarzy.

— Zabrano mi maszynkę do golenia i żyletki, więc nie miałem wyboru — odparł major Palfrey i zaczął bardzo uprzejmie rozmawiać z profesorem Corvo. Próbował nawet pogłaskać Pumę, ale jakoś nie sprawiło to żadnej przyjemności ani jemu, ani jej.

Tymczasem Dora i Flora rozglądały się dokoła i ogarnęło je przerażenie, że ich biedny ojciec musiał żyć w tak okropnym miejscu. Ściany i sufit lochu wykute były w skale i pokryte skapującą na nierówną kamienną podłogę wilgocią. Przez jedyne umieszczone w rogu okienko wsączało się do wewnątrz trochę światła. Widok z tego okienka był jednocześnie wspaniały i przerażający: gdy patrzyło się wprost przed siebie, widać było piękny, daleki krajobraz pełen zieleni i słońca. W dół zaś szła pionowo stroma, urwista skała i patrząc wprost w przepaść, dostawało się zawrotu głowy. Było całkiem jasne, że ucieczka tą drogą byłaby wykluczona.

Major Palfrey i profesor Corvo zaczęli omawiać dalsze plany. Postanowili, że najlepiej będzie, jeśli wszyscy, razem już, wrócą do apartamentów księcia Hulagu, ukryją się tam między meblami i czekać będą nadejścia nocy. Potem, pod osłoną ciemności, zakradną się do pustych skrzyń meblowych, które mają wrócić do Anglii.

— Nie mamy więc chwili do stracenia — rzekł major. — Ruszamy natychmiast. Czy jesteście gotowe, dzieci?

— Miętówki! — wykrzyknęła Flora. — Gdzie są miętówki?

— Tu, w torbie — odparła Dora.

— Ale prawie nic nie zostało! Kto je zjadł?

— Nie ja — rzekł profesor Corvo.

— Ja też nie — rzekł major Palfrey.

— Och — zawołała Flora — w torebce jest dziura! Gubiłam je cały czas po drodze.

— Trudno — rzekł major. — Mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż twoje miętówki. Profesorze Corvo, niech nas pan prowadzi, pan zna drogę.

— Musimy iść szybko i cicho — szepnął profesor Corvo. — I musimy trzymać się blisko siebie.

Podszedł do drzwi, ale nim zdążył je otworzyć, rozwarły się gwałtownie i weszło do środka dwóch żołnierzy z karabinami przygotowanymi do strzału. Za nimi widać było wielu innych żołnierzy.

A potem zjawił się ktoś znacznie groźniejszy niż wszyscy żołnierze razem wzięci. Z uśmiechem triumfu na swej okrutnej twarzy — ukazał się książę Hulagu.

Książę Hulagu wrócił na zamek znacznie wcześniej, niż profesor Corvo przypuszczał. Gdy tylko wszedł do swej sypialni, chciał od razu zjeść kilka cukierków miętowych. Ale cała torebka gdzieś znikła. Rozejrzał się dokoła i spostrzegł, że jeden cukierek leży na dywaniku przy łóżku, drugi — przy drzwiach do łazienki, trzeci — w łazience tuż pod srebrnym prętem na ręczniki. Otworzył marmurową ścianę i oto znalazł czwarty cukierek na trzecim stopniu sekretnych schodów. Natychmiast zwołał kilkunastu żołnierzy i wraz z nimi postępował za wyznaczonym cukierkami miętowymi śladem, który zaprowadził go wprost do lochu numer 200.

Stał teraz z okrutnym uśmiechem triumfu na swej żółtej twarzy, rozglądając się dokoła. Nagle szybkim ruchem wyrwał torebkę z rąk Flory i zjadł jeden po drugim siedem cukierków, które jeszcze w torebce zostały. Panowało całkowite milczenie. Nikt nie ośmielił się odezwać słowem.

Kiedy książę Hulagu, jedząc ostatni cukierek, rozkazał żołnierzom przeszukać swoich nowych więźniów, żołnierze zabrali profesorowi Corvo jego szpadę ukrytą w lasce, wieczne pióro z zatrutym atramentem, klucze lorda szambelana i wszystkie pieniądze. Ale nic nie zabrali ani Dorze, ani Florze, bo też i nic godnego uwagi przy sobie nie miały.

Potem książę Hulagu odwrócił się i wyszedł, a za nim jego żołnierze. Drzwi lochu zostały zamknięte.

— Tatusiu — zapytała Flora, gdy ucichł już miarowy odgłos kroków na korytarzu za drzwiami — czy są tu myszy?

— Nie ma — odparł major Palfrey zgnębionym głosem. Ani książę Hulagu, ani jego żołnierze nie zauważyli na szczęście Pумы, która gdy tylko spostrzegła otwierające się drzwi, zdołała jednym susem ukryć się w ciemnym kącie lochu. Teraz siedziała przy okienku, spoglądając w dalekie niebo.

— Czy znów jesteśmy w niewoli? — zapytała nie odwracając głowy.

— Niestety — rzekła Dora.

— Wyciągnij chusteczkę od nosa i pomachaj nią. Widzę daleko na niebie jakiś mały punkcik. To na pewno jest Srebrny Sokół.

Dora wychyliła się przez okienko i zaczęła machać chusteczką. W chwilę potem nadleciał Sokół. Z powagą wysłuchał smutnych nowin i zapytał, jak może im pomóc.

— Daj nam znać, gdzie znajdują się puste skrzynie meblowe, które mają wrócić do Anglii, i czy już są załadowane na wagony towarowe.

Srebrny Sokół obiecał, że to zrobi.

— Nie traćcie odwagi — pocieszał ich. — Dzień jutrzejszy na pewno przyniesie jakąś nową nadzieję!

Dora nic nie odpowiedziała. Nagle zrobiło jej się smutno i źle jak nigdy jeszcze w życiu. Wszystkie jej i Flory starania i wysiłki spełzły na niczym. Oto siedzą zamknięci w więzieniu i jaką mogą mieć nadzieję, że uda im się wymknąć z tego okropnego zamczyska i uciec straszliwemu tyranowi, księciu Hulagu, i jego uzbrojonym żołnierzom? Poczują, że oczy jej stały się ciepłe i wilgotne.

„Nie, nie będę płakała — szepnęła do siebie. — Mogę całe życie siedzieć w więzieniu, ale NIE BĘDĘ PŁAKAŁA! Nie zrobię tej przyjemności księciu Hulagu!”

Smutne były dni i noce, które potem nastąpiły. W lochu było zimno i wilgotno, jedzenie dostawali tak niedobre, że trudno je było przełknąć. Major Palfrey i profesor Corvo zastanawiali się z początku nad różnymi sposobami ucieczki, chociaż z góry wiedzieli, że na nic się one nie zdadzą. Teraz siedzieli w milczeniu, pogrążeni w zadumie, i rzadko odzywali się słowem. Od czasu do czasu przychodził do lochu książę Hulagu i mówił coś groźnie, a czasem krzyczał. Profesor Corvo machał tylko ręką i nawet nie chciał tego tłumaczyć na angielski.

Noce stawały się coraz zimniejsze i prawie co dzień padał deszcz.

Pewnego dnia Dora siedziała jak zwykle pogrążona w głębokiej zadumie obok Puma, gdy nagle spostrzegła, że ta zjeżyła się cała, groźnie obnażyła zęby i utkwiała wzrok w jednym punkcie. Dora spojrzała w tym samym kierunku i zauważyła, że jeden z kamieni, którymi wyłożona była podłoga lochu, lekko się poruszył. W tym samym momencie usłyszała przytłumiony szmer głosów.

Puma zerwała się na równe nogi, gotowa do skoku. Dora uspokoiła ją szybko, prosząc, żeby nie uczyniła niczego zbyt pochopnie.

— Tatusiu! Profesorze! Floro! — zwołała wszystkich szeptem. — Chodźcie tu, tylko cicho, cichutko!

Wszyscy patrzyli teraz w najwyższym podnieceniu na poruszający się kamień. Wkrótce wyraźnie usłyszeli czyjś głos: — Jeszcze raz i jeszcze raz! Zaraz ustąpi!

— On mówi po angielsku — szepnął major. — Kto to może być taki?

Kamień poruszył się, uniósł i potoczył po podłodze. W wyrwie ukazały się najpierw dłonie, potem ramiona, potem dwie łyse głowy i pomarszczone twarze należące do dwóch starych, zniszczonych wiekiem, małych ludzi.

— Pokonaliśmy jeszcze jedną przeszkodę, panie Stevens — mówił jeden.

— Wygrzebaliśmy jeszcze jedno przejście, panie Sievens — powiedział drugi.

— Niech żyje król! — zawołali razem i zaśmieli się.

— Panowie! — wykrzyknął nagle major Palfrey. — Kim jesteście?

Obaj starszycy omal nie wpadli z wrażenia do wygrzebanej przez siebie dziury. Zachwyceni czynem, którego dokonali, teraz dopiero spostrzegli wszystkich obecnych.

— My też jesteśmy Anglikami — mówił dalej major Palfrey. — Jesteśmy tu uwięzieni. Nazywam się Palfrey i jestem majorem Pierwszego Pułku Piechoty Króla Jerzego. A to są moje dwie córki i nasz przyjaciel, profesor Corvo, i Puma, nasza przyjaciółka.

— Pan jest majorem? — zapytał jeden ze starszków. — Czy dobrze słyszałem?

— Tak jestem majorem.

Obaj starszycy wyprostowali się na baczność i wyrecytowali: — Panie majorze! Saper Stevens i saper Sievens z Pierwszego Pułku Saperów meldują się na rozkaz!

— Proszę, niech panowie siadają na podłodze — powiedział grzecznie major. — I niech mi panowie powiedzą, co panowie tu robią?

— Grzebiemy w ziemi, panie majorze — rzekł saper Stevens.

— Czy chciałby pan obejrzyć nasze prace? — zapytał saper Sievens.

— O, tak — rzekł major — to bardzo mnie interesuje. Ale od jak dawna panowie je wykonują?

— Od czasu, kiedy zostaliśmy wzięci do niewoli w czasie wojny.

— Której? — zapytał major.

— Już nie pamiętamy.

— I cały czas panowie nic tylko grzebią podziemne przejścia?

— A cóż innego mają robić saperzy? — rzekł saper Stevens.

— W wolnych chwilach mój kolega zajmuje się leczeniem zębów, a ja leczeniem zmartwień — dodał saper Sievens.

— Jestem dentystą, a mój przyjaciel przepowiada przyszłość, która jest zawsze dobra — wyjaśnił saper Stevens.

— To tak jak profesor Morvo — wtrąciła Dora.

— A kto to jest?

— Przyjaciel profesora Corvo.

— Nie mam przyjemności znać tych panów.

— Czy mógłby mi pan przepowiedzieć przyszłość? — zapytała Flora. — Chciałabym wiedzieć, kiedy stąd uciekniemy.

— A czy masz przy sobie pieniądze?

— Nie — zmartwiła się Flora.

— To nie mogę ci przepowiedzieć przyszłości. Ten, kto nie ma przy sobie pieniędzy — nie ma przed sobą przyszłości. To

jasne. Nie mam ci więc czego przepowiadać i tylko marnuję swój cenny czas, rozmawiając z tobą na ten temat. Jak mówiłem przedtem, zanim mi tak nietaktownie przerwałaś, zajmowaliśmy się dentystyką i przepowiadaniem przyszłości. Ale oczywiście prawdziwym naszym zawodem jest saperka, a ściślej — kopanie tunelów w ziemi.

— Zastanawiam się właśnie — rzekł major Palfrey — czyby panowie nie zechcieli nam dopomóc i przekopać tunel, przez który moglibyśmy wydostać się z zamku.

— Naturalnie, jeśli państwo sobie tego życzą.

— Ależ życzymy sobie jak najbardziej.

— Dlaczego więc od razu nam pan major tego nie powiedział? Mamy już nawet kilka takich tuneli gotowych. Chodźmy, pokażemy je wam!

I nim ktoś zdążył powiedzieć słowo, obaj wskoczyli do wygrzebanego przez siebie otworu. Wszyscy inni poszli za ich przykładem.

— Ostatni musi położyć kamień na miejsce! — krzyknął saper Stevens.

Znaleźli się w ciemnym, ciasnym tunelu.

To są bardzo dziwni ludzie — powiedział major Palfrey. — Ale musimy im zaufać.

— Nic na tym nie tracimy — rzekł profesor Corvo.

Obaj wsunęli się do otworu i major Palfrey starannie włożył na miejsce zamykający go kamień.

— Nikt nigdy nie wpadnie na to, żeśmy tędy uciekli. Szli teraz w zupełnej ciemności wyrytym w ziemi tunelem, który miejscami był tak niski, że tylko Puma mogła iść wyprostowana. Wszyscy inni musieli kurczyć się i schylać.

Puma szła na czele, bo ona tylko umiała widzieć w ciemnościach. Za nią szła Dora trzymając w ręce koniec jej ogona, potem profesor Corvo, potem Flora i na końcu major Palfrey. Obaj dziwni starszycy znikli gdzieś daleko przed nimi i być może opuścili ich i zdradzili. Nikt nie powiedział tego głośno, ale każdy czuł gdzieś w sobie ukryty strach, że oto zgubili się całkowicie w ciemnościach i zblądzą w podziemnych przejściach. Stracili poczucie kierunku, wiedzieli jedynie, że tunel, którym szli, prowadzi w dół.

Minęli ostry zakręt i nagle ujrzeli przed sobą światelko latarni i obu starszyców, którzy na nich spokojnie czekali.

— Gdzieżeście się podzieli? — zapytał saper Stevens.

— Myśleliśmy, że wam się naprawdę śpieszy — powiedział saper Sievens — a tymczasem wleczenie się pomału jak żółwie.

— Bardzo nam było trudno iść w tych ciemnościach — rzekł major Palfrey.

— Trudno? — zaśmiał się saper Stevens. — To przecież jest tak wygodny spacer jak po ulicy Picadilly w Londynie.

— Panowie mają znacznie większą wprawę w chodzeniu tunelami niż my — rzekł major Palfrey.

— Nie traćmy czasu — przerwał saper Sievens. — Nienawidzę lenistwa. Idziemy dalej!

Ruszyli więc dalej i szli, szli długo, ocierając się łokciami o skalne ściany tunelu.

Starszycy posuwali się żwawo naprzód, mimo że każdy z nich dźwigał łopatę, kilof, pęk lin i worek pełen różnych tajemniczych rzeczy. Flora zmęczyła się bardzo, traciła już oddech i chciała właśnie prosić, żeby mogli choć na chwilę przystanąć i wypocząć, gdy nagle saper Stevens zatrzymał się gwałtownie i podniósł latarkę do góry.

— Niech pan spojrzy, panie Sievens — powiedział do swego kolegi.

W skalnej ścianie tunelu było pęknięcie, przez które wdierało się nieco powietrza.

— Bardzo ciekawe — stwierdził saper Sievens. — Po drugiej stronie musi być podziemna jaskinia. Dziwne, że nie zauważyliśmy tego, kopiąc nasz tunel pod górę. Musimy sprawdzić, co to jest.

Obaj starszycy chwycili za kilofy i zaczęli uderzać nimi w skalną ścianę.

— Czy panowie muszą to teraz właśnie robić — zapytał major Palfrey — czy nie możecie zrobić tego kiedy indziej, gdy już nas wyprowadzicie z tego straszliwego grobowca? Chcemy jak najprędzej wydostać się na światło dzienne! Już brak nam powietrza.

Ale starszycy nic nie odpowiedzieli i dalej uderzali kilofami w skalną ścianę, która na szczęście nie była zbyt gruba.



Wkrótce też wybili w niej otwór, przez który przedostali się na drugą stronę. Inni, chcąc nie chcąc, poszli za nimi. Saper Stevens wzniosł w górę latarnię.

— Czy to nie nadzwyczajne? — rzekł z zachwytem. Znajdowali się teraz w wąskim, lecz wygodnym, porządnie podmurowanym korytarzu, posiadającym wysokie kamienne sklepienie.

— Cudowne dzieło ludzkich rąk! — rzekł z podziwem saper Stevens.

— Co to może być? — zapytał z niepokojem major.

— Jeszcze jedno tajne przejście — wyjaśnił profesor Corvo. — Pod wszystkimi starymi zamkami w Bombardii jest mnóstwo podobnych tajnych przejść. Ale już dosyć mam tych podziemnych wędrówek! Marzę, żebyśmy się stąd jak najszybciej wydostali!

— Ja tak samo — westchnęła Dora.

— I ja też — powiedziała Flora.

Lecz nie było czasu na narzekania, bo obaj starszycy, nie oglądając się na nich, znikali już w głębi korytarza.

Szli i szli nieskończenie długo. Tracili już nadzieję, że się kiedykolwiek wydostaną na powierzchnię ziemi, że zdołają uciec. Przytłaczała ich ponurość kamiennych ścian, zapach pleśni i wilgoci i stale panująca ciemność, której nie rozpraszało słabe, migające daleko przed nimi światełko latarki.

W końcu obaj starszycy, którzy wyprzedzili ich o jakieś pięćdziesiąt kroków, zatrzymali się nagle. Nie mogli nic innego uczynić, bo korytarz tu się kończył. Przed nimi widniały małe, mocne, żelazne drzwi.

Proszę mi podać młot, który mam w worku na plecach — rzekł saper Stevens.

— Czy pan chce wywalić te drzwi? — zapytał major Palfrey.

— Cóż mogę innego uczynić, jeśli chcę się dostać do środka? — rzekł saper Stevens uderzając z całej siły w drzwi młotem. I w tym momencie przewrócił się, bo drzwi wcale nie były zamknięte.

— Ludzie są czasem bardzo nieostrożni — rzekł wstając i nie wiadomo było, czy myśli o sobie, czy o tych, co zapomnieli zamknąć drzwi na klucz.

Miejsce, w którym się teraz znaleźli, było najwidoczniej piwnicą czyjś domu. Stały w niej beczki z winem i piwem i stary zardzewiały rower.

— Musimy teraz zachować absolutną ciszę i ostrożność — rzekł szeptem major Palfrey obejmując przewodnictwo. — Posuwajcie się za mną i nie czyńcie żadnego hałasu.

Kamienne schodki zaprowadziły ich w górę do następnych drzwi. Major Palfrey przytknął oko do dziurki od klucza i stwierdził, że w pokoju, który znajdował się po drugiej stronie, nie było nikogo. Drzwi otworzyły się łatwo i weszli do dziwnego miejsca, w którym znajdowało się mnóstwo książek, łóżko bez pościeli, maszyna do szycia bez pedału, bardzo stary gramofon, para zardzewiałych łyżew i kilka ogromnych, pękniętych waz z porcelany. Było to widocznie coś w rodzaju rupieciarni. Dora i Flora zaczęły przyglądać się ciekawie nagromadzonym tu przedmiotom. Major Palfrey podniósł do ust palec, czyniąc znak ciszy, i wszyscy zaczęli nasłuchiwać. Z dalszych pokoi dochodził słaby szmer głosów.

Puma przesunęła się bezszelestnie do przodu i stanęła obok majora wyprężona z podniesioną głową, jakby chciała go bronić przed niespodziewanym atakiem. Profesor Corvo i obaj starszycy również wysunęli się i pochyliłi do przodu. Saper Stevens wciąż jeszcze trzymał w ręku zapaloną latarnię.

Trwali tak nieruchomo z minutę, gdy nagle stało się coś zupełnie nieoczekiwanego.

Saper Stevens pochylił się jeszcze bardziej do przodu i dotknął rozgrzaną od płomienia świecy latarnią wyprężonego ogona Puma.

Z rykiem przerażenia i bólu Puma skoczyła naprzód. Głową i ramionami uderzyła w drzwi, które otworzyły się z hałasem, i runęła do następnego pokoju. Major Palfrey próbował ją w ostatniej chwili chwycić, potknął się i przewrócił, Profesor Corvo i obaj starszycy pośpieszyli mu na ratunek, a za nimi Dora i Flora.

To, co ujrzeli teraz przed sobą, było tak niespodziane i przerażające, że stanęli w drzwiach jak wryci. W następnym pokoju, przy małym stoliku siedzieli naprzeciw siebie profesor Morvo i księżę Hulagu!

Znajdowali się w domu profesora Morvo. Okrutny tyran przybył tu właśnie podziemnym przejściem z zamku, chcąc, żeby profesor Morvo, który był jego nadwornym wróżbitą, wywróżył mu przyszłość z ręki. W momencie gdy Puma tak niespodzianie wtargnęła do pokoju, księżę Hulagu trzymał właśnie na stole odwrócone do góry dłonie, a profesor Morvo przepowiadał mu, że uda się niebawem w długą i daleką podróż, *ii*

Awanturnicze życie, jakie wiódł księżę Hulagu, nauczyło go błyskawicznej orientacji — w jednej sekundzie stał już wyprostowany, trzymając rewolwery w każdej dłoni, z których przed sekundą profesor Morvo czytał jego przyszłość.

— Syzwcys od tąka! — syknął wściekle.

— Wszyscy do kąta! — przetłumaczył drżącym głosem profesor Corvo.

Powoli i niechętnie zbili się w gromadkę w jednym kącie pokoju. Profesor Morvo włożył z przerażenia wszystkie palce do ust i patrzył osłupiały. Księżę Hulagu wolno zbliżył się i spoglądał po kolei na każdego z chytrym i pożądlwym uśmiechem, który nic dobrego nie zapowiadał. Oblizując swe atramentowe usta, zaczął mówić coś powoli i dobitnie po bombardyjsku, co nieszczęsny profesor Corvo słabnącym głosem tłumaczył na angielski.

— Najpierw zabiję ciebie — rzekł wskazując na majora Palfreya — a potem resztę. Bardzo lubię moich więźniów, ale nie lubię, jak mi uciekają! Jak tu się znaleźliście? Kto to są ci dwaj mali ludzie, którzy wyglądają jak karzełki? Ich też zabiję! A co to za zwierzę?

Puma leżała jak pies na ziemi przy nodze majora Palfreya. Jej wielkie oczy groźnie błyszczały, sierść z jeżyła się na karku i obnażone kły białały w pysku. Warczała cicho. Nagle księżę Hulagu zniżył rewolwer, celując w nią, i w tym samym momencie Puma skoczyła mu do gardła.

Huknęły dwa wystrzały. Ale już okrutny tyran księżę Hulagu zwałił się na ziemię, przygwożdżony ciężarem Pумы. Przez chwilę jakby mocowali się ze sobą, lecz po paru sekundach księżę Hulagu znieruchomiał i nigdy już się więcej nie poruszył. Puma, slaniając się na nogach, powlokła się parę kroków i również upadła na ziemię.

Dora i Flora rzuciły się ku niej. Dora uniosła nieco jej bezwładną głowę, a Flora ukryła twarz w jej sierści i gorzko płakała.

— A więc stało się — rzekła cicho Puma. — Teraz już wiem, dlaczego Pani Wiedźma pomogła wam uratować mnie przed goniącymi mnie psami! W głębi serca przeczuwałam, że tak się to skończy, i dlatego byłam smutna i osowiała. Ale nie płaczcie! My, których wychowała dżungla, zawsze niemal umieramy w walce!

Dora i Flora płakały gorzko i nie mogły się zdobyć na żadne słowa pożegnania. Dora powtarzała ciągle:

— Kocham cię, kocham cię, Pumo! A Flora szeptała tklawie:

— Kocham cię najbardziej ze wszystkich na świecie, oprócz Dory!

— Dałyście mi — mówiła cicho Puma — to, co było dla mnie najdroższego: chwilę prawdziwej wolności. Czy dobrze wam się za to wywdzięczyłam?

Dora poczuła, że głowa Pумы, którą trzymała na kolanach, stawała się coraz cięższa i że jej jasne oczy straciły blask. Puma już nie żyła.

— Chodźcie — rzekł cicho major Palfrey. — Chodźcie, moje drogie dzieci. Wciąż jeszcze grozi nam niebezpieczeństwo! Musimy się mieć na baczności.

W domu profesora odbywało się wesele jego córki i dom pełen był gości, którzy zaczęli tłoczyć się w drzwiach, zaniepokojeni hukami wystrzałów.

Ale drzwi do przedpokoju były wolne i major Palfrey skoczył tam szybko, a za nim profesor Corvo, Dora, Flora i obaj saperzy.

Wybiegli na ulicę. Przed domem stał samochód, cały udekorowany kolorowymi wstążeczkami i kwiatami, którym państwo młodzi przybyli ze ślubu na wesele.

— Szybko, szybko! — wołał major otwierając drzwiczki samochodu.

Wkrótce pędzili ulicami miasta. Przechodnie stawali zdumieni, patrząc na mknący samochód, wesoło udekorowany wstążeczkami.

— Ale im się śpieszy do ślubu! — mówili.

— Teraz musimy skręcić na prawo i ominąć miasto — rzekł profesor Corvo. — Dostaniemy się na drogę, która doprowadzi nas do bocznicy kolejowej.

W dwadzieścia minut później zatrzymali się w polu i zostawiając przy drodze samochód, weszli do lasu. Po drugiej jego stronie ujrzeli szyny i stojący na nich krótki towarowy pociąg, do którego doczepione były wagony z meblowymi skrzyniami.

— Musimy ukryć się w tym lesie i czekać, aż zrobi się ciemno — rzekł profesor Corvo. — Potem, przez otwór w dachu, dostaniemy się do jednej ze skrzyń.

— Nie mamy nic do jedzenia na drogę — rzekł major.

— Może chcielibyście kawałek tortu? — spytał saper Stevens i otwierając swój worek wyciągnął z niego ogromnych rozmiarów tort.

— Tort weselny! — krzyknął profesor Corvo. — Jak panowie go zdobyli?

— Stał na stole w jadalni — rzekł saper Stevens — i przyszło nam do głowy, że może się przydać.

Nagle usłyszeli nad głowami gwałtowny łopot skrzydeł. Był to Srebrny Sokół, który cały czas krążył nad bocznicą kolejową, czekając na ich przybycie.

— Nareszcie jesteście — powiedział. — Bardzo się niepokoiłem, bo pociąg odjeżdża do Anglii już dziś w nocy. — I nagle z niepokojem w głosie zapytał: — Gdzie jest Puma?

Dora i Flora opowiedziały mu, popłakując, o wszystkim, co zaszło.

Srebrny Sokół słuchał ich ze smutkiem i powagą.

— Była nam wszystkim wierną i szlachetną przyjaciółką. Czuję w mym sercu wielki smutek. Ale dla nas, ptaków i zwierząt, lepiej jest umierać w walce niż ginąć powolną śmiercią starości.

— Panie Stevens, panie Stevens — wykrzyknął nagle saper Stevens — znalazłem wspaniałą dziurę w ziemi!

— To jeden z tych dołów, które pozostały od czasu, jak ludzie w całej Bombardii szukali skarbów, o czym opowiadałem kiedyś Dorze i Florze — wyjaśnił profesor Corvo.

Obaj starszankowie już siedzieli w dole i sprawnie kopali ziemię szpadlami. Śpiewali przy tym ochoczo:

Kop, saperze, kop,
Boś jest silny chłop!
Kop przez dzień i kop przez noc,
Bo masz siły i masz moc —
Kop, kop, kop!

Jak zaczniemy kopać raz —
Kop, kop, kop!
Nie powstrzyma już nic nas!
Kop, kop, kop!

Więc, saperze, kop wciąż w głąb,
Co wykopiesz, to w głąb zstąp
I kop znów, kop!
I kop znów, kop!

Piosenka ta brzmiała coraz ciszej i ciszej. Obaj dzielni saperzy znikli w ciemniejącej czeluści dołu.

— Zapomnieli panowie swojego tortu! — krzyknęła do nich z góry Dora.

— To dla was, na drogę — dobiegł z głębi dołu dudniący głos — szczęśliwej podróży! — I usłyszeli jeszcze samą już tylko melodię piosenki.

Nagle ostry świst przeszył powietrze. Do stojących na bocznicach wagonów doczepiono parowóz.

— Jeszcze jest zbyt jasno, jeszcze ludzie mogą nas zauważyć, jak będziemy wchodzić do wagonu — rzekł major Palfrey z niepokojem.

— Musimy zaryzykować — wtrącił profesor Corvo. — Bo inaczej pociąg nam ucieknie.

— Mam pewien pomysł — rzekła Dora i zaczęła szeptać coś Sokołowi do ucha.

Sokół zaśmiał się i odleciał na przód pociągu. Wzbił się w górę i nagle opadł tuż nad parowozem, po czym zaczął krążyć niziutko, łopocąc skrzydłami. Maszynista i palacz oraz człowiek, który doczepiał parowóz do reszty pociągu, patrzeli teraz w górę, przyglądając się z zachwytem ewolucjom lotniczym sokoła.

— Teraz — rzekła Dora — szybko!

Pobiegli co sił w nogach do najbliższego wagonu, nie zauważeni przez nikogo wdrapali się na dach stojącej na nim skrzyni, otworzyli okienko i wskoczyli do środka. Sokół, widząc, że są już bezpieczni, wzbił się wysoko w górę i zniknął w ciemniejącym, wieczornym niebie.

W pięć minut potem pociąg ruszył.

Na podłodze skrzyni leżało mnóstwo worków i słoma, w którą były spakowane meble. Zebrali to wszystko razem i urządzili sobie jakie takie postanie. Nie było ono bardzo wygodne, ale szybko ułożyli się i zasnęli znużeni przygodami, jakie ich w tym długim dniu spotkały.

Pociąg jechał wolno, często się zatrzymywał i podróż powrotna trwała bardzo długo. Zjedli cały tort weselny, który pod koniec przestał im zupełnie smakować, i byli już porządnie głodni. Na szczęście w czasie nocnego postoju na jakiejś stacyjce udało się profesorowi Corvo zdobyć dwanaście jajek, które ich bardzo pokrzepiły. Przejechali przez Francję i w końcu pociąg wjechał na statek płynący do Anglii. I dopiero gdy znaleźli się na środku kanału La Manche, poczuli się szczęśliwi i bezpieczni. Teraz już wiedzieli na pewno, że udało im się uciec i że wkrótce już będą w domu. Byli głodni, brudni i zmęczeni, ale to nic nie znaczyło. Są wolni, wracają do domu — to najważniejsze ze wszystkiego.

Morze było spokojne i ciche jak małe jezioro. Postanowili wyjść na zewnątrz. Profesor Corvo wspiął się na ramiona majora Palfreya, otworzył okienko i wygramolił się na dach; po czym, w ten sam sposób, wyszły Dora i Flora. Ostatni wydostał się major Palfrey, któremu pomógł profesor Corvo podciągając go do góry, aż mógł sam uchwycić się rękami za krawędź okienka. Wkrótce też wszyscy razem usiedli na pokładzie w cieniu wagonów. Księżyc wychylił się spoza chmury. Był bardzo blady, spokojny i piękny.

— Czy pamiętacie ten wieczór w domu, gdy pakowałem się przed wyjazdem do Bombardii, a wy wdrapałyście się na starą jabłoń rosnącą w ogrodzie, żeby pozawieszać dzwonki na jej gałęziach? To było akurat rok temu. Czy przypominacie sobie świetlisty pierścień, jaki otoczył wtedy księżyc? Powiedziałem wam, że jeśli z księżycą wieje zły wiatr, a ktoś jest akurat niegrzeczny — to będzie mu wiał prosto w serce i potem już pozostanie niegrzeczny przez cały okrągły rok.

— Może istotnie nie byliśmy przez cały rok za bardzo grzeczne — rzekła Dora. — Ale nauczyliśmy się za to mnóstwa różnych rzeczy, których nigdy byśmy się nie nauczyły, gdybyśmy zachowywały się grzecznie i poprawnie.

— A bawiłyśmy się znakomicie — dodała Flora.

— I wyratowałyśmy ciebie — rzekła Dora.

— Tak, tak — powiedział major Palfrey. — Trudno mi jest was ganić, chociaż zmartwiłyście bardzo mamę i straciłyście mnóstwo lekcji z panną Rozumek.

— Dziwne by było, gdyby pan ganił je za to, że wyzwoliły pana z lochów księcia Hulagu! — wtrącił profesor Corvo.

— Gdy byłem małym chłopcem — powiedział major Palfrey — musiałem zawsze i we wszystkim słuchać rodziców.

— A ja lubię sama myśleć za siebie i samej siebie słuchać — rzekła Dora.

— Tak samo i ja — dodała Flora. — Czasem to jest trudno myśleć za siebie, ale kiedy nie jest trudno, to myślę.

— Księżyc jest cichy i spokojny tej nocy — powiedział major Palfrey. — Może nie zawsze jednak słuchanie siebie samego przynosi tak niezwykle rezultaty, jak to się wam zdarzyło.

Wrócili do swej skrzyni i położyli się spać. Ale byli zbyt podnieceni powrotem i nie mogli usnąć. Więc wstali i profesor Corvo zaczął ich uczyć tańców szkockich, aż tak się zmęczyli, że potem natychmiast zasnęli.

A gdy się obudzili, byli już w angielskim porcie Dover i pociąg ich stał na stacji.

— Teraz — rzekł major Palfrey — pojedziemy do hotelu, wykapiemy się i zjemy porządne śniadanie. Przede wszystkim zaś zatelefonujemy do mamy. A wieczorem będziemy już w domu.

Kto żył w miasteczku, przybył na stację, żeby ich powitać, a gdy pociąg wjeżdżał na peron, pastor Filar wdrapał się na wózek bagażowy i zaintonował marsza triumfalnego z „Aidy”, który wszyscy obecni podchwycili chórem.

Pani Palfrey i panna Rozumek były pierwszymi osobami które ich powitały.

— Mój drogi, jak ty źle wyglądasz! — rzekła pani Palfrey do męża, witając go czule. — Jutro dostaniesz śniadanie do łóżka!

A do Dory i Flory powiedziała:

— Prawda, jak to dobrze, że tatuś wrócił? Bardzo wam dziękuję za to, żeście go wyratowały, i wybaczam wam nawet, że narobiłyście mi tyle kłopotów i zmartwień.

— Straciłyście masę lekcji — rzekła panna Rozumek. — Będziecie teraz musiały to nadrobić i mam nadzieję, że przyłożycie się porządnie do nauki.

Potem każdy po kolei podchodził do nich i witał się z nimi, a potem wszyscy razem utworzyli wielki pochód i odprowadzili

ich do domu, śpiewając „Most na rzece Kwai”. A gdy doszli już do domu, wszyscy wraz krzyknęli trzy razy: „Hip - hip - hura” na ich cześć.

I pewnie długo by tak stali śpiewając i wznosząc okrzyki, gdyby policjant Gwiżdż nie kazał im się rozejść do domów. Gdy w końcu Dora i Flora znalazły się w swoim pokoju, czekał już na nie za oknem Srebrny Sokół. A że czuł się samotny i smutny po stracie swej przyjaciółki Pumpy, wfrunął do ich pokoju i spędził noc, siedząc na półeczce nad kominkiem. A gdy się rano obudziły, już go nie było. I nie widziały go przez długi czas.

Trudno przyszło Dorze i Florze wrócić do równowagi po wszystkich tych awanturnicznych przygodach, jakie spotkały je w Bombardii. Bardzo się jednak starały, a panna Rozumek robiła, co mogła, żeby im w tym dopomóc, i udzielała im codziennie (z wyjątkiem niedziel) lekcji, które trwały od rana do nocy z przerwami jedynie na posiłki. A w każdą niedzielę chodziły do Zoo i długo opowiadały swym przyjaciółom o przygodach, jakie przeżyły od czasu, gdy się z nimi rozstały. Przynosiły im też rozmaite prezenty: panu Parkerowi ofiarowały piękną czapkę, jaką zwykle noszą dla niepoznaki detektywi, dla Lady Lii i jej małej córeczki przyniosły śliczne, kolorowe wstążki, a Burasowi zaprenumerowały gazetę na cały rok z góry.

Przez trzy tygodnie były tak grzeczne, że mama nie mogła się nadziwić i bardzo była z nich zadowolona i nawet panna Rozumek chwaliła je i była dla nich miła i łagodna. Aż pewnego dnia Dora powiedziała: — Nie! Już nie mogę tak dłużej wytrzymać!

— Ja też nie mogę! — westchnęła Flora.

Tego samego dnia wymknęły się pannie Rozumek i pobiegły do Boru Ciemnoboru.

Było już zimno, liście opadły już z drzew, a sylwetki cienkich gałązek odbijały się pogmatwanymi liniami od pochmurnego nieba. I choć minęło zaledwie kilka tygodni od czasu, gdy Dora i Flora tak gorąco pragnęły być znowu w domu, i choć powinny być zadowolone i szczęśliwe, szły smutne i osowiałe przez jesienny las — a życie wydawało im się straszliwie nudne. Brakło im towarzystwa Pumy, było im przykro, że Srebrny Sokół opuścił je bez pożegnania i wrócił pewnie do Grenlandii.

Szły przed siebie, milcząc, bo nic im nie przychodziło do głowy, co warto by było głośno powiedzieć. Aż nade wysoko nad drzewami usłyszały znany im dobrze łopot skrzydeł. Podniosły w górę oczy i ujrzały Sokoła zniżającego swój lot. Przeszywał chłodne powietrze, szybszy niż upadający kamień, opuścił się na wysokość ich głów, znowu wzleciał w górę i opadł wreszcie łagodnie na ramię Dory, gładząc ją w policzek półotwartym skrzydłem.

Dziewczynki bardzo się ucieszyły i zaraz go zasypały gradem pytań, nie dając mu nawet czasu, by odpowiedział choć na jedno z nich.

— Myślałyśmy już, że odleciałeś do Grenlandii — powiedziała Dora.

— Chcę tam niebawem wrócić — rzekł Sokół. — Każdy chce w końcu być u siebie. A teraz przynoszę wam wieści z Bombardii, bo poleciałem tam zobaczyć, co zaszło po waszym wyjeździe. Wyobraźcie sobie, że wybuchła rewolucja! Wszyscy więźniowie zostali wypuszczeni z lochów i całymi nocami ludzie weselą się, tańczą i śpiewają na ulicach! Biedną Pumę pochowano bardzo uroczyście w ogrodzie przy domu profesora Morvo, a na jej grobie postawiono pomnik z następującym napisem:

We wdzięcznej pamięci

dla

ZŁOTEJ PUMY

która zgładziła okrutnego tyrana,

księcia Hulagu, i uwolniła nas

od jego przemocy.

— Dobrze, że to zrobili — rzekła Dora. — Dobrze, że zrozumieli, ile dla nich uczyniła.

— Biedna Puma! — powiedziała Flora. — Co jej pomnik pomoże?

— Nie mogła żyć ani tu, ani tam — odezwał się Sokół. — Miała zbyt wielu nieprzyjaciół. Ja też ich mam. Wczoraj jakiś człowiek chciał mnie zastrzelić za to tylko, że porwałem bażanta! Lepiej będzie, gdy wrócę do Grenlandii, póki jeszcze mam całe skrzydła. Żegnaj mi, Doro! Żegnaj, Floro! Życzę wam wiele szczęścia!

— Czy już cię nigdy nie ujrzymy?

— Kto wie? — zawołał Srebrny Sokół. — Może kiedyś znowu weźmie mnie pokusa i ruszę na dalekie wędrówki. Ale muszę wpierw nasycić się widokiem szerokich przestrzeni pokrytych lodem i śniegiem. Bywajcie! Bywajcie!

Rozpostarł szeroko srebrnobiałe skrzydła, wbił się w górę, krążył jeszcze chwilę nad głowami dziewczynek i szybko odleciał w kierunku północy. Patrzyły za nim. Stał się maleńki jak główka od szpilki, maleńki jak jasny punkcik na tle ciemnej chmury — aż znikł.

— Teraz — rzekła Flora — jesteśmy jeszcze bardziej osamotnione. Straciliśmy naszych najlepszych przyjaciół.

— Został nam jeszcze profesor Corvo.

— On się nie liczy, on jest człowiekiem jak my.

— Wygląda bardzo elegancko w swym nowym garniturze z kamizelką w szkocką kratę.

— I jest bardzo miły, ale...

— Słuchaj, Floro! — przerwała jej Dora. — Mam znakomity pomysł.

— Jaki?

— Pójdziemy odwiedzić Panią Wiedźmę. Nie będziemy jej o nic prosić, bo ona nie bardzo to lubi. Powiemy jej tylko, że się okropnie nudzimy, i może zrobi jej się nas żal, i może, może coś wymyśli. Albo poradzi nam tylko, jak mamy żyć i co mamy robić, żeby nie było nam tak okropnie nudno.

— I ja też będę mogła pójść do niej? — zapytała Flora.

— Tak, przecież obiecałam ci, że cię do niej zabiorę.

— Och, Doro! Jak to świetnie! Śpieszmy się, śpieszmy! Od razu czuję się znacznie lepiej!

Przyśpieszyły kroku, miejscami nawet biegnąc, aż w końcu dostrzegły poprzez nagie drzewa mały, zielony domek z żółtymi okiennicami i czerwonymi drzwiami. Tam mieszkała Pani Wiedźma!

Ale gdy podeszły nieco bliżej, zobaczyły coś więcej: nad czerwonymi drzwiami wisiała czarna tablica, a na niej było wypisane białą kredą:

DO WYNAJĘCIA

— Nie ma jej! Znikła! — zawołała Dora.

— A ja nigdy jej nie widziałam! — krzyknęła Flora. — Wszyscy nas opuszczają. Czy to nie straszne?

— Tak, to straszne — rzekła Dora. — Nigdy się tego nie spodziewałam.

Były tak zgnębione jak nigdy jeszcze w życiu i stały przez kilka minut, nie wiedząc, co uczynić. Wreszcie Dora zbliżyła się do drzwi i nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się z łatwością.

— Myślisz, że możemy wejść? — zapytała Flora.

— Wchodźmy — rzekła krótko Dora.

Dom był w środku wymieciony i czysto uprzątnięty i na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest całkowicie pusty. Wyniesiono z niego wszystkie meble i ktoś mógłby pomyśleć, że nikt tu nigdy nie mieszkał.

Jedynie w kuchni wisiał na ścianie nad kominkiem zegar z kukułką, a na kominku leżała kartka papieru. Dora wzięła ją do ręki i przeczytała głośno, co było na niej napisane:

Dla Dory i Flory z pozdrowieniami od Pani Wiedźmy.

P.S. Miałam atak reumatyzmu i doktor kazał mi przeprowadzić się na pustynię Saharę, bo tam jest sucho. Nie mogę więc wam, już w niczym pomóc, ale Kukułka wam powie wszystko, co macie robić.

P. W.

— To prezent dla nas! Na pożegnanie. Jak to ładnie z jej strony, że o nas nie zapomniała — rzekła Dora.

— Ale ten zegar nie chodzi! — powiedziała Flora.

— Tu jest klucz. Nakręć go.

Flora nakręciła zegar, który zaczął głośno i dźwięcznie tykać. I nagle małe, umieszczone nad tarczą okienko otworzyło się i wychyliła się przez nie kukułka. Był to bardzo osobliwy ptak, cały pokiereszowany, ze złamanym dziobem, opadającym w dół skrzydłem i jednym tylko okiem. Kukułka ta była niezwykle gadatliwa.

Spojrzała dokoła, odkaslnęła parę razy, żeby oczyścić głos, i zaczęła recytować następujący poemat:

Zdejm buty, pończochy i nogi miej bosc

(Noc w nocy jest — a dzień we dnie),

Pójdź prosto przed siebie przez dnie i przez noce,

A jeśli się zmęczysz — to biegnij.

Miej oczy i uszy po drodze otwarte

(W krąg słońca wciąż ziemia się kręci)

I ucz się nazw ptaków i słów poematów,

By móc je powtarzać z pamięci.

Nad twymi oczami, pod twymi włosami

(Pamiętaj: nie wróci, co minie)

Jest taki zakątek, gdzie mieszka rozsądek,

A w głowie masz mózg, a nie dynię!

Są wszędzie na świecie i wzgórza, i domy

(Kto zmęczy się idąc, niech biega),

Do drzwi domów pukaj, na wzgórza wchodź, szukaj —

Na własnym rozsądku polegaj...

Nagle kukułka zaczęła potrząsać rozpaczliwie głową i o mało nie wypadła ze swego okienka.

— Na własnym rozsądku polegaj, na własnym rozsądku polegaj! — powtarzała niespokojnie w kółko. — O je jej, ojej! — zawołała. — Nie mogę sobie przypomnieć, jak to idzie dalej. Co Pani Wiedźma powie? Jeszcze było dziesięć linijek najważniejszych i najpiękniejszych ze wszystkiego, a ja nie pamiętam już nic więcej! Kuku, kuku, kuku — powtarzała coraz szybciej i szybciej.

Aż w zegarze coś stuknęło, dźwięknęło i pękło i zapanowała cisza.

Dora i Flora natychmiast zaniósły zegar do miasteczka do pana Szpindla, który był zegarmistrzem. Naprawiał ich zegar przez całe trzy tygodnie i wziął za to całe siedem szylingów i sześć pensów. Przez parę następnych lat zegar chodził doskonale, ale kukułka odzywała się tylko we wtorki i czwartki po południu. Otwierała wtedy swoje okienko, wysuwała się na zewnątrz i krzyczała zagniewanym, chrapliwym głosem: — Kwakwa, kwakwa, kwakwa!

Każdy, kto ją słyszał, dziwił się niepomierne:

— Co za niezwykły ptak! W życiu nie słyszałem kukułki, która kwacze zamiast kukać!

A Dora i Flora mówiły z dumą i odrobiną smutku:

— Bo to jest kukułka, która należała kiedyś do samej Pani Wiedźmy!

[1] *Virtus semperviridis* (łac.) — **cnota wiecznie młoda.**

[2] *Ma Foi et mon Droit* (franc.) — **Moja wiara i moje prawo.**

